ZAGROŻENIE Z MOSKWY

Czy wojna rosyjsko-polska jest nieuchronna?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 5/563 29 STYCZNIA–4 LUTEGO 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Poseł PSL Marek Sawicki zdradza w rozmowie z „Do Rzeczy", czego nie poprze w Sejmie

Z NIENAWIŚCI DO POLSKOŚCI
KTO Z DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ ROBI PIEKŁO CHŁOPÓW

Jak weryfikowano dziennikarzy w stanie wojennym

Tęczowa cenzura Tuska

Jak walka z „mową nienawiści" prowadzi do kneblowania debaty publicznej

NA OKŁADCE: KATARZYNA KOTULA, DONALD TUSK I KRZYSZTOF ŚMISZEK

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 64aebc4a2

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ZBRODNIA GALICYJSKA – ZAPOMNIANE LUDOBÓJSTWO UPA NA POLAKACH

Masowe mordy w cieniu Wołynia – Ukraińscy nacjonaliści mieli zabijać „tylko" mężczyzn. W rzeczywistości mordowali także kobiety i dzieci. Ofiarą zbrodni padło ponad 30 tys. Polaków

Piastówna na tronach wikingów – Córka Mieszka I była królową Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii. Stała się bohaterką wielu sag, których treść przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie

Podziemne państwo „pacanów" – Pod butem sowieckiej dyktatury powstało państwo w państwie, osobny przestępczy świat, brutalny i bezwzględny, z własnym prawem i własną „moralnością"

Pomylona ekspedycja Stanleya – Głośna wyprawa ratunkowa do Afryki, której przewodził najsłynniejszy odkrywca XIX w., szybko zamieniła się w jedną wielką farsę

Męczennica rewolucji – Dzięki swojej siostrze Ludwik XVI mógł umrzeć jak święty. Jej heroizm – okazywany do samego końca – sprawił, że Kościół uznał ją za służebnicę Bożą

Tambowscy chłopi przeciw Leninowi – Jednym z najokrutniejszych rozdziałów „czerwonego terroru" było zdławienie w 1921 r. chłopskiego powstania w guberni tambowskiej

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 64aebc5aa1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Jedna wielka komedia

Cała walka Unii Europejskiej o praworządność w Polsce była jedną wielką komedią – powiedział niedawno Jarosław Kaczyński. I dodał: – Chodziło o to, że rządzili nie ci, co trzeba. Unia Europejska dzisiaj jest w stanie kompletnej degeneracji.

Są to słowa z kilku punktów widzenia wręcz szokujące. Po pierwsze dlatego, bo są najzwyczajniej w świecie prawdziwe.

Tak właśnie jest: walka Unii Europejskiej o praworządność to był pic na wodę, fotomontaż. Bruksela od początku praktycznie, to jest od 2015 r., kiedy to PiS doszedł do władzy, postanowiła pozbyć się „prawicowo-narodowego konserwatywnego rządu" z Warszawy. Powód był prosty. Skoro celem europejskich eurokratów było dążenie do centralizacji Unii i tym samym narzucenia wszystkim państwom globalnej ideologii, to odwołujący się do suwerenności i niepodległości rząd w Warszawie był ością w gardle. Nie tylko faktycznie utrudniał on osiągnięcie eurokratom celu, lecz także razem z innymi państwami, w tym przypadku z Węgrami, mógł się stać zarzewiem buntu.

Bruksela nie ukrywała, co chce osiągnąć. Wszystkie państwa mają się podporządkować ideologii genderyzmu (a więc wspierać tzw. prawa osób LGBT), imigracjonizmu i klimatyzmu. W ten sposób można było doprowadzić do zniszczenia tego, co dla eurokratów i dla wspierających Brukselę amerykańskich liberałów było największym niebezpieczeństwem, a więc do upadku i rozbicia państwa narodowego. Opowieści o tym, że Unia walczy o praworządność, słusznie zauważył zatem prezes PiS, były bajką dla grzecznych dzieci. Totalnie dezawuując pojęcie państwa prawa, Platforma może liczyć dziś na pochwały światowych demokracji, czego doskonałym przykładem były słowa niemieckiego ministra sprawiedliwości Marca Bushmanna: „Niemcy są pod wrażeniem tego, jak Polska wraca do centrum Europy, i jej chęci wzmocnienia praworządności". Przypomnę, że to samo niemal mówił wcześniej amerykański ambasador w Warszawie, Mark Brzezinski – pisałem o tym przed tygodniem. Tak, prezes PiS ma całkowitą rację w swojej ocenie rzeczywistości: europejscy biurokraci pospołu z amerykańskimi demokratami od początku chcieli się pozbyć rządu PiS z Warszawy.

Jednak przywołałem tę jego opinię nie tylko dlatego, że jest trafna, lecz także, niestety, dlatego, że jest najsurowszą i najbardziej radykalną krytyką tego, co sam prezes robił i mówił co najmniej przez sześć lat, od kiedy to doprowadził do zmiany na stanowisku premiera, wymieniając Beatę Szydło na Mateusza Morawieckiego. Bo jeśli jest prawdą, że walka Unii o praworządność jest jedną wielką komedią, to nie da się ukryć, że jej głównym aktorem był od kilku lat polski rząd. Gabinet premiera Mateusza Morawieckiego z pełnym wsparciem prezesa PiS brał udział w tej komedii na całego. Opowiadał o kamieniach milowych, o trudnych negocjacjach, o tym, że lada moment uda mu się osiągnąć porozumienie i oddalić zarzuty o brak praworządności w Warszawie. Była to syzyfowa praca. Rząd PiS, choćby się nadął i napiął, i tak nie miał co liczyć na uznanie w Brukseli.

Co zatem należało robić? Świadomie podjąć wojnę z Unią o zachowanie własnej suwerenności. Pierwszym punktem każdej strategii musi być zawsze właściwe zdefiniowanie przeciwnika i rezygnacja z iluzji. Należało zatem ogłosić, że – co się tyczy polityki imigracyjnej i genderowej – Polska nie zgodzi się na żadne kompromisy i będzie konsekwentnie blokować wszelkie centralizacyjne plany Brukseli. Należało nie wahać się w doprowadzeniu do końca reformy systemu wymiaru sprawiedliwości. Trzeba było zawetować mechanizm „pieniądze za praworządność", zawetować szaleństwo ekologiczne. Wspierać jednoznacznie samorządy, które wprowadziły Kartę praw rodziny i stawiały czoła ruchom LGBT, zasilanym przez unijne fundusze. Wprowadzić w życie ustawy chroniące przed propagandą homoseksualną i genderową. Zwalczać coraz bardziej widoczny zamordyzm i ograniczenie wolności słowa w Unii.

Zamiast tego rząd PiS prowadził niekończące się, pozbawione z góry sensu negocjacje i, wywierając nacisk na samorządy, żeby te zrezygnowały z własnych uchwał, praktycznie sparaliżował wolę oporu wobec Unii. Otworzył na wielką skalę granice przed imigracją zarobkową. A gdy po wybuchu wojny na Ukrainie w 2022 r. dostał do ręki nadzwyczaj silne karty, postanowił z nich nie skorzystać. Stał się pierwszym, głównym i bezwarunkowym obrońcą Ukrainy, całkowicie rezygnując z tego, co z takim obrzydzeniem jego zwolennicy nazywali wtedy „polityką transakcyjną", a czego symbolem stał się na Węgrzech Viktor Orbán czy ostatnio na Słowacji Robert Fico. Zamiast domagać się za swoje zaangażowanie konkretnych korzyści dla Polski – natychmiastowego odblokowania funduszy choćby – postanowił się Zachodowi przypodobać.

Dlatego dziś prezes PiS może krzyczeć na ulicy, a obrońcy „naszych wspólnych zachodnich wartości" z Berlina czy Paryża poklepują radośnie po ramieniu polityków Platformy, gratulując im skuteczności. Faktycznie – komedia. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
MÓW, CO TYLKO NAM SIĘ PODOBA
Prawo przeciw obywatelom

19 PIOTR WŁOCZYK
ZMOWA NIENAWIŚCI

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
TROCHĘ SŁOŃCA W ZIMOWEJ SZARZYŹNIE
PiS pod murami fortecy Tuska

25 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSKOWI WOLNO WSZYSTKO. JESZCZE

28 ROZMOWA Z MARKIEM SAWICKIM
OPCJA ZERO

32 KAROL GAC
REKLAMY DLA SWOICH

34 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
OSIEM ZMARNOWANYCH LAT

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
UDERZENIE W PIJANYCH NA DROGACH

38 ZUZANNA DĄBROWSKA
WIELKOMIEJSKA DUCHOWOŚĆ

KULTURA

40 ROZMOWA Z ANNĄ NASIŁOWSKĄ
SŁAWOMIRA MROŻKA PESYMIZM KOMICZNY
„Emigranci" są znów na czasie

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 LECH MAŻEWSKI
CZY WYBUCHNIE WOJNA ROSYJSKO-POLSKA?
Rosja reaguje na USA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
Z NIENAWIŚCI DO POLSKOŚCI

58 PIOTR GOCIEK
O RZECZACH NIEMOŻLIWYCH

HISTORIA

60 GRZEGORZ MAJCHRZAK
UTRACONY MONOPOL
Komunistyczny skok na media

ŚWIAT

64 WITOLD REPETOWICZ
KLUCZE DO WRÓT ŁEZ
Gdzie Afryka styka się z Azją, leją się łzy i krew

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
UFA MOSKWIE WCIĄŻ UFA

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
SZKLANA KULA Z LAS VEGAS
Najciekawsze wizje przyszłości

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
SZEJKOWIE W GRZE
Po co Arabii Saudyjskiej Ronaldo i mundial

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (63), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 64aebc5aa1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **L. Szymański/PAP, P. Wodzyński, J. Kamiński/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

„Choinka a sprawa polska", Sławomir Koper, „DRz" nr 1/2024

[...] Historia choinki ma ponad 1200 lat i związana jest z misyjną działalnością św. Bonifacego na terenach germańskich sąsiadujących z ziemiami wschodnio-frankońskimi. Do narodzin choinki doszło po roku Pańskim 719, kiedy to angielski mnich Wynfryd z zakonu benedyktynów, mając błogosławieństwo papieża Grzegorza II oraz list polecający od niego do (wtedy jeszcze tylko) króla Franków Karola Wielkiego, pod nowym imieniem Bonifacy zaczął swą działalność misyjną, a przed rokiem jego męczeńskiej śmierci (764) z rąk Fryzyjczyków (na terenie dzisiejszej Holandii). Co do miejsca tych narodzin są dwie równoległe wersje: pierwsza to ścięcie świętego dębu poświęconego Donarowi, władcy piorunów, w Gaesmer (obecnie Geimar w Turyngii). Podobno św. Bonifacy pierwszy uderzył siekierą. Ogromne drzewo padło, a wśród jego potężnych konarów sterczała nienaruszona młoda jodełka. Święty Bonifacy miał powiedzieć: „Wasza stara wiara padła, a ta nowa będzie rosnąć aż pod niebo i będzie wiecznie żywa, jak zawsze zielone jest to drzewko". Dąb pocięto na deski, z których zbudowano kaplicę. Naturalnie odbywało się to wszystko pod eskortą i ochroną żołnierzy Karola Wielkiego, ale brak zemsty boga piorunów przekonał okolicznych Germanów do nowej wiary, jako religii silniejszej. Druga to ścięcie świętej lipy poświęconej Freyji (bogini płodności). Tu jodełka nad truchłem lipy – reszta jak poprzednio. Miejsce akcji: Fritzlau w Hesji. Na marginesie trzeba dodać, że były to tereny zamieszkane wtedy przez Sasów, bo do Łaby sięgało osadnictwo słowiańskie. Ścinanie świętych drzew, palenie świętych gajów było na porządku dziennym w trakcie chrystianizacji, więc oba zdarzenia są prawdziwe, ale choinka wystąpiła raczej tylko w jednym z nich. Choinka, jako symbol nowej wiary, zrosła się z Bożym Narodzeniem, a ponieważ tradycja ta narodziła się na terenach germańskich, to ozdoby choinkowe również. Pierwotnie wieszano na choince czerwone rajskie jabłuszka, łącząc dwa symbole: grzechu pierworodnego i narodzin Odkupiciela. Gdy zwyczaj stawiania choinki (XIX w.) bardzo się rozprzestrzenił, ceny rajskich jabłuszek jesienią były lichwiarskie, astronomiczne. Biedni ludzie mogli sobie pozwolić zazwyczaj na jedno takie jabłuszko. Chcieli choinkę jakoś jednak ozdobić, stąd orzechy, pierniczki i ręcznie wykonane ozdoby. W roku 1847 zatrudniony w hucie szkła w Lauschy (Turyngia) Hans Greiner wydmuchał czerwone bombki, by ozdobić nimi choinkę, bo na jabłka nie było go stać. Zrobiły te bombki zawrotną karierę wśród sąsiadów i w następnym roku huta uruchomiła seryjną produkcję. W roku 1848 szklane bombki zdobiły już choinkę w pałacu angielskiej królowej Wiktorii [...].

mgr inż. Adam Fiszer, warszawski przewodnik PTTK do stanu wojennego, a od 1985 r. przewodnik po Berlinie i Poczdamie

Od autora

Bardzo dziękuję za interesujące uzupełnienie mojego felietonu.

Sławomir Koper

„Wyspa miliarderów", Joanna Bojańczyk, „DRz" nr 3/2024

Oczywiście ma rację Czytelniczka, pisząca w liście, że: „Od zachodu wyspa miliarderów ma Zatokę Meksykańską, nie ma możliwości, by to była Biskajska!".

Z pokorą i obietnicą podciągnięcia się w geografii dziękuję za to sprostowanie.

Joanna Bojańczyk

eprasa.pl 64aebc5aa1

NA PIERWSZY OGIEŃ

Mało sporów? Dorzućmy aborcję

PIOTR SEMKA

Grupa posłów klubu parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej złożyła 24 stycznia wieczorem do Sejmu projekt w sprawie aborcji. Posłowie KO wnioskują, by kobieta miała prawo do przerwania na życzenie ciąży w okresie pierwszych 12 tygodni jej trwania. Po upływie 12. tygodnia aborcja nadal ma być możliwa, gdy ciąża stanowić będzie wynik przestępstwa, gdy zachodzi groźba dla zdrowia i życia kobiety, gdy występuje duże prawdopodobieństwo ciężkich i nieodwracalnych wad płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej życiu dziecka. Donald Tusk ujawnił też, że do Sejmu trafi projekt ustawy dotyczący pigułki „dzień po" (dostęp bez recepty do tego środka aborcji chemicznej mają mieć osoby od 15. roku życia). W wypadku osób małoletnich zakup taki byłby możliwy bez obowiązku powiadomienia o nim rodziców.

Dlaczego Tusk zdecydował się na wrzucenie do Sejmu tych projektów właśnie teraz? Wydawałoby się, że lider Platformy otworzył już dostatecznie dużo politycznych frontów. Trwają spór o media publiczne, wojna z prokuratorami czy batalia na słowa z prezesem Narodowego Banku Polskiego. Po co otwierać jeszcze spór obyczajowy?

Tusk mógł zdecydować się na ten ruch z trzech powodów. Po pierwsze: wbrew buńczucznym wypowiedziom nowego premiera sprawa uwiezienia, a potem uwolnienia z aresztu Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika jednak ciąży liderowi koalicji centrolewu. A wybuch dyskusji nad aborcją i pigułką „dzień po" odsuwa uwagę od awantury o tych dwóch posłów i sporów o CPK czy od niespełniania socjalnych obietnic przedwyborczych. Po drugie: Tusk właśnie dopina koalicję na wybory samorządowe z Lewicą i potrzebuje jakiejś demonstracji jego progresywnych poglądów oraz ukłonu w stronę feministek i działaczek proaborcyjnych. I po trzecie: kwestie moralne związane z demoralizującym wpływem takiej legislacji na małoletnie dziewczyny zdają mu się być obojętne.

Ekipa Tuska wpisuje się zresztą dość wyraźnie w nurt schlebiania młodym wyborcom. Szymon Hołownia chce, by prawo do glosowania mieli nastolatkowie powyżej 16. roku życia. Barbara Nowacka wykonuje ukłon wobec uczniów i zapowiada zniesienie prac domowych. No to dlaczego nie wysłać sygnału „róbta, co chceta", a jak będzie wpadka, to łyknie się tabletkę wczesnoporonną niczym aspirynę podczas przeziębienia?

Dla Tuska liczy się efekt tu i teraz. Czy dojdzie do uchwalenia ustaw – to już jest mniej istotne. Być może Hołownia zdoła podbudować swój pseudokatolicki image i doprowadzi do tego, że tabletka „dzień po" będzie dostępna dopiero po osiemnastce. Być może ustawa w ogóle nie przejdzie – bo polegnie za sprawą głosów PiS, PSL, Konfederacji i być może nawet pojedynczych posłów PO. Wtedy Tusk po prostu wzruszy ramionami: „Próbowałem. Co ja mogę?". Cyniczne? Owszem. Skuteczne? Dopiero zobaczymy. ©℗

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

WIELKIE PROTESTY ROLNIKÓW

W co najmniej 250 miejscach w Polsce odbyły się w ubiegłym tygodniu rolnicze protesty. W wielu miastach setki ciągników blokowały drogi lub – jadąc powoli jeden za drugim – powodowały ogromne korki na trasach. Polscy rolnicy protestowali m.in. przeciwko planom bezcłowego handlu z Ukrainą. Ogromne protesty rolników krytykujących forsowany przez Brukselę tzw. Europejski Zielony Ład trwały też w ubiegłym tygodniu m.in. w Niemczech, we Francji i w Rumunii. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

Władza traci zaufanie w sondażach

Choć wydawać by się mogło, że odmieniony po zmianie władzy Sejm jest w oczach Polaków lepszy – transmisje obrad w Internecie mają oglądalność nie gorszą niż najlepsi youtuberzy – to w rzeczywistości rodacy nie darzą parlamentu dużym zaufaniem.

Ze styczniowego badania opinii CBOS wynika, że przybyło badanych, którzy są z działalności Sejmu niezadowoleni. Jest ich obecnie 42 proc. (wzrost o 9 p.p. w porównaniu z grudniem). Pozytywnie Sejm ocenia również 42 proc.

Od stycznia przybyło też tych, którzy negatywnie oceniają prezydenta Andrzeja Dudę. To obecnie 49 proc. ankietowanych (wzrost o 6 p.p.). O prezydenturze pozytywnie wypowiada się 43 proc. (spadek o 8 p.p.).

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Większym zaufaniem niż prezydenta i Sejm Polacy aktualnie darzą Senat. Izbę wyższą parlamentu dobrze ocenia 40 proc. (to w ciągu miesiąca wzrost o 4 p.p.), a źle – 32 proc. Choć warto zauważyć, że i w przypadku negatywnych ocen Senatu nastąpił wzrost takich opinii o 7 p.p. ©℗

Łukasz Zboralski

KONIEC Z FAJERWERKAMI?

Posłowie rządzącej koalicji chcą zaostrzenia przepisów dotyczących używania materiałów pirotechnicznych. Temat ten powrócił niedawno na posiedzeniu parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Praw Zwierząt. Politycy chcą wprowadzenia ograniczeń w używaniu większości materiałów pirotechnicznych, w tym m.in. petard czy rzymskich ogni. Na pocieszenie chcą nam pozostawić… zimne ognie. W przepisach ma pojawić się furtka, która pozwoli na podjęcie ostatecznej decyzji o zakazie samorządom.

– Rada gminy będzie mogła na drodze uchwały wprowadzić zakazy wykorzystywania wyrobów pirotechnicznych. Teraz samorządy, które tego próbują, bardzo często napotykają opór wojewodów, którzy twierdzą, że obecne przepisy nie dają gminom tego typu uprawnień i uchylają uchwały – powiedziała cytowana przez „Puls Biznesu" Daria Gosek-Popiołek, posłanka Nowej Lewicy. Takie przepisy to mocne uderzenie w całą branżę, która – jak ocenia „Puls Biznesu" – jest warta ok. 600 mln zł. Zakaz miałby dotyczyć osób fizycznych, a zatem ominie m.in. firmy organizujące pokazy pirotechniczne. ***(raw)*** ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 64aebc5aa1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pisowskie kwanty

Każdy dzień przynosi kolejne wieści z frontu „depisizacji". Niektóre groteskowe – w „odbitej" bejsbolami TVP usunięto wszystkich „pisowskich" prowadzących poranne „Pytanie na śniadanie"; niebawem pewnie nawet pisowskie sprzątaczki zostaną zastąpione „demokratycznymi". Niektóre zaś symboliczne: w objętym przez panią Henig-Kloskę Ministerstwie Klimatu jej ekipa wyrwała ze ściany i wyrzuciła do piwnicy tablicę poświęconą pamięci Wyklętych oraz znak Polski Walczącej.

Z tych wszystkich wieści jednak najbardziej wstrząsająca była dla mnie informacja, w zalewie emocji związanych z bieżącą walką polityczną mało eksponowana, że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego cofnęło przyznaną przez poprzedni rząd dotację dla Politechniki Poznańskiej na badania nad stworzeniem polskiego komputera kwantowego. Bez merytorycznej przyczyny, wyłącznie dlatego, że – jak ze szczerością godną Bodnara i jego zastępczyni oznajmił wiceminister od nauki Marek Gzik – poznańska politechnika była „pieszczochem PiS". Więc jak PiS jej dawał pieniądze, to PO te pieniądze zatrzyma.

Co z nimi zrobi, pan Gzik nie powiedział. Nie wykluczył, że może nawet też przeznaczy je na komputer kwantowy, ale jeśli nie będą to kwanty pisowskie, tylko peowskie… Przepraszam, „demokratyczne". Gotów jednak jestem się założyć, że pieniądze pójdą na badania genderu oraz subkultur „queer", studia nad „mową nienawiści" i inne potrzeby, pilniejsze niż komputer kwantowy. Na co nam on, skoro już pracują nad takowym Niemcy? Niech się lepiej Polacy uczą prostych zawodów, zwłaszcza zbierania szparagów, zamiast snuć „gigantomańskie" rojenia o budowaniu własnych komputerów.

Kto mnie zna, wie, że rzadko brakuje mi słów. I tym razem też mi ich nie brakuje, przeciwnie, cisną się na usta licznie. Problem w tym, że poza jednym – „barbarzyńcy" – żadne z adekwatnych określeń „demokratycznej" hordy, demolującej od kilku tygodni Polskę, nie nadaje się do publicznego użycia. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nawrócenie głowy

Marek Budzisz w „Pauzie strategicznej" pisze, że jedną z najważniejszych bezpośrednich przyczyn wojny na Ukrainie było przekonanie rosyjskich władz o słabości moralnej społeczeństwa ukraińskiego. Rosjanie wierzyli, „że skala oporu nie będzie wielka, nastąpi kaskadowe załamanie się systemu obrony i w efekcie rozpoczęta wojna będzie bardziej demonstracją siły i determinacji". Takie wnioski wyciągnęli z „badań ukraińskiej opinii publicznej przeprowadzanych regularnie przez rosyjski wywiad". Zakładali więc, że „społeczeństwo ukraińskie jest w dużej mierze zatomizowane, zniechęcone panującą biedą, apatyczne i niezdolne do wspólnego działania", a generalnie „przyjaźnie nastawione wobec Rosji".

Wychowani na marksistowskim pseudorealizmie mylili kulturę z propagandą, nie licząc się z czynnikiem narodowym, który nie ma charakteru statystycznego, a ujawnia się – jako realny motyw społeczny – w sytuacjach przełomowych lub kryzysowych. Przeszacowali apatię i depolityzację Ukraińców, zupełnie jak (na nasze szczęście) PZPR depolityzację Polaków na progu lat 80. i dekadę później.

Budzisz nie uznaje oczywiście przyczyny bezpośredniej za przyczynę pierwszą. Wie, że Putin po prostu chciał wojny. Ale intencje nie są ostatecznym wyjaśnieniem historii, bo ludzie nie zawsze robią to, czego chcą, gdy okolicznością są temu przeciwne. Nawet Stalin i Hitler o tym wiedzieli.

Historia jest domeną wolności, nie polem gier heglowskich idei, marksowskich interesów czy geopolitycznych determinantów. A wolność to również złe wybory, nie tylko w sensie moralnym, także intelektualnym. To złe rozeznanie sytuacji, płonne nadzieje, nieodparte namiętności. To paraliżujące obawy i zaślepiająca zuchwałość. I dlatego myśl polityczna, rozum stanu, są tak ważne. Nawet jeśli politycy traktują to jako zawracanie głowy. ©℗

O książce Marka Budzisza czytaj także w tekście „Czy wybuchnie wojna polsko-rosyjska" na stronie 50

eprasa.pl 64aebc5aa1

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Opowieść o prawdziwym człowieku

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Włosi z ogromnym żalem i poruszeniem serca pożegnali swego futbolowego idola, 79-letniego „Gigiego" Rivę. Na stadionie w Cagliari, stolicy Sardynii, wystawiono trumnę. W długiej kolejce ustawiło się całe miasto, a właściwie cała Sardynia. Sprezentował on Sardyńczykom, o których reszta Italii mówiła „pastuchy", poczucie sardyńskiej dumy i godności. Cała Italia (dwa samoloty czarterowe oficjeli z Rzymu) oddała mu hołd za natchnione występy w squadra azzurra. Był mistrzem Europy i wicemistrzem świata, bohaterem epickiego meczu z Niemcami na Mundialu w Meksyku (4:3 po dogrywce). Ta wiktoria jest fetowana w Italii jak nasz remis na Wembley.

Riva urodził się na północy Włoch. Ojciec zginął w wypadku, gdy był dzieckiem. Potem zmarła matka. Gdy miał 19 lat, kupił go skromny drugoligowy klub Cagliari. Potem Riva powie: „Straciłem wcześnie swoją najbliższą rodzinę. I Bóg dał mi nową: wszystkich Sardów". W 1970 r., głównie za sprawą Rivy, Cagliari zostało mistrzem Włoch. Riva trzykrotnie odrzucił oferty potentatów włoskiej piłki Juventusu i Interu, rezygnując z niewyobrażalnej fortuny. Powiedział, że Sardynia jest jego przybraną ojczyzną i nie może rodaków zdradzić. Do końca kariery grał w Cagliari. Pozostał na Sardynii, mówił, że to przedsionek raju. „Corriere della Sera" i kilka innych dzienników podkreślają, że był człowiekiem i piłkarzem, który umiał powiedzieć „nie" pieniądzom. Dziennik „Corriere dello Sport" zatytułował artykuł: „Żył ideałami, a nie pieniędzmi". Komentatorzy piszą, że był jednym wielkim wyrzutem sumienia futbolu goniącego teraz wyłącznie za mamoną.

Śmierć Rivy złapała włoski związek futbolowy na gorącym uczynku, gdy piłkarze Interu i Napoli grali o Superpuchar Włoch w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej. Petrodolary okazały się ważniejsze od kibiców. Co więcej, gdy spiker poprosił w przerwie o minutę ciszy, by uczcić pamięć Rivy, arabscy kibice gwizdali. Ponoć nie znają ani nie uznają takiego obyczaju. Pewnie był dla nich niepotrzebną stratą czasu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 64aebc5aa1

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

PODRÓŻE, TE DUŻE

Pisarka Blanka Lipińska wybrała się w podróż do USA. Zwiedzanie zaczęła od Los Angeles. Kolejny przystanek to Arizona i jeden z cudów natury, czyli Wielki Kanion. Blania nie kryła zachwytu nad tym miejscem, co raczej nie dziwi. „Wielki Kanion jest tak WIELKI, że ciężko sobie to wyobrazić. Brakuje mi słów, by go opisać, i wyobraźni, by do czegoś porównać. Jeszcze nic nigdy swoją wielkością nie zrobiło na mnie takiego wrażenia" – napisała na Instagramie. Relacja byłaby jednak niepełna bez dodatkowych, dramatycznych Insta-Stories. Na jednej z relacji Lipińska

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

wyznała, że podczas lotu nad Wielkim Kanionem dostała ataku paniki. Blanka odradza osobom mającym lęk wysokości decydowanie się na taką podróż. „Płaczę ze strachu, aż mi się tak ręce trzęsą. Powiem Wam tak, jeżeli ktoś tak jak ja boi się latać, ma klaustrofobię... Grand Canyon jest nieprawdopodobne, to jest coś niesamowitego, człowiek nie wyobraża sobie wielkości tego to, co stworzyła matka natura, ale moment, kiedy wylatujesz znad lasu, lecisz sobie po płaskim i wylatujesz znad lasu... no ja dostałam ataku paniki, ale musiałam go opanować, bo byliśmy bardzo wysoko. No powiem Wam tak: to było straszne! Jak się ktoś z Was boi latać, to tego nie róbcie" – ostrzega celebrytka. Co my byśmy bez niej zrobili?

BLASKI I CIENIE

Lipińska bawi i uczy. Na przykład tego, że te Stany Zjednoczone to wcale nie taka „Ameryka", jak się nam wydaje. I że jak nie masz za dużo kasy, to możesz się srogo rozczarować. W ramach swojego tournée pisarka zwróciła uwagę na kosmiczne ceny w sklepach spożywczych. Kupiła bowiem zaledwie sześć rzeczy, a zapłaciła – uwaga – 100 dol. „Nie, moi drodzy, nie narzekam. Po prostu informuję ludzi, którzy albo tu nigdy nie byli, albo chcieliby tu przyjechać, jakie są ceny w USA. Otóż rozwiążę wam tę tragiczną zagadkę – za te sześć rzeczy, czyli za nić dentystyczną, dużą paczkę M&M'sów, granolę, litrową kawę, wino i sałatkę owocową, która kosztowała chyba 15 dol., zapłaciliśmy 100 dol. Dokładnie 98" – wyliczała instagramowym fanom. Podkreśla, że gdyby zapłaciła 100 zł, to jeszcze byłoby znośnie, ale 400? Gruba przesada. „Ale mamy flagę amerykańską i zaje..ste wino" – podsumowała Blania. Cieszmy się z małych (drogich) rzeczy. Poza tym, powiedzmy to wprost, na biednego nie trafiło. Na zdrowie!

POJEDYNEK MARZEŃ

Wracamy do Polski. Nad Wisłą wciąż bez zmian. Gdyby ktoś pytał – kwestia przejmowania mediów publicznych przez nowych rządzących wcale nie została zakończona, a medialno-polityczna nawalanka trwa w najlepsze. Sami dziennikarze wydają się zachwyceni możliwością kpienia z tych kolegów po fachu, którzy stracili posadę w wyniku zmiany władzy. Scenka rodzajowa z „Dzień dobry TVN". Gościem Doroty Wellman i Marcina Prokopa był Konrad Piasecki z TVN24, który pochwalił się wystawieniem na licytację w ramach WOŚP wspólnej gry w padla. Nagle Prokop postanowił odnieść się do Michała Rachonia, byłej gwiazdy TVP. – Marzyłby mi się taki pojedynek, żeby to wylicytował np. Michał Rachoń i żebyście się zmierzyli na boisku – stwierdził. – Michał Rachoń jest mężczyzną solidnego wzrostu, ma to znaczenie i to jest silna strona padlistów, jeśli są wysocy – odparł Piasecki. – Rachoń z Jakimowiczem, ty z Kajdanowiczem – oglądałoby się – żartował Prokop. Wtedy głos zabrała Dorota Wellman. Poinformowała, że w ramach WOŚP wylicytować można także spotkanie z prowadzącymi „Dzień dobry TVN". – Tę aukcję też Rachoń wygra – nie wytrzymał współprowadzący.
– Zapraszamy do studia, tylko żeby nic nie mówił – podsumowała Wellman. Coś podejrzewam, że studio TVN to ostatnie miejsce, w którym chciałby kiedykolwiek znaleźć się Michał Rachoń.

TRZEBA SIĘ CENIĆ

Skoro mowa o miejscach, w których nie chcemy się znaleźć. Dla mnie jednym z takich miejsc jest koncert disco polo. Co oczywiście nie oznacza, że nie ma ludzi gotowych zapłacić wielkie pieniądze, by usłyszeć ten rodzaj muzyki, np. w dniu swojego ślubu, na żywo. Piosenkarka discopolowego zespołu Piękni i Młodzi wyznała, że kiedyś wystąpiła na weselu za 150 zł. To było jednak 20 lat temu.
– Dla mnie to był superpieniądz. Pojechałam, nie dość, że się dobrze bawiłam, najadłam się, to robiłam to, co lubiłam. Oczywiście stawki rosły sukcesywnie, gdy się wdrożyłam – wspomina Magdalena Narożna w podcaście „Bądźmy razem. TVP". Teraz jest zupełnie inaczej.
– Jesteśmy produktem z trochę wyższej półki, nie każdego stać, żeby rzeczywiście nas zaprosić. To dlatego jest, jak to mówią, produkt ekskluzywny, że nie każdy może nas mieć na tym weselu – tłumaczy Narożna. Ile trzeba zapłacić za występ Pięknych i Młodych na rodzinnej imprezie? – To są dziesiątki tysięcy złotych, ale dżentelmeni o pieniądzach nie rozmawiają. To jest kwestia naszego menedżera. Ile wynegocjuje, to super i tym lepiej – podsumowała wokalistka, nie chcąc jednak podać konkretnej kwoty. No cóż, „produkt ekskluzywny" to pojęcie bardzo względne. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, udało się. Po tylu latach nowy rząd nareszcie zidentyfikował i rozwiązał najważniejszy problem, który występuje w systemie polskiej edukacji. Of kors chodzi o zamiar zlikwidowania zadań domowych.

Wywołało to duże poruszenie u znakomitej części społeczeństwa, gdyż znakomita część społeczeństwa posiada w rodzinie dzieciooosoby i tym samym nagle stanie w konieczności zajęcia się nimi po szkole. Wcześniej można było bąbelka zagonić do książek i zeszytów, a teraz kłopot. Zostają Netflix, zajęcia dodatkowe lub oddanie „na trochę" do dziadków.

Naszym zdaniem cała idea jest jak najbardziej słuszna i podoba nam się pomysł, iż osobodziecko po szkole będzie mogło realizować swoje pasje, zamiast powtarzać tabliczkę mnożenia, uczyć się kolejnych bogoojczyźnianych wierszyków na pamięć czy wkuwać budowę stawonoga (Jest coś takiego, nie? Wiewiórki, zdaje się?).

Jak do tego dołączymy jeszcze plany związane z okrajaniem programu nauczania, to mamy szansę wreszcie dojść do kolorowej i przyjaznej szkoły, w której faktycznie na sprawdzianie z matematyki będzie trzeba wskazać i pokolorować trójkąt, i to bez wymogu niewyjeżdżania za linie.

O braku ocen za pokolorowanie trójkąta już nie wspominamy, iż w naszej opinii jest to naturalny kolejny krok, który ze śmiałością powinniśmy wykonać. Jak się powiedziało A, to należy powiedzieć, no, yyy, to, co jest następne w kolejności.

Kolejnym nierozwiązanym problemem polskiego szkolnictwa jest nieprzystająca do realiów liczba dni wolnych w ciągu roku. W kontekście pracy zawodowej co pewien czas powracają postulaty dotyczące wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy bądź skrócenia etatu do 35 godzin, zwiększania dni urlopu itd.

A szkoła? Szkoda gadać. Lekcje od września do lipca, od poniedziałku do piątku i cieszcie się, że macie sobotę wolną, bo kiedyś to osobodzieci chodziły do szkoły w soboty, a pomarańcze widziały tylko na winter holidays. No z takim myśleniem to my daleko nie zajedziemy, tej oświaty nie zreformujemy.

Dobrze wiemy, jak męczące potrafi być kolorowanie – kupiliśmy sobie kiedyś takie dla dorosłych, ale szybko wymiękliśmy, bo kolorując, nie da się scrollować Instagrama. Więc w nowej szkole, po pokolorowaniu trójkąta i bez pracy domowej do domu, osobodziecko też będzie miało prawo być zmęczone.

Dlatego zastanówmy się, czy to naprawdę nie jest też dobry moment, aby pomyśleć nad wprowadzeniem dodatkowych wakacji jesiennych oraz wakacji wiosennych. Tak aby nie było tylko tej przerwy wakacyjnej i dwóch tygodni zimą (No bo ileż to jest? Zaraz zleci), ale żeby można było odpocząć w listopadzie, jak się szybko ściemnia i wieje smutkiem, oraz wiosną, kiedy dłużej świeci słońce i chciałoby się posiedzieć w jakiejś galerii handlowej.

Trzeba myśleć o reformie tej szkoły i przyszłości, zwłaszcza że rodzi się bardzo mało dzieci i niedługo w szkole to będzie pewnie więcej nauczycieli niż uczniów. Więc działajmy, póki jest dla kogo. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Za firanką

Panie komendancie, mówię panu, że za firanką był.
Panie marszałku, przecież cztery razy już tam sprawdzałem. Tam nie ma pana Wąsika. Ani za tą, ani za żadną inną firanką…

O tam, tam! Tam jest, odbicie widzę w tej gablotce!
Zapewniam pana, że pan Wąsik by się nie zmieścił do tej gablotki…

Ale mówię chyba wyraźnie, że odbicie widziałem! Tam przemykał, na korytarzu. W szybie się odbijał.
Mamy tu monitoring. Nie wykryliśmy…

Wy nie, ale ja wykryłem. O, o, tam jest! Pod tą kanapą! Patrzy na mnie, tak złowrogo jakoś! O, jak się wyszczerzył teraz!
Panie marszałku, czy pan się ostatnio nie czuje przepracowany? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kaczyński twierdzi, że sejm nie istnieje. Pomyliło się biedakowi z Trybunałem Konstytucyjnym, który teraz nie istnieje naprawdę".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze o wyborach prezydenckich w Polsce*

eprasa.pl 64aebc5aa1

dwaj panowie g

Nowe porządki w prokuraturze, choć w gruncie rzeczy są tragedią, to miewają też elementy komediowe, co całą sprawę czyni groteską. Rzeźnik praw obywatelskich Adam Bodnar, obecnie znany jako minister sprawiedliwości, nie dość, że nie uznaje Dariusza Barskiego za szefa Prokuratury Krajowej, to jeszcze postanowił pognębić tamtejszych prokuratorów, wyznaczając im nowy zakres obowiązków. Jak skomentował jeden z nich, te nowe zadania ograniczają się do pilnowania ekspresu do kawy. Nowy zakres obowiązków nie został jednak przez nich przyjęty.

Na tym jednak szykany nie ustały. Zastępcy prokuratora krajowego mający rangę wiceministrów zostali przez bodnarowców pozbawieni samochodów służbowych. Prokuratorów nie opuszcza jednak wisielczy humor. Jak twierdzą, jeśli zajdzie potrzeba, to do pilnowania ekspresów do kawy będą jeździć nawet elektrycznymi hulajnogami.

Wracamy do elementów groteski, która, jak wiadomo, jest mieszanką tragedii i komedii. Zatem po kolei: szef krajówki został pozbawiony dostępu do swojego gabinetu i budynku Prokuratury Krajowej (tragedia). I to do tego stopnia, że służba więzienna kontrolowała bagażniki samochodowe, sprawdzając, czy ktoś nie usiłuje przemycić Barskiego do pracy (komedia).

Tak sobie to wszystko obserwujemy prawym okiem, a lewym czytamy rozmaite komunikaty naszej ulubionej Konfederacji Lewiatan. Nastrój ekstazy (zadania dla nowego rządu, wkrótce gospodarka ruszy z kopyta etc.) został w nagłówkach zastąpiony nastrojem stypy (rośnie bezrobocie, spada konsumpcja, produkcja przemysłowa leży). Takie złośliwe pytanie mamy w związku z tym. Pamiętamy, jak polscy przedsiębiorcy ogłaszali, że największą przeszkodą w działalności w Polsce jest „niestabilne otoczenie prawne". Ale też, kochani, wszystko jest już stabilne, prawda? Zwłaszcza wszystko, co prawne.

Apropos praworządności. Bardzo ciekawa plotka krąży po salonach politycznych Warszawy. Otóż nawet w Kołalicji Łobywatelskiej wszyscy zdają sobie sprawę, że to, co wyprawiają Sienkiewicz z Bodnarem, musi się skończyć dla nich kryminałem. Ale podobno Zły Donald z Sopotu zapewnił ich, że nie muszą się cofać przed niczym. A dlaczego? Otóż po roku 2025 nowy prezydent wszystkich fajnopolaków – ktokolwiek nim będzie – obejmie wszystkich, którzy przywracali tzw. praworządność, aktem abolicji indywidualnej. I sprawa załatwiona. A Adam z Bartłomiejem wierzą Donaldowi. Bo niby czemu nie? Ten człowiek w życiu z prawdą się nie minął.

Wyjaśniamy. Akt abolicji indywidualnej miałby być wydany na zapas, żeby obu panom (oraz ewentualnie innym rympałowiczom w potrzebie) zapewnić ułaskawienie, zanim zostaną prawomocnie skazani. Ale jak to – spytacie – przecież tak nie można? Tak przynajmniej twierdziła

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

epresa.pl 64cebb8aa1

PeŁo, gdy prezydent Andrzej Sebastian pierwszy raz ułaskawił Wąsika i Kamińskiego. Nie bądźcie naiwni. Znajdą się profesorowie prawa, którzy stwierdzą, że Kamińskiego i Wąsika nie można było, ale Bodnara i Sienkiewicza – już tak.

Podobne rozważania o sposobach ocalenia wolności mają determinować układanie list wyborczych do europarlamentu. Pisaliśmy już, że pułkownikowi Sienkiewiczowi obiecano miejsce biorące, jako dodatkowe zabezpieczenie przed faszystami, którzy chcieliby go ciągać po sądach. Natomiast na Nowogrodzkiej uważają, że jednym z głównych celów do uwięzienia przez juntę pułkowników i bodnarowców będzie wkrótce Julia Przyłębska. Dlatego trzeba przewodniczącą TK koniecznie wysłać do Brukseli.

Jako miłośnicy kultury antycznej z radością przyjęliśmy po ponad trzech dekadach nawrót zainteresowania łaciną. Poprzednio uczynił to prof. Bronisław Geremek głośnym hasłem „pacta sunt servanda". Teraz robi to Adam Bodnar słowami „sententia non existens". Ta ostatnia oznacza odrzucenie wyroku TK jako nieistniejącego. Niestety, Bodnar nie może się chwalić, że sam wpadł na ten koncept. „Sententia non existens" to obsesja prawna sędziego Żurka i innych jego kumpli, propagowana od ładnych kilku lat w rozmaitych publikacjach prawnych, zwłaszcza w języku lengłydź. W odpowiedzi na tzw. zawłaszczenie Trybunału Konstytucyjnego przez PiS. Piszemy o tym, żeby uświadomić PiS, od jak dawna dintojra była przygotowywana. Uczcie się pracy organicznej.

Interesujące wieści z PiS. Rośnie przekonanie, że tak dalej być nie może. A zwłaszcza nie może być tak, żeby naczelnik Jarosław namaścił na nowego naczelnika premiera Mateusza. Na dźwięk nazwiska „Morawiecki" najtwardsi towarzysze walki partyjnej odpowiadają, że jak Mateusz zamieni się w delfina, a potem w rekina (wyjaśniamy: delfin pretenduje, rekin rządzi), to oni opuszczają partię. A teraz najciekawsze. W ruchach odśrodkowych biorą udział ludzie, którzy nie mogą być ruchem odśrodkowym, gdyż nie są w PiS. Ale są niedaleko.

Tymczasem trwają przygotowania do wyborów samorządowych, o ile przygotowaniami można nazwać sytuację, w której nikt nic nie wie. Tobiasz Bocheński w Warszawie, być może Kacper Płażyński w Gdańsku. Ale co i kto poza tym? Ujawniamy: wiele zdecyduje się pod koniec lutego. A dlaczego? Bo w lutym, po zgromadzeniach walnych, ruszy miotła PeŁo w spółkach Skarbu Państwa. No i wiele wartościowej kadry znajdzie się nagle bez roboty. Na listy wyborcze jak znalazł.

Szymon Szynkowski vel Sęk vel dwutygodniowy minister spraw zagranicznych odpowiedzialny w PiS za Poznań ogłosił, że kandydatką na prezydenta miasta powinna być kobieta. I że widzi dwie świetne kandydatki, ale nie ujawni które. No to my ujawnimy. Pierwsza to Jadwiga Emilewicz, zwana na Nowogrodzkiej „naszą Emilką". Druga to Klaudia Strzelecka. Wielkim orędownikiem tej ostatniej jest wspomniany Szynkowski. I ma ku temu powody.

Jednocześnie słyszeliśmy skądinąd, że najbardziej to chciałby na prezydenta Poznania kandydować Bartłomiej Wróblewski. Człowiek, który żadnej pracy się nie boi. I który nie zna umiaru w marzeniach, co akurat rozumiemy, gdyż też tacy jesteśmy. Bartłomiej marzył kiedyś o fotelu rzecznika praw obywatelskich. Ale są i tacy, którzy mówią, że bardziej o stanowisku premiera. Poznań to w tej sytuacji krok wstecz, ale czasem trzeba się cofnąć, by z kopyta ruszyć dalej.

Oczywiście kwestia wyborów samorządowych jest połączona z kwestią wyborów europejskich. Niejeden potencjalny jedynkowicz europejski mógłby się bowiem wypromować w kampanii o fotel prezydenta jakiegoś dużego miasta – nawet przegranej. Mógłby, ale raczej nie będzie. Gdyż, mówiąc wprost, „piniendzy" na dwie wypasione kampanie nie ma i nie będzie.

W związku ze wszystkimi opisanymi wyżej kłopotami w PiS mówi się głośno o planie minimum na wybory samorządowe. Ten plan to wygrana choć w pięciu sejmikach wojewódzkich. Tak, są i osobnicy śniący o planie maksimum: wielkim przebudzeniu Polaków w obliczu bodnaryzmu, tuskizmu i pułkownika Sienkiewicza. Niestety, na razie z badań wynika, że niegłosujący wcześniej na Zjednoczoną Prawicę wyborcy nie doznali przebudzenia i przyjmują ostatnie rympały rechotem „dobrze im tak!".

À propos rympałów: odnotować należy wypowiedź niejakiego Moczydłowskiego Pawła, dawnego szefa polskich więzień, który w kontekście Kamińskiego i Wąsika oświadczył, że za głodówkę należy karać. Po namyśle uważamy, że jego sugestię należy przyjąć także poza murami więzienia. Na przykład w Wielkim Poście katofaszyści głodują na potęgę, przynosząc poważne straty gospodarce: proszę porównać cenę kilograma marchewki i kilograma polędwicy. Zatem tak, głodujących należy karać. W ogóle i w szczególe.

My tu gadu-gadu, a przed nami starcie gigantów. W pierwszych dniach lutego do Hameryki leci minister spraw resetowych Radek Sknerus Sikorski. Tam spotka się z ambasadorem Markiem Magierowskim, który – co za pech – sprawuje swoją funkcję wyśmienicie i wielce go w USA szanują. Co oczywiście w normalnych czasach byłoby powodem do radości i świetną rekomendacją. Ale kto powiedział, że żyjemy w normalnych czasach?

Zmiany, zmiany, zmiany. Opinii publicznej umykają rewolucyjne kroki w dziedzinie kultury. Pułkownik Sienkiewicz połączył już Instytut Adama Mickiewicza z Programem Niepodległa. Oraz Instytut Książki z Instytutem Literatury. Tak się, kochani, obchodzi jakieś tam kadencyjności i kontrakty dyrektorskie. Restrukturyzacja przez połączenie i won, całe towarzystwo na bruk. Trwają intensywne prace koncepcyjne nad tym, z czym połączyć Instytut Pileckiego, szczególnie znienawidzony przez fajnopolaków. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

DONALD TRUMP CORAZ BLIŻEJ BIAŁEGO DOMU

Były amerykański prezydent zwyciężył w kolejnych partyjnych prawyborach. Po rekordowym zwycięstwie w Iowa w połowie stycznia tym razem triumfował w stanie New Hampshire. Donald Trump zdobył 54 proc. głosów, a jego rywalka Nikki Haley – jedyna, która została jeszcze na placu boju o nominację Partii Republikańskiej – otrzymała 43 proc. głosów. Wynik wyścigu wydaje się już przesądzony, ale była gubernator Karoliny Południowej i ambasador USA przy ONZ deklaruje na razie, że nie zamierza składać broni. Mimo wezwań do wycofania się z pojedynku z byłym prezydentem Nikki Haley szykuje się do walki w swoim rodzinnym stanie: Karolinie Południowej.

Na razie wszystko wskazuje na to, że w listopadzie Amerykanów znów czeka wybór między dwoma nielubianymi starszymi panami. Według sondaży w tym roku w pojedynku Joe Biden kontra Donald Trump większe szanse na zwycięstwo ma reprezentant Partii Republikańskiej. Spore poparcie dla Nikki Haley w prawyborach w New Hampshire pokazuje jednak, że choć Trump jest kochany przez zwolenników ruchu MAGA (Make America Great Again), to wciąż ma poważne problemy z pozyskaniem sympatii części umiarkowanych zwolenników Partii Republikańskiej oraz wyborców niezależnych. Były prezydent musi się też uporać z problemami prawnymi (ciąży na nim 91 zarzutów kryminalnych). ***(jap)*** ©℗

FOT. AL DRAGO/BLOOMBERG/ GETTY IMAGES

eprasa.pl

eprasa.pl 64aebc5aa1

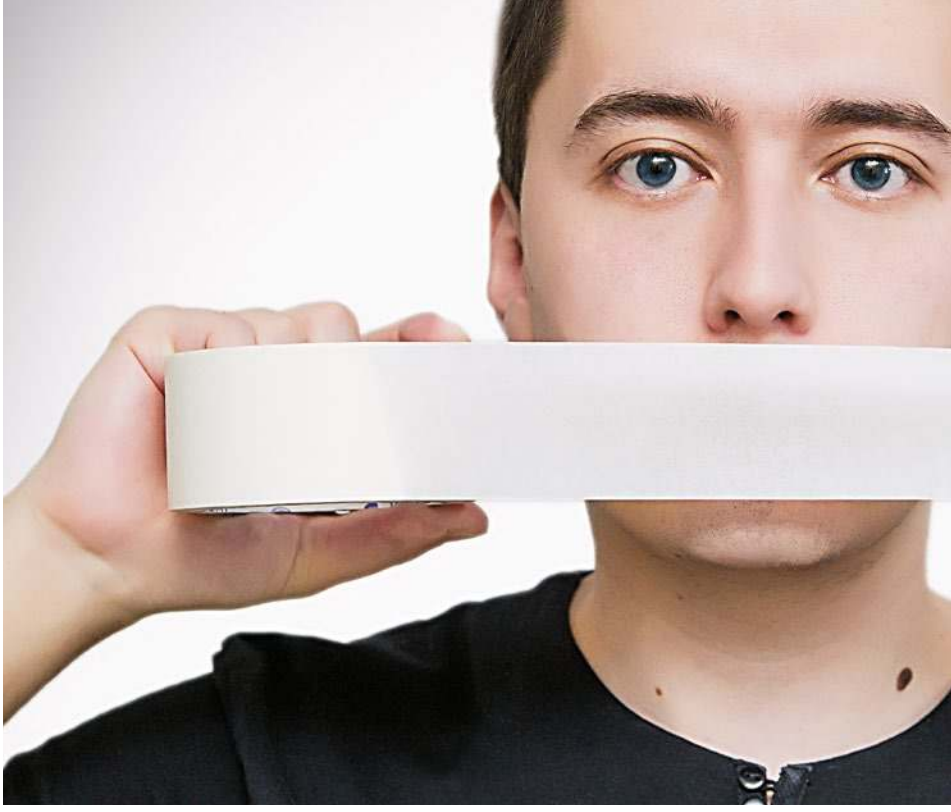

FOT. ADOBE STOCK

Mów, co tylko nam się podoba

Łukasz Warzecha

Wprowadzenie do Kodeksu karnego „mowy nienawiści" to zamach na wolność słowa

Jedną z najbardziej wstrząsających scen w „Roku 1984" George'a Orwella jest ta, w której O'Brien, funkcjonariusz reżimu, torturuje Winstona, głównego bohatera powieści, próbując wpłynąć na jego umysł tak, aby Winston zaczął widzieć to, co każe mu Partia. Choć O'Brien pokazuje cztery palce, to Winston ma szczerze uznać, że to pięć palców. Winstonowi to jednak nie za bardzo wychodzi.

„ – Cóż mogę na to poradzić? – wyszlochał Winston. – Jak mogę nie widzieć czegoś, co mam przed oczami? Dwa i dwa to cztery.

– Czasem tak, Winstonie. Ale czasem dwa i dwa to pięć. Albo trzy. Kiedy indziej wszystkie te odpowiedzi są prawdziwe jednocześnie. Musisz bardziej się postarać. Nie tak łatwo jest wyzdrowieć".

Ten fragment pokazuje, jak totalitarny system zmierza do zmiany naszego myślenia, ale pokazuje też jeszcze coś innego: że w totalitarnym myśleniu granice pojęć są całkowicie płynne. I w tym sensie ta scena opisuje również forsowane przez lewicę pojęcie „mowy nienawiści".

Co bowiem może być „mową nienawiści"? Otóż absolutnie wszystko. Mogą to być rzucane na jakąś mniejszość wyzwiska związane z cechami tej mniejszości. Ale może to być też, jeśli ktoś tak uzna, nazwanie Murzyna Murzynem. A może do kategorii „mowy nienawiści" załapałoby się dzisiaj wiele utworów, które kiedyś korzystały po prostu z wolności słowa. Takich jak „Seksmisja" Juliusza Machulskiego (żeby było śmieszniej, kręcona jeszcze w PRL, w roku 1983), za którą w czasach obecnych reżyser się już kajał. Albo ironiczna piosenka Elektrycznych Gitar z płyty „Na krzywy ryj" z roku 1997, zatytułowana „Ona jest pedałem". Wszystko jest możliwe. W tym kontekście nie dziwi nerwowość pani wiceminister kultury Joanny Scheuring-Wielgus, którą Bogdan Rymanowski zapytał w Radiu Zet, czy w ramach penalizacji „mowy nienawiści" zostanie zakazany wierszyk o Murzynku Bambie Juliana Tuwima. Pani wiceminister obruszyła się, że w ogóle jest o to pytana. Ale obruszyła się przede wszystkim dlatego, że wie doskonale, jak płynne i dowolne są tu granice i że jawny absurd, którym byłoby ukaranie kogoś z nowego przepisu za deklamowanie Tuwima, byłby jednak możliwy. A cóż dopiero, gdyby ktoś postanowił wyrecytować w całości inny utwór tegoż autora: „Całujcie mnie wszyscy w dupę", gdzie jest i o Żydach, i o księżach...

ŚCIGANIE Z URZĘDU

Projekt wprowadzenia kategorii „mowy nienawiści" do kodeksu karnego firmuje przede wszystkim wiceminister sprawiedliwości Krzysztof Śmiszek, ale podpisują się pod nim chętnie inni reprezentujący lewicę (przez małe oraz duże „L") politycy, w tym pełnomocnik do spraw równego traktowania, Katarzyna Kotula. Do kodeksu ma

eprasa.pl 64aebc5aa1

trafić kara za dyskryminowanie w związku z płcią, tożsamością płciową, orientacją seksualną, wiekiem czy niepełnosprawnością. Nie znamy detali projektu, bo na razie dostaliśmy jedynie jego ogólne omówienie. Wiemy jedynie, że miałoby to być przestępstwo ścigane z urzędu. To ważne, ponieważ oznacza, że prokurator powinien podjąć działania nawet bez impulsu w postaci zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, co z kolei znaczy, że prokuratorzy będą musieli w takich sprawach działać z własnej inicjatywy, jeśli nie będą chcieli być rozliczani dyscyplinarnie za bezczynność. W razie zaś doniesienia – a te na pewno będą się sypać na potęgę – będą działać tym bardziej.

Zapowiedzi wiceministra Śmiszka trzeba umieścić w podwójnym kontekście: prawnym i kulturowym. Zacznijmy od prawnego.

Jest to bez wątpienia – niezależnie od tego, jak przed taką diagnozą bronią się pomysłodawcy – kolejne, i to wyjątkowo drastyczne, ograniczenie wolności słowa. A mamy ich już w samym Kodeksie karnym wiele – o innych nie mówiąc. Przede wszystkim zatem trwa nieszczęsny art. 212, do którego skasowania wzywał Polskę wielokrotnie Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu (to instytucja Rady Europy, nie Unii Europejskiej), gdzie Polacy skazani z tego przepisu regularnie wygrywali sprawy.

Artykuł 212 mówi: „Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności. Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu […] za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku". Przy czym tutaj potrzebny jest prywatny akt oskarżenia, którego wniesienie do sądu jest jednak tanie i dość proste. Można się obyć bez pełnomocnika.

Likwidację art. 212 zapowiadało wielu ministrów. PiS także to mówił przed 2015 r., ale zapomniał o obietnicy, gdy doszedł do władzy. W kampanii wyborczej skasowanie art. 212 zdążył jeszcze zapowiedzieć Zbigniew Ziobro. Obecny szef resortu nie ma do takich spraw głowy.

Oprócz tego w naszym kodeksie jest przepis przewidujący karę za znieważenie lub poniżenie konstytucyjnego organu RP (np. ministra lub premiera) – art. 226 przewiduje za to ograniczenie lub pozbawienie wolności do dwóch lat. Jest też art.135, który penalizuje publiczne znieważenie prezydenta RP i przewiduje za to do trzech lat pozbawienia wolności. Z tego artykułu odpowiadał kloszard Hubert H. po tym, jak w 2005 r. na Dworcu Centralnym po pijanemu bełkotał obelgi pod adresem Lecha Kaczyńskiego. Prezydent o sprawie nie miał oczywiście pojęcia, ale z dworcowego pijaczka ówczesna opozycja zrobiła wówczas bohatera i ofiarę PiS-owskich siepaczy.

Mamy wreszcie kontrowersyjny art. 196, który mówi: „Kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch". Nawet część osób o konserwatywnych poglądach wskazuje na skrajną subiektywność kategorii „uczuć religijnych" i uważa, że należałoby przynajmniej dokonać korekty tego przepisu, tak aby usunąć z niego tę uznaniową kategorię.

Mamy wreszcie art. 256 i 257 Kodeksu karnego. Wskazują na nie krytycy pomysłów pana Śmiszka, argumentując, że już teraz są one często interpretowane przez sądy rozszerzająco i w zupełności wystarczą jako hamulec przeciwko nienawistnym wypowiedziom. Pierwszy z nich mówi: „Kto publicznie propaguje nazistowski, komunistyczny, faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3. Tej samej karze podlega, kto publicznie propaguje ideologię nazistowską, komunistyczną, faszystowską lub ideologię nawołującą do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne". To ostatnie zdanie (par. 1a) jest dodatkiem z października ubiegłego roku. Drugi z przepisów powiada: „Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Ze słów wiceministra sprawiedliwości można wnioskować, że nowy przepis miałby albo uzupełnić cytowane wyżej dwa artykuły, albo być skonstruowany w identyczny sposób i przewidywać identyczne kary.

UKRYTA CENZURA

Artykuł 212 jest ważnym punktem odniesienia, ponieważ wywołuje on tzw. efekt mrożący. To nic innego jak ukryta cenzura, działająca na zasadzie autocenzury. Obywatele, wiedząc, że za określone wypowiedzi może ich czekać postawienie przed sądem, po prostu powstrzymują się przed ich wygłaszaniem. Nie są zatem potrzebne procesy. Wolność słowa krępuje samo istnienie przepisu. Przedstawiciele zwłaszcza mediów lokalnych albo dziennikarze obywatelscy, za którymi nie stoją duże redakcje, wielokrotnie wskazywali, że art. 212 jest stosowany przez lokalnych polityków jako groźba wobec mediów, które wyciągają ich brudne sprawy.

Tyle że efekt mrożący art. 212 to nic przy skali tego samego efektu, który może osiągnąć przepis o „mowie nienawiści".

eprasa.pl 64aebc5aa1

O ile bowiem w istniejącym przepisie pomówienie musi dotyczyć konkretnej osoby czy podmiotu, o tyle w planowanym będzie to chodzenie po polu minowym. Jako że pojęcie „mowy nienawiści" nie jest zdefiniowane, każdy, wypowiadając się na dowolny kontrowersyjny temat, zwłaszcza tyczący sporu ideologicznego czy kulturowego, będzie mógł się spodziewać, że do akcji ruszy prokurator, a on sam stanie przed sądem. Nietrudno przewidzieć, jak bardzo będzie to krępowało debatę.

Zwolennicy przepisu twierdzą, że niepokoje są bezzasadne, ponieważ decydował będzie „niezawisły sąd". To obłudne tłumaczenie. Po pierwsze – sędziowie mają swoje poglądy i bardzo często dają im wyraz w orzeczeniach. Po drugie – co nawet istotniejsze – aby zadziałał efekt mrożący, nie są w ogóle potrzebne wyroki skazujące. Dla zdecydowanej większości ludzi wystarczająco odstraszająca od korzystania z gwarantowanej konstytucyjnie wolności słowa będzie sama perspektywa uruchomienia postępowania, w którym będą mieć status podejrzanego, później może oskarżonego, a cóż dopiero pojawienia się przed sądem. Nawet gdyby ostatecznie miało się skończyć uniewinnieniem, czego przecież pewnym być nie można. Stosujący ten argument nie rozumieją bowiem, jak działa prawo. Jeżeli pojawia się przepis, to i prokuratura, i sąd po prostu muszą z niego korzystać. Nie mogą ignorować jego istnienia.

Zauważmy też, że same zagadnienia, które ma obejmować nowy przepis, są przedmiotem sporu. Wiceminister Śmiszek mówi, że niedozwolone mają być dyskryminacja lub znieważanie ze względu na „tożsamość płciową". A przecież przedmiotem sporu jest samo istnienie czegoś takiego jak „tożsamość płciowa". Jak w takim razie pan wiceminister wyobraża sobie swobodną debatę na temat tego, czy „tożsamość płciowa" w ogóle istnieje czy też może są po prostu wyłącznie dwie płcie, jeśli można założyć, że za samo podważenie istnienia kategorii ujętej w przepisie uruchamiany będzie prokurator?

Druga rzecz to kontekst kulturowy. Zapowiedź pojawia się w okresie, gdy zwłaszcza lewica chce nas przekonać, że granice wolności powinny nam wyznaczać nie twarde fakty i konkretne czyny, ale czyjeś odczucia. Wystarczy, że ktoś poczuje się czymś „urażony", aby stwierdzić, że należy ograniczyć na tej podstawie wolność innych. W tym wolność słowa. Można więc założyć, że jeśli nowy przepis powstanie, to prokuratura zostanie zasypana doniesieniami lewicowych aktywistów o tym, że poczuli się czymś „urażeni". A jako że nie da się tutaj określić żadnej sztywnej granicy, organy ścigania będą uruchamiane za każdym razem.

W polskim prawie mamy nie za mało, ale o wiele za dużo ograniczeń wolności słowa. Samych tego typu artykułów Kodeksu karnego jest w tej chwili aż sześć. Do tego dochodzą inne, np. zapisane w Ustawie o IPN. Wyjściem dla tych, którzy czują się krzywdzeni werbalnie przez innych, powinien być Kodeks cywilny. Tam bowiem, składając pozew o ochronę dóbr osobistych, nie wystarczy poczuć się urażonym. Trzeba przed sądem dowieść, że z powodu czyichś słów poniosło się realną szkodę. Takie podejście ukróciłoby lewicowe pieniactwo.

Prokuratura zostanie zasypana doniesieniami lewicowych aktywistów o ty, że poczuli się czymś „urażeni"

Nie można zapowiedzi wiceministra Śmiszka widzieć w oderwaniu od decyzji, którą 18 stycznia podjął Parlament Europejski. Tego dnia europosłowie przegłosowali rezolucję wzywającą do rozszerzenia unijnego wykazu przestępstw o nawoływanie do nienawiści i przestępstwa z nienawiści. Rezolucje to co prawda jedynie wyrażenie intencji i stanowiska, ale Komisja Europejska i Rada Europejska wykorzystują je często jako podstawę do swoich działań. Za tą zagłosowali wszyscy posłowie partii tworzących w Polsce koalicję rządową.

PE wzywa, żeby przestępstwa „z nienawiści" uznać za szczególnie groźne przestępstwa transgraniczne, co wymusiłoby na państwach członkowskich zharmonizowanie kar za takie czyny. Parlament domaga się tym samym postawienia takich przestępstw obok zbrodni takich jak terroryzm, handel ludźmi czy pedofilia, które obecnie wymienia art. 83 Traktatu o funkcjonowaniu UE. Mówiąc brutalnie: krytyka lobby LGBT ma mieć tę samą wagę co gwałty na dzieciach albo dokonanie masowego mordu w imię Allaha.

W uzasadnieniu, pełnym ideologicznego bełkotu, PE stwierdza m.in., że „w ostatnich kilku dziesięcioleciach" (o jakim zatem okresie tu mowa?) „doszło do nasilenia różnych form rasizmu, antysemityzmu, islamofobii, ksenofobii, homofobii, transfobii i innych przejawów nietolerancji oraz nastąpił alarmujący wzrost liczby przypadków nakłaniania i podżegania do nienawiści w internecie i poza nim". Ten rzekomy wzrost w istocie jest fikcyjny. Po prostu nastąpiło skrajne przeczulenie na punkcie mniemanej „mowy nienawiści". Jeśli za „homofobię" uznamy każdy krytyczny głos wobec homoseksualistów, choćby najbardziej wyważony i najlepiej udokumentowany, to trudno się dziwić, że statystyka wybija poza skalę.

Parlament wskazuje również na to, że „mowa nienawiści coraz częściej pojawia się w dyskursie politycznym" oraz „kampanie wyborcze stanowią szczególnie podatny grunt dla nawoływania i podżegania do nienawiści, co wpływa nie tylko na sferę polityczną, ale także na funkcjonowanie całego społeczeństwa i pogłębia polaryzację polityczną". Trudno tych uwag nie łączyć z nadchodzącymi wyborami do PE, które będą najważniejsze od wielu cykli wyborczych, a także z wystąpieniem pani Ursuli von der Leyen podczas tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Pani przewodnicząca Komisji Europejskiej opowiadała w nim m.in. o konieczności zmniejszenia politycznej i społecznej polaryzacji. Gdy zaś elita mówi o „zmniejszaniu polaryzacji", ma zawsze na myśli wyeliminowanie z dyskursu kłopotliwych dla niej głosów. A to można łatwo osiągnąć, wprowadzając kategorię „nawoływania do nienawiści" do katalogu unijnych przestępstw.

Powie ktoś: teoria spiskowa. Nie, to po prostu logiczne łączenie faktów. Nie dajmy sobie wmówić, że cztery palce to pięć, a zamach na wolność słowa to walka z „nienawiścią".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Zmowa nienawiści

Piotr Włoczyk

Organizacje LGBT naciskają na kolejne lewicowe rządy w Europie, by wprowadzać drakońskie prawa wymierzone w „mowę nienawiści". Praktyka pokazuje, że organy ścigania mogą podciągnąć pod nią nawet mówienie o biologicznych faktach. Wszystko to ma zamknąć usta ludziom niezgadzającym się na wywracanie porządku naturalnego do góry nogami

To niemożliwe, żeby mężczyźni mogli być lesbijkami i żeby mężczyźni zachodzili w ciąże. Mężczyźni są mężczyznami bez względu na ich fetysze seksualne" – napisała rok temu na Facebooku Tonje Gjevjon, norweska aktorka, która postanowiła przetestować nowe prawo chroniące osoby trans przed „mową nienawiści". Sprawa była o tyle problematyczna dla środowiska trans, że Gjevjon sama jest częścią LGBT. Ta zdeklarowana lesbijka należy jednak równocześnie do tego skrzydła feministek, które ostro zwalczają pogląd, jakoby niektórzy mężczyźni mogli być kobietami. Aktorka cieszy się więc swego rodzaju parasolem ochronnym jako przedstawicielka mniejszości walczącej o pełną emancypację i ciężko jej krytykom przedstawić ją jako „bigotkę". Sprawa Gjevjon była w Norwegii szeroko komentowana i pokazała, że nowelizacja prawa o „mowie nienawiści", wbrew twierdzeniom obrońców tej zmiany, wcale nie jest neutralna dla wolności słowa i nie trzeba nawoływać do przemocy wobec osób trans, by do akcji wkroczyły organy ścigania.

Kłopoty Gjevjon sięgają 2020 r., gdy Norwegia zdecydowała się jeszcze lepiej zabezpieczyć interesy LGBT, penalizując „mowę nienawiści" w kontekście „tożsamości genderowej" (czyli „płci kulturowej") i „ekspresji genderowej". Za nienawistne uwagi wypowiadane w rozmowie prywatnej grozi w krainie fiordów rok więzienia, natomiast publiczne wypowiedzi uznane za „mowę nienawiści" wobec osób trans zagrożone są karą więzienia do lat trzech.

Obrońcy tej zmiany przekonywali, że w żaden sposób nie ograniczy to wolności słowa, ponieważ penalizowane będą jedynie wypowiedzi „podżegające" lub „dehumanizujące" chronione kategorie ludzi. Praktyka pokazuje jednak, że tak skonstruowane prawo daje organom ścigania duże pole do interpretacji tego przepisu.

„MĘŻCZYŹNI LESBIJKI"

Adresatem słów Gjevjon był biologiczny mężczyzna identyfikujący nie tylko jako kobieta, lecz także... lesbijka. W swoim komentarzu w mediach społecznościowych Gjevjon napisała: „Heteroseksualni mężczyźni lesbijki jak Christine Jentoft, za sprawą decyzji Stortingu (parlamentu Norwegii), otrzymali prawne narzędzie do wnoszenia oskarżeń przeciwko takim kobietom lesbijkom jak ja".

Gjevjon oskarżyła też norweskie organizacje LGBT o zgłaszanie do władz ludzi, którzy nie chcą się zgadzać na ten „reżim szalonych wierzeń".

Aktorka lesbijka stwierdziła, że doskonale zdawała sobie sprawę z wagi swoich słów w świetle norweskiego kodeksu karnego. Jak podkreśla, chciała pokazać, do jakiego absurdu zostało doprowadzone w jej ojczyźnie prawo o „mowie nienawiści". I faktycznie udało jej się zwrócić uwagę społeczeństwa na to zagadnienie, a norweska policja wszczęła w tej sprawie dochodzenie. W trakcie ogólnonarodowej debaty na temat statusu „kobiet z penisami" głos zabrali też oczywiście politycy.

„Czy minister do spraw równości wdroży działania, które sprawią, że zagwarantowane zostaną prawa kobiet lesbijek, poprzez jasną deklarację, że nie ma lesbijek z penisami, że mężczyźni nie mogą być lesbijkami niezależnie od ich tożsamości genderowej, a także poprzez posprzątanie bałaganu po szkodliwej polityce genderowej prowadzonej przez poprzedni rząd?" – zapytała Gjevjon norweską minister kultury i równości.

Minister Anette Trettebergstuen odpisała jej: „Nie podzielam takiego rozumienia rzeczywistości, gdzie jedyne dwie płcie są uważane za płeć. Tożsamość płci kulturowej (gender) również jest ważna".

Pięćdziesięcioszześcioletnia Gjevjon w trakcie dyskusji stwierdziła, że gdyby dorastała dziś, to na pewno byłaby zachęcana do „tranzycji", ponieważ była „chłopczycą". Ostatecznie po kilkumiesięcznym policyjnym dochodzeniu Gjevjon nie została postawiona w stan oskarżenia za przypomnienie podstawowych biologicznych faktów. Pytanie, jak skończyłaby się sprawa podejrzanego, który nie cieszyłby się takim „mniejszościowym" parasolem ochronnym…

„Niepokojące w tej sprawie jest to, że poglądy Gjevjon były całkowicie

eprasa.pl 64aebc5aa1

mainstreamowe jeszcze pięć czy sześć lat temu. Jeszcze niedawno pomysł, że mężczyźni mogą być lesbijkami lub matkami, był uważany za kompletnie niedorzeczny. A jednak tak wygląda nasza nowa rzeczywistość – powiedział Paul Coleman, dyrektor Alliance Defending Freedom International, konserwatywnej międzynarodowej organizacji z siedzibą w Wiedniu, która broni tradycyjnych wartości i wolności słowa. – Takie sprawy pokazują, jak groźna jest nieostrość przepisów odnośnie do »mowy nienawiści«. Stare prawa przeciw bluźnierstwom, przy całym ich okrucieństwie, były przynajmniej relatywnie jasne. Zazwyczaj oczywiste było, kiedy dochodziło do przekroczenia granicy. Tymczasem współczesne prawa odnośnie do »mowy nienawiści« są tak niejasno sformułowane, że cały czas podlegają ewolucji i ludzie nagle odkrywają, że złamali prawo".

ZAMKNĄĆ USTA!

W sąsiedniej Finlandii najbardziej znaną do tej pory sprawą z oskarżenia o „mowę nienawiści" wobec LGBT był proces 65-letniej Paivi Räsänen, matki pięciorga dzieci i babci jedenaściorga wnucząt, parlamentarzystki (nieprzerwanie od 1995 r.) i minister spraw wewnętrznych Finlandii w latach 2011–2015. W ostatnich dniach znów było głośno o tej polityk partii Chrześcijańskich Demokratów, ponieważ okazało się, że jej sprawa sądowa będzie miała dalszy ciąg.

Räsänen została oskarżona w 2021 r. o „podżeganie przeciw mniejszości" na podstawie przepisów z fińskiego kodeksu karnego mieszących się w rozdziale pt. „Zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości". Jakich to zbrodni miała się dopuścić ta babcia? Fińska prokuratura uznała, że słowa, które była minister wypowiadała (i pisała) na temat aktów homoseksualnych, kwalifikują się właśnie jako „mowa nienawiści". Śledczy pod lupę wzięli jej tweety, debatę radiową z 2019 r., a także książeczkę o małżeństwie, którą Räsänen napisała w 2004 r. wraz ze swoim mężem, pastorem.

„Ja tylko przypominam, co Pismo Święte mówi o małżeństwie – że to związek kobiety i mężczyzny – oraz o aktach homoseksualnych. Powtarzam: o aktach, o grzechach, a nie ludziach, którzy mają takie skłonności – powiedziała Räsänen w rozmowie z »Do Rzeczy«. – Nigdy nie obrażałam ludzi homoseksualnych, nie groziłam mniejszościom. Zawsze mówię, że wszyscy ludzie mają taką samą wartość, że wszyscy jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, że Jezus umarł za nas wszystkich grzeszników. Ale nie można tych czynów pochwalać! To grzechy. Każdy chrześcijanin musi być tego świadom; małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Każdy akt seksualny między ludźmi poza małżeństwem jest deptaniem woli Boga. Od zawsze podkreślam, że dotyczy to w ten sam sposób ludzi heteroseksualnych. Jednak postępowania dotyczą tylko wypowiedzi na temat homoseksualizmu".

Jednym z pomysłów labourzystów jest wprowadzenie kary do dwóch lat więzienia za celowe używanie „złych" zaimków wobec osób określających się jako „trans"

Jej kłopoty z prawem rozpoczęły się od pytania, które Räsänen zadała liderom jej Kościoła w sprawie popierania przez nich parad równości.

„W jawny sposób promują one akty uznawane przez Biblię za bardzo grzeszne. Tego typu parady to przecież dumne obnoszenie się z grzesznym sposobem życia. Dołączyłam do tego zdjęcie Biblii z fragmentem pierwszego rozdziału Listu do Rzymian (wersety od 24 do 27). Apostoł Paweł mówi w nim o żądzach i grzesznych aktach homoseksualnych. To ruszyło całą lawinę – rozpoczęła się wielka debata w naszych mediach. Jeden z obywateli doniósł na mnie na policję i zaczęło się dochodzenie" – tłumaczy fińska parlamentarzystka.

Równolegle po sądach ciągany był biskup luterański Juhana Pohjola, który 20 lat temu opublikował książeczkę Räsänen na temat małżeństwa. Obie sprawy były nagłośnione przez media na całym świecie. Lewica widziała w nich słuszną walkę z „mową nienawiści" wobec mniejszości, z kolei bardziej umiarkowani obserwatorzy zadawali pytania, czy Finlandię można jeszcze uznawać za kraj, w którym panuje wolność słowa.

Co ciekawe, sama oskarżona, gdy zasiadała w parlamencie, głosowała za zmianami w prawie, przez które dekadę później miała problemy.

„Nigdy nie myślałam jednak, że zostanie to użyte przeciw mnie. Gdy w 2010 r. głosowaliśmy nad takim prawem, wiedzieliśmy, że chodzi również o zabezpieczenie mniejszości seksualnych. Miałam jednak przed oczyma prawdziwe zagrożenia: prześladowanie, przemoc, zarówno werbalną, jak i fizyczną. I dlatego to prawo zostało przyjęte jednomyślnie. Nigdy bym nie pomyślała, że moja książeczka o małżeństwie może być uznana za podżeganie do nienawiści…" – powiedziała „Do Rzeczy" Räsänen.

Oskarżenie prokuratury było na tyle słabo uargumentowane, że w obu instancjach sądy uniewinniły zarówno byłą minister, jak i biskupa. Dwa tygodnie temu jednak, w ostatnim możliwym terminie, prokuratura odwołała się od prawomocnego wyroku do Sądu Najwyższego, więc Räsänen i bp Pohjola muszą jeszcze poczekać na ostateczny werdykt.

„To, co się ze mną dzieje, będzie miało efekt mrożący dla chrześcijan. Dlatego mówię chrześcijanom w Finlandii: żyjemy w czasach, gdy nie wolno nam się bać. Nie możemy się bać stawać w obronie naszej wiary, bo będzie naprawdę źle" – podkreśla była minister.

„Jeżeli weźmiemy pod uwagę czas, energię i środki, które Räsänen musiała na to wszystko stracić, by się bronić,

eprasa.pl 64aebc5aa1

to widać, jaki to absurd – skomentował Paul Coleman z ADF International. – Współczesny ruch zorganizowany wokół walki z »mową nienawiści« to coś na kształt XXI-wiecznego ruchu orędowników praw wymierzonych w bluźnierstwa – praw, które zabraniają wszelkich odstępstw od panującej, narzuconej przez państwo ortodoksji".

MARZENIE LABOURZYSTÓW

Wszystko wskazuje na to, że już niedługo jedno z najbardziej drakońskich praw w kwestii „mowy nienawiści" wobec LGBT będzie obowiązywało w Wielkiej Brytanii. Sondaże wyborcze pokazują bowiem, że Partia Pracy odniesie w najbliższych wyborach parlamentarnych miażdżące zwycięstwo nad torysami, a jej politycy zapowiadają zaostrzenie przepisów w kwestii „mowy nienawiści". Jednym z pomysłów labourzystów jest wprowadzenie kary do dwóch lat więzienia za celowe używanie „złych" zaimków wobec osób określających się jako „trans" lub przynależących po prostu do jednej (lub kilku) odkrytych w ostatnich latach tożsamości płciowych. Innymi słowy: jeżeli dany człowiek życzy sobie, abyśmy zwracali się do niego np. jako „ono", a my widzimy przed sobą mężczyznę ubranego na modłę kobiecą i z rozmysłem używamy zaimka „on", to jeżeli taka rozmowa będzie miała miejsce na terenie Wielkiej Brytanii rządzonej przez labourzystów, to będziemy mogli za to trafić na dłuższy czas za kratki. To samo z używaniem wobec danej osoby imienia, które nadano jej po przyjściu na świat (tzw. deadnaming), zamiast imienia wymyślonego na potrzeby nowej identyfikacji płciowej. „Daily Mail" w swoim tekście na ten temat publikuje anonimową, co wiele mówiące, wypowiedź jednego z polityków konserwatystów. Trudno się dziwić, że jest to głos bez imienia i nazwiska – ruch trans osiągnął dziś w Wielkiej Brytanii status niemal parareligijny i wielu polityków po prostu boi się go krytykować, nawet jeżeli krytyka pomysłu labourzystów jest ubrana w dość dyplomatyczne słowa: „Niektóre jednostki policji udowodniły, że zbyt gorliwie ścigają domniemane przestępstwa popełniane z nienawiści i taka reforma dałaby im sygnał, żeby iść w tym jeszcze dalej. Widzieliśmy już ludzi aresztowanych za używanie nie takich zaimków, ale to nie wystarczy labourzystom – chcą takich ludzi zamykać na dwa lata w więzieniach".

FOT. ADOBE STOCK

Jednym z takich przypadków była sprawa 55-letniej Jennifer Swayne, niepełnosprawnej feministki z walijskiego miasta Newport. Swayne jeździła po mieście swoim elektrycznym wózkiem i nalepiała na murach oraz na latarniach plakaty, na których widniały m.in. następujące hasła: „Żadnych mężczyzn w kobiecych więzieniach", „Nikt nie rodzi się w niewłaściwym ciele". Policja zatrzymała ją na 13 godzin po tym, gdy dostała telefoniczne zgłoszenie, jakoby Swayne rozsiewała po mieście „nienawistne hasła". Funkcjonariusze weszli też do mieszkania kobiety, gdzie zarekwirowali m.in. książkę pt. „Transpłciowe dzieci i młodzież: urodzeni we własnych ciałach". Szczęśliwie dla niej policja nie zdecydowała się jednak przekazać sprawy do prokuratury.

„To jak cholerne Stasi, to potworne, absolutnie potworne. Byłam przerażona" – skomentowała Swayne w rozmowie z mediami swoją „przygodę" w policyjnej izbie zatrzymań.

Na razie jest jedna kandydatka do uwięzienia za używanie „złych" zaimków, która sama się zresztą wyrywa do odbycia kary. J.K. Rowling, słynna brytyjska pisarka, autorka „Harry'ego Pottera", już kilka lat temu dała się poznać jako przeciwniczka ruchu transpłciowego, podkreślając stanowczo, że w przyrodzie nie występują kobiety z penisami.

„Z przyjemnością pójdę za kratki na dwa lata, jeżeli alternatywą jest przymus używania danego słownictwa i zmuszanie ludzi do ignorowania rzeczywistości i istotności płci" – powiedziała niedawno Rowling.

Czy grozi nam wysyp podobnych spraw w innych krajach europejskich? Wiele wskazuje na to, że tak, jeżeli zrealizowane zostaną pomysły Parlamentu Europejskiej i Komisji Europejskiej, które chcą, by mowa nienawiści była traktowane w całej unii jako przestępstwo. Bruksela ponagla właśnie państwa członkowskie, by pilnie pochyliły się nad tym tematem…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Trochę słońca w zimowej szarzyźnie

Mariusz Kamiński po opuszczeniu aresztu w Radomiu

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Piotr Semka

Przed Aresztem Śledczym w Radomiu i Zakładem Karnym w Przytułach Starych 23 stycznia wieczorem słychać było naprawdę głośne owacje. Wyjście na wolność Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika było bardzo potrzebnym sukcesem dla poobijanego PiS

Obok demonstracji 11 stycznia była to druga okazja do zmobilizowania sympatyków głównej partii opozycyjnej. Ale w roli kogoś, kto odzyskał inicjatywę, wystąpił też prezydent Andrzej Duda. Co ciekawe, TVN, który poświęcił dużo uwagi wydarzeniom spod obu miejsc osadzenia, został za to ostro skrytykowany przez część twardego elektoratu spod znaku #SilniRazem. Jeden z antypisowskich radykałów tak pisał do stacji z Wiertniczej: „Przestańcie ich pokazywać i pisać o nich! Tylko promujecie w ten sposób nową religię PiS. Promocja za darmo".

Donald Tusk zapewne ważył racje, kiedy decydował o zgodzie na zwolnienie obu parlamentarzystów. Jak można się domyślać, argumentował w swojej partii, że zmusił prezydenta do uznania, iż jego pierwsza decyzja o ułaskawieniu była nic niewarta. Ale aura więźniów politycznych wokół Wąsika i Kamińskiego też nie była specjalnie na rękę liderowi Platformy.

Teraz oczywiście Wąsik i Kamiński będą próbowali szturmować bramy parlamentu. I podobnie jak w wielu już sporach prawni-

eprasa.pl 64aebc5aa1

czych trwających od 13 grudnia ubiegłego roku obie strony konfliktu do końca nie wiedzą, kto ma ich status rozstrzygnąć. Czyżby to miała być Państwowa Komisja Wyborcza? Niektórzy z komentatorów spekulują, że nie zdziwiliby się, gdyby doszło do swego rodzaju zgniłego kompromisu. Status Macieja Wąsika jako posła zostanie uznany, ale takie same prawa Mariusza Kamińskiego już nie.

Jest jeszcze inna możliwość: dalsze szukanie przez nową władzę „haków" na tych dwóch byłych liderów Ligi Republikańskiej. Donald Tusk mściwie ogłasza, że sprawa Kamińskiego i Wąsika „nie skończyła się, a dopiero zaczyna". Główny „młot na PiS-owców" w obozie Platformy, czyli Roman Giertych, już wysyła wniosek do prokuratury o ukaranie dwóch posłów PiS na podstawie zeznań byłego agenta „Tomka". Giertych w typowym dla siebie stylu politycznej pogróżki pisze na portalu X: „Jeśli agent Tomek powiedział prawdę o wizytach w Wiedniu, to cała procedura ułaskawieniowa jest bez sensu. Po co mają wychodzić, skoro zaraz powrócą?". Wtóruje mu inny poseł Koalicji Obywatelskiej, Dariusz Joński: „Nie można wykluczyć, że nie będzie to ostatnie ułaskawienie [Kamińskiego i Wąsika – przyp. red.] przez A. Dudę".

O wszystkim jak zwykle zadecyduje zmysł medialny doradców Tuska. Jeśli nowy premier uzna, że nękanie dwóch parlamentarzystów może odbywać się bez straty popularności nowej koalicji, to na pewno uderzy raz jeszcze. A powoli podporządkowywana Adamowi Bodnarowi prokuratura na pewno znajdzie jakiś sposób na dalsze grillowanie „wrogów numer jeden" Donalda Tuska.

SAMOTNY PREZYDENT

Środa 24 stycznia – prezydent z demonstracyjnymi honorami przyjął Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Głowa państwa wyraźnie chciała zatrzeć złe wrażenie po pewnym pogubieniu się w okresie tuż po rajdzie policji na Pałac Prezydencki w celu zatrzymania dwóch posłów. To pierwszy od dłuższego czasu jakiś dowód na sprawczość Pałacu Prezydenckiego.

Jeszcze na początku roku prezydent i jego doradcy sugerowali, że Andrzej Duda może występować w roli rozjemcy między koalicją a PiS. Dziś już widać wyraźnie, że nowa władza absolutnie nie ma na to ochoty. Co pewien czas czy to Konfederacja, czy to nawet PSL podnoszą postulat negocjacji w sprawie tzw. resetu konstytucyjnego, ale główny rozdający karty – Donald Tusk – ani myśli o żadnych „okrągłych stołach". Trafnie komentuje tę sytuację prawnik Kamil Zaradkiewicz: „Tak zwany reset konstytucyjny to pomysł ratujący stan państwa (choć oczywiście diabeł tkwi w szczegółach). Ale niestety obecnie nie ma on szans. Przede wszystkim z uwagi na to, że obecna władza polityczna nie ma w tym politycznego interesu tak długo, jak widzi szansę odbudowy i wzmocnienia układu oligarchicznego".

Donald Tusk zachowuje się pewnie i butnie, bo wie, że ma za sobą pełne poparcie Unii Europejskiej. Na dodatek Stany Zjednoczone wyraźnie umywają ręce od konfliktu politycznego w Polsce. Prezydent jest więc na słabej pozycji. Przedstawiciele centrolewu nie ukrywają, że prowadzić będą politykę tak, aby omijać groźbę weta prezydenckiego wobec ich ustaw.

Tym bardziej dziwi kontynuowanie przez Marcina Mastalerka, szefa gabinetu prezydenta, konsekwentnej polityki lekceważących wypowiedzi na temat Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli wierzyć medialnym przeciekom, to Nowogrodzka nie jest zachwycona, że dowiaduje się o decyzjach prezydenckich z mediów, a nie z jakichś poufnych sygnałów wysyłanych z Pałacu Prezydenckiego.

Ponadto Jarosławowi Kaczyńskiemu coraz częściej zdarza się publicznie pouczać prezydenta na temat tego, co ma robić w obliczu agresji ustrojowej Donalda Tuska. Na dodatek obie strony bywają stawiane w trudnej sytuacji wobec sprytnej taktyki Tuska igrania wokół możliwości nowych aktów bezprawia. Tak, by potem, gdy groźba się nie spełnia, wyśmiewać nadwrażliwość prawicy. Tak było w wypadku obaw o siłowe zajęcie prokuratury krajowej i pospiesznie zwołanej 24 stycznia pod jej gmachem konferencji prasowej liderów PiS.

Tusk dość wyraźnie chce zabrać prezydentowi jego główną wcześniejszą specjalność, czyli relacje z Kijowem i pomoc dla Ukrainy. Co prawda, premier nie ogłosił zbyt wielu szczegółów po wizycie w stolicy Ukrainy, a kwestia rozwiązania importu i transferu produktów rolnych z kraju naszego wschodniego sąsiada ciągle jest daleka od trwałego rozwiązania. Mimo to prezydentowi znowu ograniczono pola działania, choć nie ma on ich znowu aż tak wiele. „Gazeta Wyborcza" z lubością dolewa oliwy do ognia, prowadząc na swoich łamach dywagacje, czy Andrzej Duda ufa swojej ochronie, która przecież już raz zawiodła w momencie policyjnego rajdu na Pałac w celu aresztowania Kamińskiego i Wąsika.

Do osłabiania powagi prezydenta chętnie też dołącza najbardziej twardogłowy elektorat platformerski spod znaku #SilniRazem. W sieci zbierane są głosy poparcia pod wnioskiem, by Sejm ogłosił referendum w sprawie odsunięcia prezydenta od władzy. Oczywiście konstytucja nie przewiduje takiej możliwości, ale w obecnych czasach, gdy ewidentne łamanie prawa przez Platformę wywołuje zachwyty prawników i zagranicznych mediów, pojęcie tego, co jest możliwe w polskiej polityce, uległo niepokojącemu rozszerzeniu.

WSZYSTKIE DRAMATY PIS

Kondycja wewnętrzna głównej partii opozycyjnej to także ulubione pole dywagacji mediów wspierających Platformę. Nie ma nic łatwiejszego od publikowania kolejnych tekstów zawierających tezy sygnowane jako wypowiedzi anonimowych polityków z Nowogrodzkiej. Oczywiście główna linia to powtarzanie do znudzenia, że PiS się wszystkiego boi, że działacze stracili wiarę w skuteczność prezesa Kaczyńskiego, plus dodatkowa stara mantra, mająca być samosprawdzającą się przepowiednią, że PiS podzieli się na realistów i radykałów.

Jednak faktem jest, że w PiS debaty wewnętrzne są wyraźnie widoczne. Najlepszym przykładem takiego starcia była dyskusja w klubie PiS z 17 stycznia, dotycząca tego, jak odnieść się do wniosku Lewicy o odwołanie Krzysztofa Bosaka z Prezydium Sejmu. Szef klubu Mariusz Błaszczak – reprezentujący, jak się wydaje, pogląd prezesa Kaczyńskiego – lansował głosowanie za odwołaniem Bosaka. Były w tym stanowisku nieufność wobec Konfederacji jako niepewnego ugrupowania gotowego do poufnych targów z Koalicją Obywatelską, a także forsowanie tezy, że sytuacja powinna być jasna: nikogo z opozycji w Prezydium Sejmu.

eprasa.pl 64aebc5aa1

Bardzo żywiołowo przeciwstawił się tej linii Przemysław Czarnek, który chyba po raz pierwszy tak wyraźnie rzucił wyzwanie Błaszczakowi jako szefowi klubu. Były minister edukacji i nauki wskazywał, że wspieranie przez PiS wniosku Lewicy, motywowanego ideologiczną poprawnością polityczną, jest absurdem. Ważniejsze było to, że Czarnka wsparli w tym sporze parlamentarzyści z drugiego czy trzeciego szeregu posłów PiS. Jeden z nich tak tłumaczy swoje stanowisko: „Nie możemy odwracać się plecami od Konfederacji, nawet jeżeli nie mamy do końca zaufania do ich opozycyjnej jednoznaczności".

Tusk otwiera tyle frontów naraz i tak bardzo lekceważy swoje przedwyborcze obietnice, że może to w końcu wywołać eskalację protestów

To staranie się o jakiś modus vivendi z Konfederacją jest tym bardziej zrozumiałe, że zbladły nadzieje, iż posłowie PSL będą bardziej wyraziści w obronie konserwatywnych wartości – i szerzej – będą dystansować się od metody na rympał w zdobywaniu kolejnych instytucji przez Tuska. Tak się nie dzieje. „Wielu posłów PSL zachowuje się tak, jakby było sparaliżowanych dyscypliną koalicji. Wyraźnie unikają oni wywiązywania się z jakichkolwiek rozmów z nami , które mogłyby tworzyć jakiś punkt wyjścia do zasypywania dawnych linii podziałów" – mówi jeden z parlamentarzystów PiS.

Kolejnym problemem, przed którym stoi PiS, jest żelazny już temat sposobu przesuwania ośrodka decyzyjnego od posuwającego się coraz bardziej w szacowny wiek Jarosława Kaczyńskiego w stronę jakiegoś nowego centrum decyzyjnego. Trudno powiedzieć, ile jest prawdy w pogłoskach, że Jarosław Kaczyński zapowiada, iż nie będzie osobiście wskazywał nowego kandydata na szefa partii. Faktem jest, że jeśli ma swoją ostatnią kadencję zakończyć w połowie 2025 r., to i tak wszystkie najważniejsze trzy wybory odbywać się będą pod jego przywództwem.

Jednak życie nie znosi próżni. Każdy widzi, że już teraz toczy się swoista rywalizacja w aktywności wspomnianego Przemysława Czarnka, Mariusza Błaszczaka czy Mateusza Morawieckiego. Niektórzy dorzucają jeszcze do tego zestawu Beatę Szydło, ale była premier ma, jak się zdaje, najmniejsze szanse w tym wyścigu. W partii wzrosła też pozycja duetu Kamiński-Wąsik. Po ostatnich wydarzeniach ich głos będzie się bardzo liczył w wewnątrzpartyjnych debatach.

W Internecie znaleźć już można ogłoszenia reklamujące spotkania Mateusza Morawieckiego na terenie całej Polski. Gdy piszę te słowa, w sieci można znaleźć zapowiedzi spotkania z byłym premierem w sobotę 27 stycznia w Łodzi, a potem w niedzielę 28 stycznia w Gdańsku. Czy nie jest to coś w rodzaju kampanii na rzecz budowania swojej pozycji delfina? Zresztą Morawiecki jako jedyny nie ukrywa, że ma ambicje aspirowania do roli następcy Kaczyńskiego. Indagowany w Radiu Zet, czy chciałby zawalczyć o przywództwo w partii po prezesie, Morawiecki nie wahał się niedawno odpowiedzieć: „Tak".

Pytanie, kiedy otwartym tekstem zacznie to samo mówić Przemysław Czarnek. Bo o tym, że realnie myśli on o przewodzeniu partii, przekonanych jest coraz więcej PiS-owców. Zdecydowanie osłabiona jest pozycja Zbigniewa Ziobry, który jest na leczeniu szpitalnym w związku z walką z nowotworem, a jego faktyczny zastępca, Patryk Jaki, szuka na razie dla siebie jakiejś roli, w której mógłby zabłysnąć przed całą Zjednoczoną Prawicą. Jak się zdaje, osłabła pozycja Adama Bielana, który przez lata wygrywał w roli zaufanego doradcy Jarosława Kaczyńskiego, ale płaci za to teraz niechęcią ze strony innych pretendentów do schedy po Kaczyńskim.

ZA CHWILĘ BÓJ O SAMORZĄDY

Jeden ze znaczących na platformie X komentatorów PiS-owskiej polityki pisze: „Rozpytywałem, kto z PiSu jest przymierzany do walki o prezydenturę miasta Łodzi. Nikt nic nie wie. Każdy siedzi cicho i czeka na myśl przewodnią pani Janiny [chodzi prawdopodobnie o Janinę Goss, jedną z zaufanych Jarosława Kaczyńskiego – przyp. P.S.], która 5 lutego ukończy 81 lat. Może warto na poważnie wziąć się za robotę".

Ten głos dobrze oddaje brak dobrego pomysłu PiS na najbliższe wybory samorządowe. Jej politycy są na tyle realistami, by wiedzieć, że w obecnej aurze politycznej dominacji koalicja jest wciąż silna. Co prawda, centrolew pójdzie w dwóch blokach Platformy z Lewicą oraz Trzeciej Drogi, czyli Polski 2050 Hołowni z PSL, ale akurat wybory samorządowe zawsze były dla Platformy najbardziej korzystne. Nic nie wskazuje na to, że zagrożona jest dominacja PO lub popieranych przez nią niby-partyjnych „wiecznych prezydentów" w Gdańsku, Poznaniu, we Wrocławiu, w Łodzi, Rzeszowie i Warszawie.

Faktem jest, że PiS nie ogłosił jeszcze w żadnym z tych miast, kogo wystawi. A na realną kampanię będą tylko dwa miesiące: luty i marzec. Bo do wyborów ma dojść 7 kwietnia tego roku. Czasu więc jest tak mało, że PiS trudno nawet wymyślić jakąś wspólną taktykę. „Jedyne, co możemy zrobić, to wzywać do uczynienia z wyborów samorządowych pierwszej okazji do pokazania czerwonej kartki Tuskowi. Powoli zaczyna się kumulować pierwsza fala niezadowolenia społecznego z porzucania przez Tuska obietnic przedwyborczych. Do nauczycieli dociera, że zostaną oszwabieni w kwestii podwyżek, a rolnicy, coraz bardziej zaniepokojeni zalewem ukraińskiej żywności, właśnie zaczynają organizować ogólnopolskie protesty. Tacy najemnicy Tuska jak Michał Kołodziejczak z Agrounii tylko jeszcze bardziej rozjuszają gniew na wsi" – mówi jeden z polityków PiS.

Na razie sondaże nie wskazują, by arogancja i brutalność Tuska dotarły w głębszym stopniu do mas wyborców. Ale pamiętać należy, że Tusk otwiera tyle frontów naraz i tak bardzo lekceważy swoje przedwyborcze obietnice, iż może to w końcu wywołać eskalację protestów. Tyle że wybory samorządowe są stosunkowo szybko, a rozczarowanie Tuskiem nie musi przyjść tak szybko. Dlatego PiS-owcy po cichu przyznają, że można jedynie modlić się o minimalizację strat, a pierwszym momentem przełożenia się niezadowolenia społecznego na wynik elekcji mogą być dopiero jesienne eurowybory. Tymczasem PiS musi się do jesiennej batalii przeczołgać przez samorządowy test, starając się, by straty były jak najmniejsze. Mury Tuskowej fortecy na razie są zbyt solidne, by myśleć o frontalnym ataku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Tuskowi wolno wszystko. Jeszcze

Premier Donald Tusk oraz szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, Bruksela, 15 grudnia 2023 r. FOT. PAP/MARCIN OBARA

Rafał A. Ziemkiewicz

Politycy unijni wciąż trzymają nad bezprawiem w Polsce parasol ochronny, w charakterystyczny dla siebie sposób: udając, że go nie zauważają. To nie będzie trwało wiecznie

Po serii miażdżących dla nowego rządu wyroków sądów, które wstrzymały planowany „blitzkrieg" Sienkiewicza w mediach państwowych i Bodnara w prokuraturze, do tego ostatniego przyjeżdża Marco Buschmann, minister sprawiedliwości RFN, by mu demonstracyjnie „pogratulować objęcia urzędu". Objęcie urzędu miało wszak miejsce pięć tygodni temu, a Niemcy nie leżą od Polski aż tak daleko; w oczywisty więc sposób chodziło nie o gratulacje, a o podkreślenie, że w oczach sojuszników ludzie Tuska wciąż mają od Unii „licencję na odbicie państwa" – jak to ujęła prorządowa „Polityka", nawiązując do bondowskiej „licencji na zabijanie".

W kontekście wydarzeń następnego dnia – doniesień o domniemanej próbie siłowego włamania przez ministra Bodnara do gabinetu prokuratora Barskiego – ta wizyta, podobnie jak wizyta w Warszawie komisarza Didiera Reyndersa czy wcześniej Věry Jourovej, zgodnie zapewniających o poparciu KE dla dzieła „przywracania praworządności", może też jednak być odebrana jako forma przynaglenia warszawskich sojuszników. Unijni patroni Tuska mają prawo być zniecierpliwieni. Choć oficjalnie żaden z nich nie odniósł się jeszcze do jakichkolwiek konkretnych działań jego rządu, a i zachodnie media informują o nich nader ogólnikowo, to trudno, by nie zauważali, że „odbijanie państwa" idzie zbyt powoli. W zamierzeniu wszystko miało się skończyć, zanim Polacy wstaną od świątecznych stołów: TVP, PAP i PR z nowymi zarządami, prokuratura wzięta za twarz, wszystko zatwierdzone orzeczeniami sędziów, zastraszonych przez bojówki „Iustycji",

eprasa.pl 64aebc5aa1

usuwające z gabinetów „pisowskich" prezesów sądów i szefów wydziałów. Tymczasem referendarze Krajowego Rejestru Sądowego ośmielili się odmówić wpisania doń zarówno „nowych zarządów", jak i „likwidatorów" mediów państwowych powołanych przez Sienkiewicza, nominat Bodnara na prokuratora krajowego, zgodnie oprotestowany przez zastępców, ugrzązł przed gabinetem Barskiego niczym czołgi von Bocka pod Moskwą, a Kamińskiego i Wąsika trzeba było w końcu wypuścić – na dodatek Państwowa Komisja Wyborcza odmówiła wskazania nowych posłów na ich miejsce, żądając od marszałka Hołowni uzupełnienia „podstaw faktycznych i prawnych" decyzji o wygaszeniu mandatów.

Obecność w budynkach mediów posłów opozycji spowolniła znacznie ich przejmowanie i zamieniła je w wielodniowy serial, który zniweczył spodziewany efekt świątecznego odpuszczenia sobie przez Polaków śledzenia wydarzeń. Zmusiła też nową ekipę do nadawania programów informacyjnych i publicystycznych z wynajętego na mieście studia, a i bez tego okazało się, że PO, zadbawszy o znalezienie osiłków do fizycznego zajęcia redakcji, zapomniała o przygotowaniu zawczasu kadry zdolnej kontynuować nadawanie programów. Nawet najbardziej niezainteresowany polityką Polak, widząc ten paździerz i amatorszczyznę, w które nagle, po kilkudniowej przerwie w nadawaniu, zmieniły się TVP Info i „Wiadomości", nie mógł nie zauważyć, że coś się dzieje.

POWODY GRUDNIOWEJ CHRYI

Sytuacja jest dynamiczna i pomiędzy złożeniem tego tekstu do druku a chwilą, gdy go państwo czytają, mogła ulec zmianom – nie wiadomo, w jakim kierunku. Tusk wydaje się szarpany, jak zwykle w takich sytuacjach bywa, przez twardogłowych radykałów oraz liberałów. Pierwsi krzyczą mu, by „przestał się patyczkować", użył do walki z PiS policji i wojska, a nie tylko wynajmowanych „ochroniarzy", by niezwłocznie rozpędził Trybunał Konstytucyjny i Krajową Radę Sądownictwa, wszedł siłowo do NBP, zrobił porządek z sędziami, którzy rozumieją prawo inaczej niż rządząca koalicja – a nawet by większość parlamentarna złożyła z urzędu prezydenta i fizycznie usunęła go z Pałacu. Drudzy (mniej widoczni w pro-Tuskowych mediach) namawiają, by się nieco cofnął, poszukał kompromisu i „resetu konstytucyjnego", wykazując, że dalekosiężne skutki siłowego załatwienia spraw, zwłaszcza jeśli pat będzie się pogłębiał i przedłużał, mogą okazać się dla rządzących znacznie gorsze niż pozostawienie jeszcze przez jakiś czas status quo w niektórych obszarach państwa. Szczególnie jeśli z czasem Tusk straci dla swych działań społeczne przyzwolenie, już teraz wykazywane w sondażach jako niewiele większe od nastrojów sprzeciwu.

Trudno zrozumieć, dlaczego do tak prymitywnych działań skierował Donald Tusk właśnie Adama Bodnara, prawnika z dorobkiem i tytułami do szacunku, podzielanego nawet w środowiskach wobec PO niechętnych

To ostatnie spostrzeżenie – że na okazanej brutalności koalicja rządząca więcej traci, niż zyskuje – jest słuszne, tyle że spóźnione. Pytanie, dlaczego Tusk zdecydował się na tę grudniową chryję, jest w ogóle jednym z najtrudniejszych. Bez wątpienia przejęcie państwa byłoby znacznie skuteczniejsze, gdyby rządzący wykazali więcej sprytu i odrobinę cierpliwości. Gdyby koalicja przyjęła ustawę np. reformującą media państwowe, postawiłaby prezydenta pod ścianą – nie mógłby bronić TVP w jej przedwyborczym kształcie; zresztą nie miał powodu, zważywszy na to, jak upokorzony został przez Kaczyńskiego, gdy publicznie postawił jako warunek podpisania ustawy usunięcie ze stanowiska Jacka Kurskiego. W ten czy inny sposób wbiłby Tusk klin pomiędzy PiS a prezydenta; elementarny zdrowy rozsądek nakazuje przecież skłócać przeciwników ze sobą, a nie ich ku sobie popychać. A że Rachoń czy Holecka pojawialiby się na ekranach kilka miesięcy dłużej? Przecież przekaz mediów państwowych, który symbolizowali, nie tylko nie przeszkodził PO i jej „przystawkom" wygrać wyborów, ale wręcz w tym pomógł, mobilizując przeciwko PiS zrażonych prymitywną propagandą rzeszę „nowych" wyborców, którzy ostatecznie postawili na Trzecią Drogę.

Podobnie nie było żadnych powodów, by przyśpieszać przejmowanie kontroli nad Prokuraturą Krajową. Pojawiły się one dopiero, gdy nieudolność Sienkiewicza i złamanie przezeń prawa, wykazane czarno na białym przez referendarza KRS, zaowocowały śledztwem przeciwko rządzącym. Wtedy to, by możliwe było skręcenie tego śledztwa, nagle prokurator Barski – którego umocowania wcześniej Bodnar nie podważał i do którego sam się odwoływał – został przez tegoż samego Bodnara uznany za „nieskutecznie powołanego". W czym zresztą Bodnar zaplątał się kompletnie, bo jeśli Barski nigdy nie był prokuratorem krajowym, to nie mógł skutecznie powołać do Prokuratury Krajowej kilka tygodni temu Bilewicza, a więc Bodnar nie mógł go mianować pełniącym obowiązki prokuratorem krajowym. Zresztą i tak nie mógł, bo w ogóle nie ma takiej funkcji.

Rozmiary kompromitacji Adama Bodnara, któremu co i raz prawnicy (tak były np. argumentowane decyzje referendarzy z KRS) spuszczają merytoryczne cięgi – cytując argumenty tegoż Bodnara z czasów, gdy był rzecznikiem praw obywatelskich i prawnikiem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka – to zresztą temat na osobną rozmowę. Trudno wręcz zrozumieć, dlaczego do tak prymitywnych działań skierował Tusk właśnie jego, prawnika z dorobkiem i tytułami do szacunku, podzielanego nawet w środowiskach wobec PO niechętnych; skoro premier nie potrzebował żadnych błyskotliwych wykładni ani sztuczek prawnych, tylko pałkarza, to wystarczyłby ktoś w rodzaju Nitrasa. Bodnar, profesor prawa, mógł być dla tej koalicji, gdyby była prowadzona rozsądnie, cennym zasobem, tymczasem został przez Tuska po prostu bezpowrotnie zeszmacony (nie da się tego, niestety, określić łagodniej) i ani

eprasa.pl 64aebc5aa1

entuzjastyczne wpisy na twitterowym koncie jego niemieckiego odpowiednika, ani pompatyczne okładki „Newsweeka" i „Polityki" nie są tego w stanie na dłuższą metę przykryć.

Wracając do czystki w prokuraturze, ewidentnie spowodowanej potrzebą szybkiego przejęcia dokumentów śledztwa w sprawie bezprawnego włamania przez rząd do TVP, PAP i PR – to niejedyny wypadek swoistego domina, które uruchomiło tyleż brutalne, ileż nieudolne „odzyskiwanie państwa". Innym jest wysłanie przez Hołownię „umyślnego" do sprzyjającego PO szefa Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Sądzie Najwyższym w sprawie wygaszenia mandatów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, zamiast skierowanie tej sprawy do SN oficjalnie, by, zgodnie z prawem, zajęła się nimi Izba Kontroli Nadzwyczajnej. Sędzia Prusinowski orzekł oczywiście zgodnie z oczekiwaniami rządu, tyle że jego orzeczenie nie ma żadnej mocy prawnej – a skoro tak, to wszystkie głosowania Sejmu, który przemocą nie dopuścił dwóch posłów do obrad, są nieważne. Izba Pracy ma do orzekania o mandatach poselskich mniej więcej takie same kompetencje, jak izba wytrzeźwień – by więc nadać swoim poczynaniom jakiś pozór sensu, ogłosiła przy tej okazji, że uważa izbę właściwą dla sprawy za nieistniejącą. W takim razie jednak nie istnieje także Sejm, bo to ta „nieistniejąca" izba zdecydowała o ważności wyborów, a marszałek Hołownia nie mógł wygasić mandatów i odebrać immunitetów ani nawet skierować sprawy do Sądu Najwyższego, bo nie jest żadnym marszałkiem, tylko najwyżej wodzirejem na prywatnym bankiecie grupy osób, które tylko sobie „domniemały" (taką formułę podsuwają Tuskowi usłużni „eksperci" z jego mediów), że ich wybór był ważny.

PRZEDSMAK BAŁAGANU

Te paradoksy, godne sławnego Zenona z Elei, to tylko przedsmak bałaganu, który wytwarza od pięciu tygodni Tusk (choć, zwróćmy uwagę, on sam nic nie podpisuje, a nawet publicznie się od działań swych ministrów odcina, oznajmiając, że „są niezależni"). Każdy akt bezprawia powoduje skutki, których zażegnywanie wymusza na rządzie kolejne akty bezprawia, a te z kolei rodzą następne… Trudno powiedzieć, czy już osiągnął Tusk na tej równi pochyłej, wiodącej ku całkowitej anarchii i kolapsowi państwa, granicę, po której przekroczeniu nie da się zawrócić – niewątpliwie jest ona blisko.

Żaden eurosceptyk w ostatnich latach nie zdołał dostarczyć Polakom tylu przekonujących dowodów obłudy i nieuczciwości Unii Europejskiej w postępowaniu z Polską i jej podporządkowaniu kolonialnej polityce Niemiec, ile dostarczył ich Tusk

A wszystko zaczęło się od wtargnięcia powołanych ad hoc „nowych zarządów" Sienkiewicza do mediów, kompletnie nieprzygotowanego i nieprzemyślanego. Jeśli odrzucić, jako oczywisty nonsens, sugestię Tuska, że Sienkiewicz działał z własnej inicjatywy, to wyjaśnienie przyśpieszenia tej akcji można znaleźć tylko jedno: Tusk chciał zrobić to w chwili, kiedy w Warszawie była Věra Jourová. Jej obecność i jej wymowne milczenie, demonstracyjne wręcz niedostrzeganie kryzysu, który skupiał wtedy uwagę wszystkich mediów, przerwało dyskusje, czy Europa powinna usprawiedliwić „użycie metod państwa policyjnego dla przywrócenia praworządności", jak do tego namawiał w niemieckiej prasie Klaus Bachman. Jourová je de facto usprawiedliwiła i określiła na przyszłość postawę innych eurokratów.

Pytanie: Czy na długo? Zachodnie media mogą sobie pozwolić na usprawiedliwianie „innowacyjnych działań prawnych" Tuska „koniecznością rozwikłania ogromnej sieci antydemokratycznej, która została utkana przez osiem lat rządów PiS", czyli „wyrwania kluczowych instytucji z rąk osób mianowanych przez PiS", bo „niemal wszędzie siedzą pisowcy, w każdym szpitalu, w każdym teatrze" (cytaty z „Finacial Times", „Der Spiegel" i „El Independente"). Politycy unijni do aż tak horrendalnej retoryki posuwać się nie mogą choćby dlatego, że zbliżają się wybory do europarlamentu, w których wedle sondaży po raz pierwszy „populiści" mogą złamać dominację chadecko-liberalno-socjalistycznego kartelu, trzymającego dotąd w garści i tę instytucję, i całą Unię. Otwarte popieranie przez ludzi tego kartelu aktów bezprawia w jednym z krajów członkowskich, autoryzowanie przez nich zamachu Tuska na Polskę może dostarczyć dodatkowych argumentów Frontowi Narodowemu, AfD, VOX, Braciom Włochom i innym oraz zmobilizować przeciwko eurokratom elektoraty „populistów". Dlatego Weber, Reynders, Scholz i inni ograniczają się do bardzo ogólnikowych sformułowań o swej radości z tego, że Polska „przywracana jest demokracji" i „wraca do Europy".

Ciekawe, czy i kiedy dojdzie do ich umysłów, w jak ogromnym tkwią błędzie. Pięć tygodni wystarcza, by stwierdzić, że za sprawą Tuska bynajmniej nie odzyskują Polski, ale przeciwnie – tracą ją. Żaden najbardziej zajadły eurosceptyk w ostatnich latach nie zdołał dostarczyć Polakom tylu przekonujących dowodów obłudy i nieuczciwości Unii Europejskiej w postępowaniu z Polską i jej podporządkowaniu kolonialnej polityce Niemiec, ile dostarczyli ich Tusk oraz nieszczędzący mu wyrazów wsparcia unijni „milczący faryzeusze" (by użyć nader adekwatnego do sytuacji określenia z wiersza Norwida).

Na razie tego jeszcze nie widać, ale dynamika zmiany bałwochwalczego stosunku do Europy i upadku nadziei z nią w Polsce wiązanych została zainicjowana i wydaje się nieodwracalna. Wystarczy tylko poczekać, aż wyborcy zobaczą we własnych domowych budżetach skutki dyrektyw „Zielonego Ładu", a na ulicach skutki masowego napływu nielegalnych, „relokowanych" imigrantów, i zaczną łączyć ze sobą poszczególne kropki. Tusk zapewne wierzy, że do tego czasu przeniesie się już do Brukseli i na skutki swych rządów będzie patrzył z bezpiecznej odległości, jak za czasów premier Kopacz i premiera Komorowskiego.

Może się myli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Z Markiem Sawickim, marszałkiem seniorem Sejmu X kadencji, politykiem i posłem Polskiego Stronnictwa Ludowego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Opcja zero

RYSZARD GROMADZKI: W jednej z ostatnich wypowiedzi publicznych stwierdził pan, że system wymiaru sprawiedliwości wymaga głębokiego resetu, bo inaczej utopimy się w „bagnie prawnym". Na czym ten reset miałby polegać?

MAREK SAWICKI: Raczej głęboka przebudowa. Nie chciałbym używać określenia „reset", żeby nie wpisywać się w głos Konfederacji w tej sprawie. Założenie jest proste. Konieczne jest powołanie zespołu konsensualnego skupiającego wybitnych prawników, którzy będą reprezentować zarówno obecną większość parlamentarną, jak i opozycję oraz prezydenta. Ten zespół powinien przygotować kompleksową ofertę w sprawie funkcjonowania Sądu Najwyższego, sądów okręgowych i rejonowych, a także sędziów pokoju czy adwokatury. Naturalnie integralną częścią tej oferty byłaby też przyszłość Trybunału Konstytucyjnego.

Ideą przewodnią, która powinna przyświecać pracom zespołu, byłoby takie opracowanie zasad funkcjonowania wszystkich tych instytucji, żeby mogły działać zgodnie z zapisami konstytucji. Oczywiście nie wszystkie strony muszą uczestniczyć w pracach tego gremium. Ale niezbędnym minimum, koniecznym do tego, żeby skutecznie zreformować wymiar sprawiedliwości, jest wola większości parlamentarnej i pana prezydenta.

Oczekuję, że prof. Bodnar powinien być inicjatorem takiego rozwiązania i związanej z nim dyskusji. W tym stanie rzeczy, z którym mamy do czynienia obecnie, jestem przekonany, że ustawy zgłaszane przez ministra Bodnara będą przez prezydenta wetowane. Tymczasem tu chodzi o kompleksową propozycję reformy wymiaru sprawiedliwości, który przez ostatnie osiem lat został zdemolowany. Mówili o tym sam prezes Kaczyński, były premier Morawiecki, a także między wierszami prezydent Andrzej Duda. O trybunałach międzynarodowych nawet nie będę wspominał. Stanu panującego teraz w polskim wymiarze sprawiedliwości nie można wydłużać.

Na pewno nie można czekać ze zmianami do końca kadencji prezydenta Dudy i liczyć na to, że z nowym prezydentem da się zbudować nowy ład prawny, bo do tego czasu będziemy znowu mieli kilka milionów wyroków i orzeczeń, które będą lub nie będą respektowane.

Powołanie zespołu konsensualnego powinno oznaczać w pierwszym kroku akceptację wszystkich sędziów i prokuratorów powołanych i zatwierdzonych przez pana prezydenta, ale jednocześnie konstytucyjne powołanie na nowo Sądu Najwyższego, Krajowej Rady Sądownictwa, Trybunału Konstytucyjnego.

Niezbędne jest także ułożenie prokuratury, bo ostatnia blokada ze strony prokuratora krajowego była po prostu politycznym włamaniem w system prokuratury, który miał zablokować wszechwładztwo

eprasa.pl 64aebc5aa1

FOT. PAP/KALBAR

zastępcy prokuratora generalnego. To niedopuszczalna praktyka, a przypomnę, że uczestniczył w niej pan prezydent.

Jeślibyśmy wprowadzili taki system uporządkowany od podstaw do samej góry, to wydaje mi się, że zwieńczeniem tego procesu powinno być powołanie izby oceniającej wyroki sędziów, niezależnie od tego, w jakim trybie ci sędziowie zostali powołani, a także wniosków i decyzji prokuratorów. Ci, którzy orzekają zgodnie z prawem, zgodnie z konstytucją, z ustawami, powinni być uznawani, powinni nadal orzekać. Z kolei ci z sędziów i prokuratorów, którzy naruszają konstytucję i ustawy, powinni być przenoszeni w stan spoczynku bądź na niższe stanowiska – czy to w sądownictwie, czy w prokuraturze.

W tak zaognionym konflikcie politycznym, który mamy dziś w Polsce, powołanie konsensualnego zespołu prawników wydaje się bardzo mało prawdopodobne. Ten konflikt wszedł w fazę wrzenia po aresztowaniu w Pałacu Prezydenckim i osadzeniu w więzieniach Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

To, że coś jest trudne, wcale nie oznacza, że jest niemożliwe. To, że wyzwanie związane z naprawą wymiaru sprawiedliwości jest trudne, nie zwalnia z odpowiedzialności nas, polityków, za państwo, z próby podejmowania działań zmierzających do zażegnania kryzysu. Włączanie w tę koncepcję panów Kamińskiego i Wąsika nie ma żadnego związku z reformą wymiaru sprawiedliwości. Za reformę wymiaru sprawiedliwości w ciągu ostatnich ośmiu lat odpowiada sprawujący w tym okresie funkcję ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniew Ziobro. Odpowiadają PiS i prezydent.

Ci dwaj panowie nie byli inicjatorami głównych rozwiązań prawnych, chociaż w zmianach w Kodeksie karnym wykonawczym minister Wąsik miał jakiś swój udział. Dla mnie sprawa panów Kamińskiego i Wąsika jest zupełnie oddzielnym tematem. Rozumiem polityczną obronę, którą stosuje Prawo i Sprawiedliwość, ale nie rozumiem obrony i oceny prawnej, które w tym przypadku stosuje pan prezydent. Zastosowane przez niego wobec tych panów w 2015 r. prawo łaski zostało zakwestionowane przez Sąd Najwyższy zreformowany przez PiS i pana prezydenta Dudę. Wyrok drugiej instancji w tej sprawie wydał sąd, który także był reformowany przez osiem lat przez PiS i prezydenta. Ignorowanie zatem tych orzeczeń przez głowę państwa jest dla mnie niezrozumiałe.

Panowie Kamiński i Wąsik są znów na wolności po tym, jak prezydent zdecydował się ponownie objąć ich aktem łaski, choć wcześniej twierdził, że ułaskawienie z 2015 r. jest skuteczne...

Prezydent mógł z powodzeniem zastosować wobec Kamińskiego i Wąsika konstytucyjne prawo łaski, kiedy obaj panowie gościli w Pałacu Prezydenckim. Przecież doskonale wiedział, że sądy reformowane m.in. przez niego wyrzuciły zastosowany w 2015 r. wobec Kamińskiego i Wąsika akt łaski do kosza. Mógł więc już 9 stycznia zastosować konstytucyjne prawo łaski i obydwu panów uwolnić. Mam jednak obawy, że pan prezydent zdał sobie sprawę po czasie, że tamto ułaskawienie z 2015 r. nie tylko nie sprowadziło tych panów na drogę działań prawnych.

W systemie demokracji konstytucyjnej każdy urzędnik ma obowiązek działania na podstawie i w granicach prawa, tymczasem ci panowie nie tylko nie wykazali żadnej skruchy po skorzystaniu z prawa łaski w 2015 r., lecz także – jak dowiadujemy się teraz z różnego rodzaju postępowań prokuratorskich i informacji medialnych – oni te delikty popełniali wiele razy. Obawiam się, że problem prezydenta ze skorzystaniem ponownie z prawa łaski wobec tych panów wynikał z tego, że prezydent liczy się z tym, że wobec nich będą toczyły się kolejne postępowania o przekroczenie uprawnień w związku z art. 231 Kodeksu karnego. Stąd może próba prezydenta włączenia w proces ułaskawienia prokuratora generalnego, chociaż dla samego aktu łaski opinia prokuratora generalnego nie ma żadnego znaczenia.

> **Nie można czekać ze zmianami do końca kadencji prezydenta Dudy i liczyć na to, że z nowym prezydentem da się zbudować nowy ład prawny**

Zdaniem prezydenta, PiS i części prawników panowie Kamiński i Wąsik są wciąż posłami na Sejm. Tak twierdzi m.in. znany konstytucjonalista prof. Ryszard Piotrowski, którego trudno posądzać o jakieś szczególne sympatie wobec PiS.

Pan prof. Piotrowski, tak jak każdy inny profesor, nie jest nieomylny. W Polsce mimo wszystko obowiązuje konstytucyjny porządek prawny. I to Sąd Najwyższy zreformowany przez PiS i prezydenta nakazał rozpatrzenie procesu karnego i uznał, że zastosowane przez prezydenta Dudę w 2015 r. wobec panów Kamińskiego i Wąsika nie było prawem łaski. Sąd drugiej instancji, sąd okręgowy, skazał prawomocnie obydwu panów. W konstytucji jest jasny zapis, wskazujący, że skazany prawomocnie nie może wykonywać mandatu poselskiego czy senatorskiego. Wydaje mi się, że wobec tej wykładni nie potrzeba już profesorskich głów i jakichś zawijasów

eprasa.pl 64aebc5aa1

interpretacyjnych. W momencie, kiedy sąd drugiej instancji skończył odczytywać wyrok, sprawa została zamknięta. Wszystko, co się dzieje później, ma tylko charakter deklaratywny, ale nie ma mocy prawnej.

Powiedział pan, że odpowiedzialność za zdemolowanie systemu prawnego w ciągu ostatnich ośmiu lat ponoszą były szef resortu sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, cały PiS i prezydent Duda. Jak w takim razie nazwać praktykę pierwszych kilku tygodni rządów Tuska, w postaci działań wobec mediów publicznych firmowanych przez ministra Sienkiewicza, czy tzw. przywracanie praworządności w wykonaniu Adama Bodnara? Czy to są działania w granicach prawa?

Nowa ekipa rządząca na razie nie wniosła jeszcze żadnej ustawy w zakresie reformy wymiaru sprawiedliwości.

No właśnie, bo rządzi w oparciu o wytrychy prawne, np. uchwały i decyzje o wątpliwej podstawie prawnej...

Uchwały nie są prawem obowiązującym. Czy decyzje, które podejmują w tej chwili pan Sienkiewicz czy pan Bodnar, są zgodne z konstytucją, w przyszłości orzekną stosowne sądy. Jestem o tym głęboko przekonany. Zarówno pan Bodnar, jak i pan Sienkiewicz muszą sobie zdawać sprawę z odpowiedzialności za swoje decyzje. Więc niech Prawo i Sprawiedliwość nie mówi o demolowaniu systemu. Fakty mówią same za siebie. W czasach rządów PiS Sąd Najwyższy był reformowany poprzez 18 nowel ustawowych. Krajowa Rada Sądownictwa przez 15 nowel. Nie pamiętam już, ile razy nowelizowano ustawę o Trybunale Konstytucyjnym.

Czy te wszystkie nowelizacje miały na celu udoskonalenie i poprawę funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości? Oczywiście nie. Ich celem było domknięcie systemu w taki sposób, żeby był on zależny od decyzji politycznych, a nie wykonywał prawo. Odnosząc się raz jeszcze do sytuacji panów Kamińskiego i Wąsika, prezydent i jego otoczenie często podkreślali, że prawo łaski wypływa z uprawnień monarszych. Chcę zauważyć, że monarcha nie funkcjonował w realiach konstytucyjnych. Monarcha był kreatorem prawa. W państwie, w którym mamy demokrację konstytucyjną, rządzi prawo, a prezydent, posłowie, urzędnicy, sędziowie i prokuratorzy mają to prawo wykonywać, a nie kreować czy interpretować. Na tym cała rzecz polega.

Przyjęcie opcji zero, która miałaby spowodować nowe otwarcie w systemie sprawiedliwości, co pan postuluje, wymagałoby myślenia kategoriami państwa ze strony całej klasy politycznej. Tymczasem hula wojna na górze i – jak się wydaje – nikt nie jest zainteresowany, żeby ją zakończyć.

Uważam, że w tej sprawie pierwsza inicjatywa należy do prezydenta. Drugą powinien mieć minister sprawiedliwości. Wiemy, że obie strony są w bardzo ostrym sporze.

Jest jeszcze marszałek Sejmu, który może być tu mediatorem, jako druga osoba w państwie. Jeśli marszałek Sejmu wystąpi z taką ofertą zarówno do pana prezydenta, jak i większości parlamentarnej i opozycji, to jestem przekonany, wywodząc to przekonanie z konstytucji, że organy państwa muszą ze sobą współpracować. Współpraca na rzecz państwa i obywateli to ich prawny obowiązek. Zamiast konkurencji i zwalczania się.

Przez lęk przed popełnieniem deliktu konstytucyjnego wszystkie strony sporu politycznego powinny usiąść do stołu

Przez lęk przed popełnieniem deliktu konstytucyjnego wszystkie strony sporu politycznego powinny usiąść do stołu. Mam pełną świadomość, że nie będzie to łatwy proces. Na pewno nie da się tego załatwić w trzy miesiące. Ale w ciągu pół roku albo roku można przygotować solidną strukturę, pod warunkiem że pewne rzeczy uznajemy za zamknięte. Nie wygaszamy prerogatyw prezydenta w zakresie powołania sędziów, uznajemy też, że w świetle orzeczeń połączonych izb Sądu Najwyższego i trybunałów międzynarodowych struktury dzisiejszej Krajowej Rady Sądownictwa, Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego nie są strukturami zgodnymi z konstytucją.

Powodzenie tego procesu zależy od całej klasy politycznej. To jej obywatelski obowiązek wynikający z wyników wyborów. Politycy mają służyć państwu i obywatelom, a nie podsycać konflikt i pogłębiać rowy podziałów. Rolą marszałka Sejmu powinno być zaproponowanie wyjścia z tego chocholego tańca. Chociaż nie mam złudzeń, że do wyborów prezydenckich ten rów będzie przez obie strony sporu politycznego z premedytacją pogłębiany. Ale niech to sami obywatele rozsądzą, kto w tym sporze ma rację. Czy postawić na racjonalne rozwiązania, próbujące odbudować wspólnotę i wyjście do przodu, czy nadal pozostawać w klinczu.

Czy forsowane przez obecną większość sejmową projekty ustaw wprowadzających związki partnerskie osób tej samej płci czy penalizujące tzw. mowę nienawiści i ostentacyjna propaganda proaborcyjna nie powodują, że podziały między Polakami, o których pan wspomniał, będą jeszcze głębsze? Te projekty promuje marszałek Hołownia, którego pan widzi w roli mediatora w kluczowym sporze ustrojowym. Jak tę radykalnie lewicową agendę polityczną pogodzić z konserwatywną wrażliwością ludowców?

Kroki ustawowe związane z wprowadzeniem związków partnerskich, karaniem za „mowę nienawiści" czy liberalizujące aborcję prowadzą wprost do pogłębienia rozdźwięku między konserwatywną a progresywną częścią naszego społeczeństwa. Ale żyjemy w wolnym, demokratycznym państwie. Każda z sił politycznych ma prawo do proponowania swoich rozwiązań. Uczciwie panu mówię: ja za tego typu propozycjami nie zagłosuję. W Polskim Stronnictwie Ludowym od 128 lat w żadnym statucie nigdy nie zapisano jakiegokolwiek obowiązku w sprawach światopoglądowych czy wyznaniowych. To nadal pozostaje rzeczą świętą. Fakt, że tego rodzaju propozycje ustawowe proponuje część partii Hołowni, mnie nie zaskakuje, bo jej część stanowią środowiska progresywne. Chcę jednak zauważyć, że nie wszyscy posłowie Koalicji Obywatelskiej te rozwiązania z pewnością poprą. Na pewno w Sejmie będzie miała miejsce próba przegłosowania tych projektów. Jaki będzie jej finał? Nie wiem. Ja swoje stanowisko prezentuję niezmiennie od 30 lat i nie mam zamiaru go zmieniać pod wpływem mody czy nacisku środowisk, z którymi tworzę dziś koalicję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie rozmawia z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.

REPUBLIKA

#JEDZIEMY

@michalrachon

Od poniedziałku
do piątku

7:15

w Telewizji Republika

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

eprasa.pl 64aebc5aa

Reklamy dla swoich

Karol Gac

Bartosz Hojka, prezes wydającej „Gazetę Wyborczą” Agory, ma nadzieję na to, że po zmianie władzy do jego firmy wrócą reklamy ze spółek Skarbu Państwa i instytucji państwowych. W związku z tą deklaracją warto przypomnieć, gdzie płynął strumień finansowy za czasów rządów koalicji PO-PSL

Temat wydatków państwowych w środkach masowego przekazu regularnie rozpala opinię publiczną. Trudno się dziwić – w końcu chodzi o setki milionów złotych, które kierowane są do mediów. Niestety, najczęściej z politycznego klucza. Zmiana władzy, która oficjalnie dokonała się w Polsce 13 grudnia, została przyjęta po stronie liberalno-lewicowej co najmniej z ulgą. Co najmniej, bo w wielu redakcjach wystrzeliły wręcz korki od szampanów. Myli się ten, kto sądzi, że chodzi wyłącznie o politykę. Ta, rzecz jasna, jest ważna, ale to niejedyny czynnik.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Przez osiem lat Zjednoczonej Prawicy liberalno-lewicowe media otwarcie krytykowały rząd za to, że pozbawił ich państwowych pieniędzy w różnych postaciach. Nic dziwnego. Przez lata zdążyły się przyzwyczaić, że taki stan rzeczy jest naturalny. Dzięki temu mogły m.in. budować swoją przewagę i jednocześnie opowiadać frazesy o wolnym rynku. A ten, jeśli chodzi o obszar mediów, od zawsze był wypaczony, choć to temat na zupełnie oddzielną historię.

Media, które przez osiem lat były w opozycji do rządu, liczą obecnie na finansowe odbicie. Jako pierwszy powiedział o tym otwarcie Bartosz Hojka, prezes Agory, choć nie jest w swoim myśleniu odosobniony. – Mamy nadzieję na powrót do normalności, na to, że wydatki reklamodawców będą odpowiadały naszej pozycji rynkowej i udziałowi w rynku – przyznał w rozmowie z portalem wirtualnemedia.pl. Hojka zaznaczył także, że Agora „była pomijana, jeśli chodzi o wydatki reklamowe spółek Skarbu Państwa, ale także jeżeli chodzi o wydatki reklamowe administracji publicznej”. – Po pierwsze, jest to więc zagadnienie gospodarności, jeśli idzie o wydatki reklamowe spółek Skarbu Państwa, po drugie zaś – wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że byliśmy przedmiotem kartelowej zmowy i bojkotu reklamowego. Mamy nadzieję, że ten patologiczny stan ulegnie zmianie – ocenił.

W podobnym duchu wypowiedział się również członek zarządu Agory odpowiedzialny za segment prasy, Wojciech Bartkowiak. – Po politycznej zmianie w niektórych instytucjach nie odbierano od nas telefonów przez ostatnich osiem lat, chociaż przez ostatnich 20 było to normalną praktyką. Są jednak już instytucje, w których znowu odbiera się od nas telefony. Normalność wraca – stwierdził.

KIEDYŚ TO BYŁO

Deklaracja prezesa Agory to dobry punkt wyjścia, by przypomnieć, jak wyglądał podział reklam za czasów rządów koalicji PO-PSL, czyli w latach 2007–2015. W tym celu warto przeanalizować m.in. prace parlamentarnego zespołu do spraw obrony wolności słowa, w którego skład wchodzili wówczas politycy Prawa i Sprawiedliwości. Opublikował on dwa raporty dotyczące wydatków KPRM i ministerstw na ogłoszenia oraz komunikaty w środkach masowego przekazu. Pierwszy dotyczył lat 2008–2012, drugi zaś roku 2013. Posłowie poprosili każde z ministerstw, by przekazało, ile wydało pieniędzy na ogłoszenia i komunikaty w prasie, radiu, telewizji oraz portalach internetowych. Poproszono również o uwzględnienie środków budżetowych, w tym pochodzących z UE, a także o rozbicie wydatków na poszczególne lata oraz poszczególne tytuły prasowe i internetowe, stacje radiowe i telewizyjne. Należy pamiętać, że raporty powstały wyłącznie na podstawie danych przesłanych z ministerstw. To o tyle ważne zastrzeżenie, że nie wszystkie ministerstwa odpowiedziały precyzyjnie. Część z nich próbowała różnych sztuczek, byleby tylko nie podać konkretnych danych.

Choć w raporcie nie ujęto wszystkich instytucji państwowych, nie mówiąc już o samorządowych, to kwoty oraz ich podział były niezwykle symptomatyczne. I tak do mediów z ministerstw w ciągu pięciu lat popłynęło blisko 125 mln zł. Ponad połowa (51,6 proc.) wszystkich pieniędzy wydanych przez resorty rządu Donalda Tuska na ogłoszenia i reklamy w dziennikach ogólnopolskich trafiła do „Gazety Wyborczej” (5,9 mln zł). Na drugim miejscu znalazła się „Rzeczpospolita” (35,1 proc.), która zarobiła 4 mln zł.

Rozkład wydatków resortów na ogłoszenia i komunikaty w tygodnikach jest jeszcze bardziej wymowny – 47 proc. pieniędzy popłynęło do „Polityki”, a 45 proc. do „Newsweeka”. Tylko 8 proc. przypadło „Wprost”. Jeśli chodzi zaś o segment telewizji, to w latach 2008–2012 najwięcej publicznych pieniędzy (ok. 24 mln zł) trafiło do Telewizji Polskiej (41 proc.). Na drugim miejscu znalazła się Grupa TVN (33 proc. i ok. 19 mln zł.), a na trzecim Polsat (15 proc. i blisko 9 mln zł).

Zgodnie z raportem najwięcej pieniędzy na reklamy i ogłoszenia wydało wówczas Ministerstwo Edukacji Narodowej (ponad 25 mln zł), a duża część tej kwoty została wydana na promocję akcji posyłania do szkół sześciolatków. Ciekawy przypadek to budżet reklamowy Ministerstwa Zdrowia, które w 2008 r. wydało niespełna 45 tys. zł, by cztery lata później przeznaczyć na wydatki już ponad 7,8 mln zł. – Każdy obywatel, który zapozna się z tymi wykresami, nie będzie już taki pewny, czy media głównego nurtu rzeczywiście są niezależne. Raport zespołu pokazuje także dobitnie medialne preferencje rządu, nic tego lepiej nie zobrazuje, jak właśnie

eprasa.pl 64aebc5aa1

FOT. MATEUSZ SZYMAŃSKI/ADOBE STOCK

powiązania finansowe – mówił w 2013 r. poseł PiS Jarosław Zieliński.

W drugim raporcie zaprezentowano nie tylko wydatki KPRM i ministerstw z 2013 r., lecz także dane dotyczące prenumeraty poszczególnych tytułów prasowych. Okazało się, że w 2013 r. na promocję wydano blisko 25 mln zł. Nie wszystkie resorty chciały się jednak podzielić danymi. Na przykład Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przesłało raport za lata ubiegłe, a do resortu edukacji narodowej posłowie zwracali się aż czterokrotnie. Zaprezentowane dane nie były jednak zaskakujące – ponownie najwięcej pieniędzy wydano na prenumerowanie „Gazety Wyborczej”. Konsekwentnie pomijano tytuły konserwatywne i katolickie. – Potwierdza się nasza teza, że czytelnicy innych gazet, głównie katolickich i prawicowych, są w jakiś sposób wykluczeni i pozbawieni informacji oraz oficjalnych ministerialnych komunikatów, które powinny przecież dotrzeć do wszystkich – mówił wówczas poseł PiS Jan Dziedziczak, wiceprzewodniczący zespołu.

Swój raport zaprezentował także w 2015 r. Klub Jagielloński, który zaznaczył jednak, że dane są niekompletne ze względu na to, iż część ministerstw nie udzieliła żadnej odpowiedzi. „Większość instytucji nie uwzględnia prośby zawartej w zapytaniu. Udostępniają informacje na swój sposób, pomimo dokładnego wskazania celu i zakresu pytania. Wysyłają zestawienia, ale bez uwzględnienia konkretnych tytułów medialnych, a jedynie domów mediowych, które tylko pośredniczą w transakcjach. Inne informują, że takiego zestawienia w ogóle nie prowadzą” – opisywał Klub.

Chociaż dane były niekompletne, to i tak widać w nich interesującą tendencję. Twórcy raportu wskazują, że 12 ministerstw w latach 2010–2014 wydało na reklamę ponad 260 mln zł. Okazało się, że ministerstwa najczęściej korzystały z usług stacji telewizyjnych. Trafiło do nich 79 mln zł, z czego najwięcej, bo aż 49 mln zł, do Telewizji Polskiej. Druga w zestawieniu Grupa TVN otrzymała 13,8 mln zł, a trzeci był Polsat (8,5 mln zł).

Następna w kolejności pod względem podziału środków była prasa, gdzie trafiło ponad 23 mln zł. Pierwsze miejsce miała Agora, która otrzymała blisko 5 mln zł. Za nią uplasowały się Gremi Bussines Communication (wydawca m.in. „Rzeczpospolitej”), która zainkasowała 3,5 mln zł, oraz koncern medialny Axel Springer (wydawca m.in. „Faktu” i „Newsweeka”) z 3,2 mln zł. Względnie duże pieniądze popłynęły także do niemieckiej spółki Polskapresse. Ówczesny wydawca 20 dzienników regionalnych otrzymał przez cztery lata 2,6 mln zł.

To oczywiście tylko część wydatków, o których pisał Klub Jagielloński. Nie miał on np. dostępu do danych spółek Skarbu Państwa czy innych instytucji publicznych. „To nie wszystko. Prawie 40 mln zł trafiło także do domów mediowych, które pośredniczą w relacjach z mediami. Są to środki, których odbiorców nie sposób zlokalizować, a wiedzę na ten temat posiadają jedynie same agencje. Kilka z nich otrzymało znaczne sumy. Dla przykładu: Vizeum Polska – 11,4 mln zł, Effective Media Solutions – ponad 8 mln zł, ZenithOptimedia Group – 7 mln zł, a Fabryka Komunikacji Społecznej – 6,2 mln zł” – czytamy w opracowaniu.

NIE TYLKO RESORTY

O wydatkach spółek Skarbu Państwa podczas rządów koalicji PO-PSL wiemy więcej m.in. za sprawą ówczesnego posła Kukiz’15 Andrzeja Maciejewskiego, który w grudniu 2015 r. skierował do ministra Skarbu Państwa zapytanie poselskie w sprawie wydatków SSP na reklamę w latach 2007–2015. Z odpowiedzi, której udzielił mu ówczesny podsekretarz stanu w resorcie, wynika, że 148 spółek na reklamę wydało 356 mln zł. Najwięcej zarobiła Telewizja Polska, bo nieco ponad 35 mln zł. Duże sumy otrzymały również: TVN (ponad 21 mln zł), Polsat (10 mln zł), Grupa RMF (ponad 10 mln zł), Onet (ponad 9 mln zł), Radio Zet i Polskapresse (po ponad 6 mln zł). Z kolei Grupa Agora, wydawca „Gazety Wyborczej”, zgarnęła od państwowych spółek ponad 17 mln zł.

Warto pamiętać, że ogromnymi budżetami reklamowymi dysponują także polskie samorządy, które również hojnie wspierają lewicowo-liberalne media. Raport Najwyższej Izby Kontroli z 2014 r. wskazywał, że „w latach 2011–2013 spośród miast na prawach powiatu najwięcej na promocję przeznaczyły: Warszawa (85,8 mln zł), Gdańsk (59,3 mln zł), Bydgoszcz (52,6 mln zł), Łódź (49,1 mln zł) i Gdynia (46,3 mln zł)”. NIK zwrócił też uwagę na liczne nieprawidłowości wśród samorządów w tym zakresie – m.in. brak rzetelnego nadzoru ze strony samorządów nad realizacją usług promocyjnych czy nieokreślanie oczekiwanych wymiernych efektów, które zamierzano osiągnąć poprzez działania marketingowe. Łącznie, zdaniem NIK, w sposób nieprawidłowy wydano blisko 29 mln zł.

Jak widać, podczas dwóch kadencji rządów koalicji PO-PSL do mediów liberalno-lewicowych popłynęło przynajmniej kilkaset milionów złotych. Jeśli jednak dodamy hojne wsparcie samorządów oraz inne benefity, to nagle się okaże, że suma była o wiele, wiele większa. Nic dziwnego, że media, które na każdym kroku atakowały rząd Zjednoczonej Prawicy, teraz liczą na „powrót do normalności”, czyli do stanu, w którym to do nich będzie skierowany największy strumień finansowy.

Warto mieć świadomość, że proces, o którym mowa, już ma miejsce. Chociaż zmiany w największych spółkach Skarbu Państwa dopiero nastąpią, to w wielu z nich trwa próba porozumienia z nowym rządem. O tym, że w wielu państwowych instytucjach i spółkach nastąpiło po październikowych wyborach „przestawienie wajchy”, mówił w ostatnim wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy” Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny TV Republika. – Nagle ostentacyjne pokazanie, że nie współpracuje się z TV Republiką, okazało się pewną walutą, którą się handluje na rynku. Tyle tylko, że to i tak nic nie da, bo ci ludzie zostaną zwolnieni. Mają zbyt intratne stanowiska i jest już na nie kolejka chętnych – podkreślił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Osiem zmarnowanych lat

Prezydent Andrzej Duda składający kwiaty pod pominikiem Powstańców Śląskich, Katowice, 15 sierpnia 2019 r. FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Andrzej Krzystyniak

Nie udało się zrealizować żadnego z zapowiadanych przez rządy Zjednoczonej Prawicy planów dotyczących prowadzenia polskiej polityki historycznej na Śląsku

W styczniu 2013 r. w ogólnopolskim programie publicystycznym polskiej telewizji rozgorzał konflikt na temat wizji historii Śląska, a ściślej mówiąc, planowanej ekspozycji wystawy w nowo otwieranym wówczas Muzeum Śląskim. Burzliwy przebieg spotkania, emocje, które miały miejsce w studiu, musiały zaintrygować widzów i zwrócić uwagę na to, co ma miejsce na Śląsku – propagowanie niemieckiej wizji historii przez środowiska separatystyczne. Pomijając szczegóły oraz głównych aktorów, przekaz, który wówczas mogli obejrzeć widzowie ogólnopolscy, dawał nadzieję, że problem został dostrzeżony w głębi kraju i nie zostanie zmarnowany. Po latach można stwierdzić, że tak się nie stało.

W 2015 r. wybory do parlamentu wygrała Zjednoczona Prawica, środowiska propolskie oczekiwały zmian w polityce historycznej, obrony kulturowej Śląska, Ziem Odzyskanych, zatrzymania niebezpiecznego trendu odcinania kulturowego tych ziem od reszty kraju. Nowo mianowany wojewoda śląski, Jarosław Wieczorek, reprezentujący polski rząd na Śląsku, w jednym z wywiadów prasowych w roku 2016 zapowiedział „baczne przyglądanie się wrogim Polsce organizacjom", odważnie zasygnalizował w imieniu państwa polskiego, że nie pozostanie bierny wobec niebezpiecznych dla integralności państwa polskiego działań. Wywiad wzbudził wściekłość dziennikarzy zwłaszcza „Gazety Wyborczej" i ówczesnego „Dziennika Zachodniego" z niemieckim właścicielem oraz środowisk separatystycznych (m.in. przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska, Jerzy Gorzelik, paradował pod urzędem wojewódzkim z atrapą karabinu w niemieckiej czapce wojskowej z czasów drugiej wojny światowej, wygrażając wojewodzie Wieczorkowi).

Trudno jednoznacznie określić, czy ataki skierowane przeciw wojewodzie sprawiły, że była to pierwsza i ostatnia tak zdecydowana jego publiczna wypowiedź (nie licząc wypowiedzi podczas trwania pandemii, gdy wojewoda Wieczorek apelował o „zaprzestanie hejtu wobec Ślązaków").

KRÓTKIE ŻYCIE DEKLARACJI

Jak wielu mogło się przekonać, plany szerokiej działalności na rzecz polskości

eprasa.pl 64aebc5aa1

Śląska i szumne zapowiedzi ostygły bardzo szybko, przechodząc jedynie od święta w styl akademijno-deklamacyjny. Lub też, co gorsza, przeszły w fazę tragifarsy, kiedy to na skraju podmiejskiej dzielnicy Katowic zasadzono, m.in. pod patronatem wojewody, 100 dębów tworzących „Aleję polskiego dziedzictwa Śląska". Dęby te, w zamyśle organizatorów, będą „na wieki szumieć po polsku", powtarzając przyszłym pokoleniom: „Tu jest Polska".

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że całe przedsięwzięcie było kiepską parodią działań – dodajmy: nieporównywanie istotniejszych i lepiej zorganizowanych – prowadzonych przez polskie władze komunistyczne na Śląsku w latach głównie 60. Wówczas w samym centrum Katowic odsłonięto pomnik Powstańców Śląskich w symbolice trzech skrzydeł, bez których trudno dziś wyobrazić sobie Katowice. Czy taką rolę odegrają wspomniane dęby czy też odsłaniane w sporej liczbie tablice pamiątkowe? Można powątpiewać.

Nie udało się na Śląsku zrealizować nic z zapowiadanych przez nowe rządy Zjednoczonej Prawicy i obiecywanych względem polityki historycznej od 2015 r. planów. Nawet organizowany i finansowany przez Ministerstwo Kultury „Program Niepodległa" na Śląsku okazał się, jeśli nie kompletną klapą, to niczym, czym można by się pochwalić.

W 2019 r. w Katowicach, podczas Święta Wojska Polskiego, mieszkańcy mogli obejrzeć defiladę Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej. Jeden z moich rozmówców, zarazem współorganizator, ocenił to jako „ostateczny dowód na zmianę polityki względem Śląska". Defilada ciesząca się olbrzymim zainteresowaniem była jednak wydarzeniem jednodniowym, po którym poza wspomnieniami nie pozostało nic szczególnego. Podobnie jak wydarzenie z 16 maja 2019 r., kiedy to wyruszył z Katowic specjalny pociąg wiozący do Warszawy delegację „najważniejszych osób w województwie" wraz z towarzyszącymi „przedstawicielami różnych środowisk oraz mieszkańcami województwa". W ten sposób postanowiono uczcić rocznicę powstań śląskich oraz „by spotkać się z Prezydentem RP Andrzejem Dudą i Pierwszą Damą Agatą Kornhauser-Dudą". Złośliwi mogliby śmiało nazwać ową wizytę dniem próżności, którego jedynym widocznym efektem są wspólne zdjęcia głowy państwa z uczestnikami wycieczki.

Po zwycięstwie w wyborach samorządowych w 2018 r. na Śląsku przez Zjednoczoną Prawicę i zdobyciu większości w sejmiku województwa podjęto kilka inicjatyw, które zdawały się dawać nadzieję wszystkim liczącym na przebudzenie państwa polskiego na Śląsku w sferze kulturowej. Mający miejsce rok temu w Samorządzie Województwa Śląskiego zwrot polityczny pozbawił wiele osób reszty złudzeń co do kierunków polityki województwa. Od powstańców śląskich i pamięci o ich czynach silniejsze okazały się interesy partyjne, ważniejsza integracja z Unią Europejską, która tak ochoczo wspiera regionalizmy, by nie rzec separatyzmy, w odróżnieniu od państw narodowych. Bruksela czy też Berlin stały się bliższe dla władz województwa śląskiego niż stolica państwa.

Jeśli ktoś zapragnie wydać publikację, w której wyszydzi polskość Śląska, to może liczyć na prestiżową nagrodę

JAK TO SIĘ STAŁO?

Problemy kulturowe, z którymi boryka się Śląsk, czyli głównie tendencje separatystyczne, mogą ciągle zdumiewać mieszkańców innych regionów naszego kraju. Jak to się stało, że rządy Zjednoczonej Prawicy manifestujące postawę patriotyczną przez osiem lat nie starały się znaleźć recepty na owe problemy? Dlaczego z perspektywy województwa śląskiego nie zainteresowano władz centralnych w Warszawie Śląskiem, ograniczając się do defilady czy postawienia pomnika Wojciecha Korfantego w Warszawie?

Jako usprawiedliwienie przedstawiciele władz często wskazywali na marginalność polityczną i społeczną środowisk o tendencjach separatystycznych, która z politycznej perspektywy pozornie nie ma większego znaczenia. Jeśli faktycznie tak jest, to wspomniany margines tendencji separatystycznych dysponuje bardzo szerokimi wpływami wśród historyków, naukowców, dziennikarzy, polityków, pisarzy oraz artystów manifestujących swoją odrębność wobec Polski, momentami na granicy jawnej wrogości. Długa lista osób, dla których śląski „regionalizm" zdaje się przyciągający jak magnes, nie waha się często rzucać oskarżenia względem Polski i Polaków wręcz o represjonowanie Ślązaków i spychanie „śląskiej mniejszości" na margines.

Uważny czytelnik mógłby teraz zadać pytanie: Dlaczego lista osób upominających się o polskość na Śląsku lub też usiłujących jej bronić jest pusta lub prawie pusta? Odpowiedź jest bardzo prosta: osoby, które publicznie staną po stronie polskości, będą skazane na osamotnienie i zwalczanie na różnych polach przez wiele środowisk, wyróżniających się nie tylko swym separatyzmem. Państwo polskie nie udzieli wsparcia, co byłoby naturalne, a to, dodajmy, powinno być obowiązkiem instytucji państwa. Jednak każdego, kto wyrazi publicznie na Śląsku swój propolski pogląd, spotka srogie rozczarowanie. Dlatego też lista propolskich historyków, pisarzy, naukowców jeszcze długo będzie świecić pustkami. O wiele bardziej nęcąca jest propozycja zajęcia pozycji po stronie „wielokulturowości". Można wówczas liczyć na wiele apanaży i ułatwień w przebiegu kariery.

Jeśli ktoś zapragnie wydać publikację, w której wyszydzi polskość Śląska, najlepiej dodając jednoczesne ukazanie wyższości kultury niemieckiej, to, przy pewnej dozie szczęścia, może liczyć na prestiżową nagrodę przyznawaną pisarzom przez któreś z czasopism, a co za tym idzie – odbędzie wiele spotkań autorskich itp.

Piotr Semka problem niedostrzegania separatyzmu na Śląsku opisał we wstępie do książki „Zwijanie polskości" określeniem: „niedostrzeganie białego słonia w salonie". Wszyscy wiedzą i widzą, że biały słoń w salonie jest, jednak z sobie tylko wiadomych powodów udają, że go nie widzą. Metafora pasuje jak ulał do ostatnich ośmiu lat, które w tej sferze zmarnowano, udając, że problemu nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

FOT. KOMENDA MIEJSKA POLICJI W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

Uderzenie w pijanych na drogach

Łukasz Zboralski

Pijany kierowca za spowodowanie wypadku może trafić do więzienia już nawet na 20 lat. Od marca kierowanie w takim stanie oznaczać będzie też utratę samochodu. Wciąż jednak najczęściej zamykamy tych ludzi w więzieniach zamiast na przymusowym leczeniu. Dlaczego?

Ubiegły tydzień. Droga krajowa nr 53 pod Olsztynem. Służby dostają zgłoszenie o wypadku drogowym. Ciężkim. Zderzenie czołowe. Na miejscu okazuje się, że sprawcą jest 27-latek, który wydmuchuje w alkomat ponad promil. To nie wszystko. Ten człowiek ma już orzeczony przez sąd zakaz kierowania pojazdami.

Takich historii w kronikach policyjnych jest dużo więcej. Czasem aż trudno uwierzyć w to, co się czyta. Tak było np. na początku stycznia w Ciechanowie, gdy w nocy policja ścigała kierowcę jadącego osobowym fiatem pod prąd. Czterdziestopięciolatek był nietrzeźwy i miał dziewięć (sic!) sądowych zakazów prowadzenia pojazdów, w tym cztery dożywotnie.

Tylko te dwa przykłady obrazują pewien problem w Polsce. Z jednej strony mamy zupełnie zdezorganizowany system, który nijak nie sprawuje kontroli nad ludźmi, którzy – zwykle przez recydywę w prowadzeniu po alkoholu – dostają sądowe zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych.

Z drugiej strony widać, że największym problemem mającym związek z alkoholem na drogach są dla społeczeństwa osoby chore, alkoholicy, zaburzeni do tego stopnia, iż nie powstrzymują ich ani kolejne wyroki sądowe z zakazami, ani odsiadki. Jak sobie z tym poradzić?

ZA WYPADEK SUROWIEJ NIŻ ZA ZABÓJSTWO

Na tle wszystkich wypadków drogowych te spowodowane przez pijanych kierowców stanowią ok. 9 proc. Niby niewiele. Ale to przecież 1729 wypadków, w których zginęło 268 osób, a 2567 zostało rannych.

Przez lata społeczeństwo poprzez polityków próbuje używać narzędzi w systemie kar, by odstraszać ludzi od wsiadania po pijaku za kierownicę. To się do pewnego stopnia udawało – wysokie sankcje za takie zachowania po latach zmieniają kulturę i postrzeganie takich zachowań przez innych. Jeszcze w 2012 r. mieliśmy prawie trzy razy tyle wypadków drogowych związanych z alkoholem niż obecnie.

Trudno też jednak nie zauważyć, że prawie od dekady niewiele już się zmienia. Być może dochodzimy właśnie do

eprasa.pl 64aebc5aa1

granicy – i pozostaje nam niewiele osób, na których groźba kary ma realny wpływ.

Mimo tego Ministerstwo Sprawiedliwości jeszcze za czasów ministra Zbigniewa Ziobry postanowiło po raz kolejny podnieść limity kar dla sprawców wypadków będących w stanie nietrzeźwości (czyli mających w organizmie co najmniej 0,5 promila alkoholu). Trzeźwemu kierowcy za spowodowanie wypadku grozi dziś do trzech lat więzienia przy lekkim uszczerbku na zdrowiu poszkodowanych lub od sześciu miesięcy do ośmiu lat więzienia przy ciężkich obrażeniach lub śmierci ofiar (a i tak sprawca głośnego zabicia pieszego na pasach na ul. Sokratesa w Warszawie nie otrzymał górnego wymiaru kary i chyba nie było jeszcze przypadku wymierzenia całych ośmiu lat więzienia za „zwykły" wypadek komunikacyjny).

Wystarczy jednak zrobić to samo, mając w organizmie alkohol, i limity kary szybują. Zgodnie z art. 178 Kodeksu karnego nietrzeźwemu sprawcy wypadku (lub będącemu pod wpływem narkotyków) przy ciężkim uszczerbku zdrowia innych ludzi grożą nie mniej niż trzy lata więzienia, a górna granica to 16 lat. Jeśli jest to wypadek śmiertelny, to idzie się do więzienia na minimum pięć lat, a maksymalnie nawet na lat 20.

Jak gigantyczne to kary, najbardziej widać, gdy porówna się sprawców takich wypadków z zabójcami – czyli osobami, które miały zamiar kogoś pozbawić życia i to zrobiły. Za zabójstwo w Polsce grozi obecnie nie mniej niż 10 lat więzienia aż do dożywocia. Czyli ktoś, kto celowo odbiera komuś życie, może dziś dostać niższy wyrok niż człowiek, który zamroczony alkoholem zrobił coś, czego w rzeczywistości nie chciał.

Wydaje się, że windowanie kar w przypadku takich osób pozbawione jest już sensu – czyli nie bardzo wpływa na ich zachowania, a społeczna potrzeba „surowego ukarania" z pewnością także została osiągnięta. Co więc dalej?

KONFISKATA NIE WYSTARCZY

Następnym narzędziem, lepszym niż windowanie maksymalnego okresu więzienia, jest konfiskata samochodu pijanego kierowcy. To zdecydowanie lepsze rozwiązanie w przypadku alkoholików recydywistów. Im po prostu odbierze się narzędzie, a to utrudni ponowne popełnienie przestępstwa i potencjalne stwarzanie dużego ryzyka na drodze dla innych.

Konfiskowanie pojazdów pijanym kierowcom nie jest w Europie nowe. Istnieje w systemach prawnych 12 państw. Są to: Belgia, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Litwa, Luksemburg, Łotwa, Słowacja, Słowenia, Szwajcaria i Włochy.

Polska idzie jednak dalej – w innych krajach sąd może konfiskatę orzec, u nas będzie ona obligatoryjna. Jednak do pewnego stopnia, ponieważ zostawiono pewną furtkę. W przypadku szczególnych okoliczności sędzia będzie mógł od konfiskaty odstąpić (co zapewne ucieszy osoby wpływowe, majętne i polityków oraz celebrytów).

Ostatecznie zdecydowano, że od 14 marca pojazd będzie konfiskowany kierowcy, który miał co najmniej 1,5 promila alkoholu w organizmie. Pojazd odebrany zostanie też sprawcy wypadku, gdy będzie miał co najmniej 1 promil alkoholu. Samochód straci też ten, kto po raz kolejny zostanie złapany w stanie nietrzeźwości. Auta będą sprzedawane na aukcjach, a wpływy zasilą budżet państwa.

Teraz kilka wyjątków. Gdy pijany będzie współwłaścicielem auta albo auto w ogóle nie będzie jego własnością – będzie musiał po prostu zapłacić równowartość pojazdu. Także ten, kto po pijanemu rozbije auto, zapłaci tyle, ile ono kosztowało tuż przed wypadkiem.

Z kolei kierowca zawodowy, któremu pracodawca powierzy pojazd – np. wartą setki tysięcy złotych ciężarówkę – nie zapłaci jej równowartości, gdy będzie jechał pijany, ale zapłaci grzywnę wynoszącą co najmniej 5 tys. zł.

Jak to zadziała, zobaczymy. Z obserwacji w innych krajach – np. w USA – można zakładać, że redukcja wśród recydywistów ponownie wsiadających za kółko powinna sięgnąć do 10 proc.

W całym systemie wciąż tkwić będzie potężna luka. Skoro coraz wyższe więzienie nie odstrasza ludzi chorych na alkoholizm, a konfiskata pozwoli zapanować tylko nad częścią z nich, to nadal wielu będzie ostatecznie trafiać do więzienia. Wśród wszystkich osadzonych za przestępstwa drogowe alkoholowi recydywiści stanowią ponad 80 proc.

Dlatego trzeba w końcu zadać sobie pytanie: Po co zamykamy chorych ludzi w więzieniach, zamiast zamykać ich na przymusowych leczeniach odwykowych?

NIE DO CELI, DO OŚRODKA

Może dlatego, że w Polsce terapeuci twierdzą, iż leczenie pod przymusem jest nieefektywne, że szansa na wyleczenie jest wówczas, gdy pacjent sam tego chce. Czy na pewno? Zajrzałem do badań naukowych porównujących przymusowe leczenie z alkoholizmu z leczeniem dobrowolnym. Takich opracowań jest niewiele, ale wynika z nich teza zupełnie odmienna od tej, którą operujemy w polskiej debacie publicznej.

Przytoczę tylko kilka z nich. Badanie z 2019 r. z USA na grupie 120 weteranów z zaburzeniami z powodu nadużywania alkoholu. Wynik? „Nie stwierdzono istotnej zależności przy porównywaniu rodzajów motywacji do leczenia w ramach programu leczenia stacjonarnego dla weteranów w odniesieniu do długości okresu utrzymywania się w trzeźwości po zakończeniu leczenia".

Badanie ze Szwajcarii z 2001 r. Sprawdzono losy 15 przymusowo skierowanych na leczenie. Wyniki – na 14 żyjących w okresie sprawdzania dalszego życia 10 zgodziło się na wywiady. Ośmiu z nich deklarowało całkowitą abstynencję.

Jest jeszcze analiza z Australii, która sprawdzała powroty na SOR i do szpitali w grupie 231 przymusowo leczonych z alkoholizmu. Wnioski: „Przymusowe leczenie uzależnienia od alkoholu wiązało się z ograniczeniem korzystania ze świadczeń opieki zdrowotnej w roku po leczeniu, a wyniki nie różniły się od wyników uzyskanych w dopasowanej grupie kontrolnej".

Krótko mówiąc – przymusowe leczenie alkoholizmu też przynosi wyniki. Dlaczego więc w Polsce uznaliśmy, że lepiej zamykać takich ludzi w więzieniach, do których trafiają potem z powrotem jak bumerangi? Dlaczego nie chcemy dać im szansy na normalne życie, a sobie na mniejsze finansowanie powodowanych przez nich na drogach nieszczęść? Po powtórnym przyłapaniu kierowców po spożyciu alkoholu powinniśmy ich przymusowo leczyć, a dopiero po takiej próbie izolować od społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Wielkomiejska duchowość

Zuzanna Dąbrowska

Od psychodelic breath, przez warsztaty w kręgu, do vibe dance'u. Świat nowej duchowości, z której chętnie korzystają mieszkańcy dużych miast, oferuje cały wachlarz form spędzenia wolnego czasu. Obiecuje przy tym lepsze życie

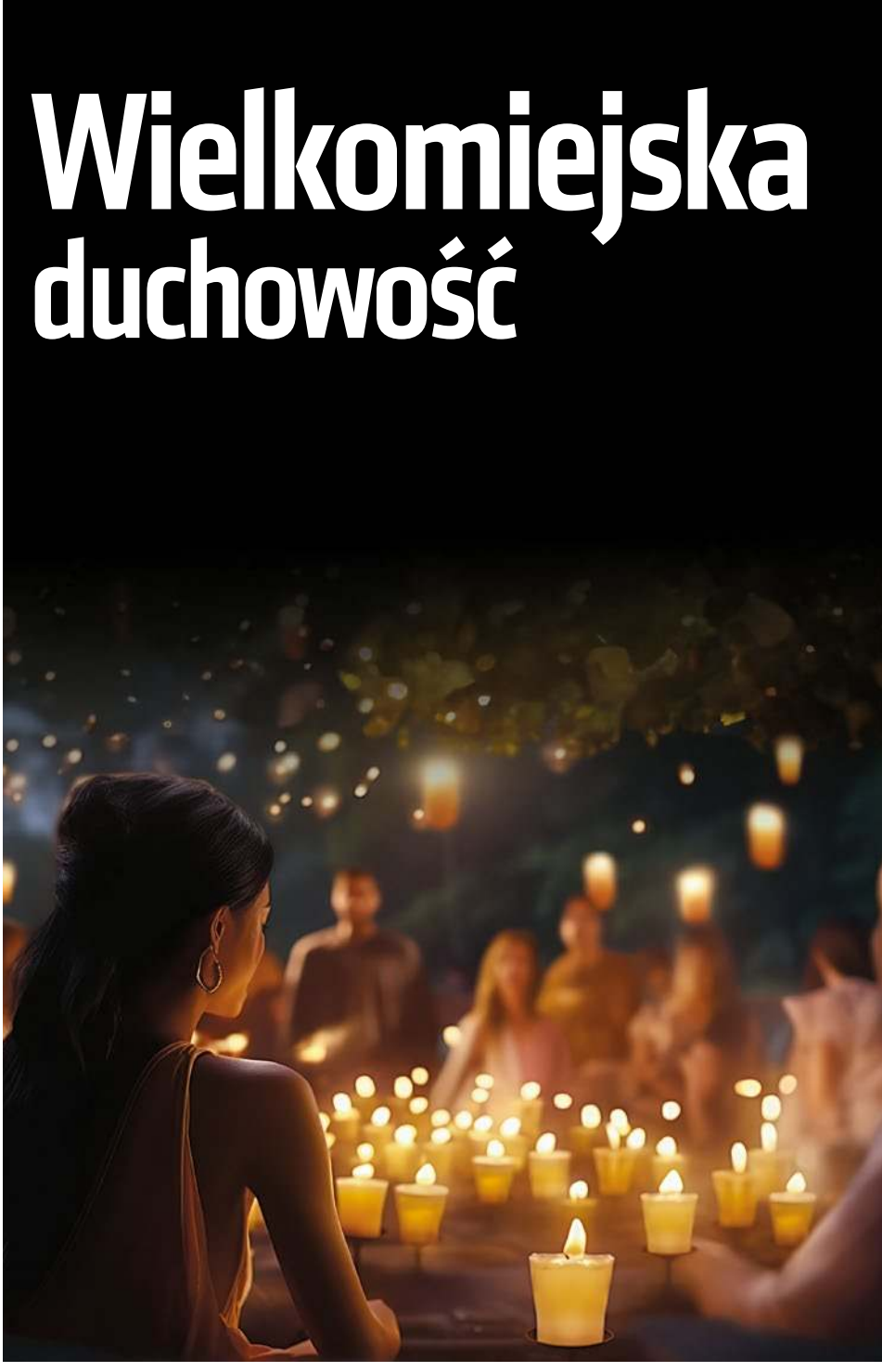

FOT. ADOBE STOCK

Ciepłe światła, zachęcające przytulnością siedziska, spora przestrzeń. Tak wygląda pewien salon (jego oferta skierowana jest głównie do kobiet), który można znaleźć na jednym z nowych osiedli na warszawskim Żoliborzu. Salon, czyli co? Kawiarnia połączona ze sklepem (oferującym m.in. świece sojowe i maty do praktyki jogi) oraz ze „strefą warsztatów". Idealne miejsce dla zabieganych warszawiaków. Po ośmiu godzinach pracy w korporacji i zrobieniu zakupów w biomarkecie każdy ma ochotę na odrobinę duchowości. Kościół i oferowana przez katolicyzm religijność to już dawno pieśń przeszłości, dalece nieatrakcyjna. Szczególnie gdy tuż po wyjściu za furtkę zamkniętego osiedla można znaleźć „eventy", których nazwy brzmią kusząco egzotycznie.

ODMIENNE STANY ŚWIADOMOŚCI

Na szklanych drzwiach wypisano propozycje wydarzeń na pierwsze tygodnie roku. Na głodnych duchowych i fizycznych doznań czekają gimnastyka słowiańska, warsztaty z utrzymania równowagi hormonalnej (na podstawie ajurwedy, indyjskiego systemu leczniczego), a także zajęcia z jogi twarzy (180 zł za 2,5 godziny). Zajęcia z jogi ogólnej, nie tylko twarzy (także dla dzieci), odbywają się tam kilka razy w tygodniu. Nieco bardziej tajemniczo brzmi „koncert instrumentów wysokowibracyjnych". Jak czytamy, jest to „wyjątkowy koncert relaksacyjny, medytacja w dźwiękach otulona uzdrawiającymi dźwiękami instrumentów wibracyjnych połączonych ze śpiewem intuicyjnym". Swoje zastosowanie znajdują tu gongi, kryształowe i tybetańskie misy, perkusyjny handpan czy wywodzące się z Australii didgeridoo. Jeżeli ktoś ma ochotę zajrzeć w głąb siebie, to może wziąć udział w warsztacie „Obudź swoją prawdę" (koszt całodniowego wydarzenia to 450 zł). W tej cenie otrzymamy „piękny transformujący warsztat, gdzie w bezpiecznej, siostrzanej, kobiecej przestrzeni będziemy przyjmować wszystko, co w nas żywe i prawdziwe". Opis wydarzenia, choć pełen jest okrągłych słów, nie zawiera właściwie żadnych konkretów. Trzeba sprawdzić osobiście.

Spragnieni naprawę mocnych wrażeń mogą zapisać się na „psychodelic breath". To technika oddechowa wywodząca się z indyjskiej pranajamy, czyli sztuki opanowania oddechu, „dzięki której można wejść w odmienne stany świadomości". Ma ona łączyć w sobie „starożytną sztukę Pranajamy ze współczesnymi odkryciami z dziedziny neurobiologii". „Oddech jest

eprasa.pl 64aebc5aa1

językiem naszej duszy. Oddech łączy ciało ze świadomością" – tak reklamowane jest wydarzenie. Kolejną propozycją jest „Soul Body Fusion" (w promocyjnej cenie 400 zł za siedem godzin), czyli rozpropagowana przez amerykańską „nauczycielkę duchową" Jonette Crowley metoda zharmonizowania ciała i duszy. „Pozostań przy sobie w sytuacji takiej, jaka jest. Nawet jak jest trudna. I zrób sesję SBF. I od dnia ukończenia kursu będziesz mógł zawsze i do końca świata to robić. Tę prosta praktykę, której Cię nauczę, a której ja nauczyłam się u twórczyni tej metody Jonette Crowley, będziesz mógł/mogła stosować dla siebie, bliskich Ci osób, wszystkich ludzi, zwierząt, roślin, całej planety" – przekonuje nauczycielka „Soul Body Fusion".

Żoliborski salon ma także w swojej ofercie zajęcia z „uwalniania od stresu" czy warsztaty zatytułowane „Mama i córka w kręgu" (133 zł za parę). W cenie aromaterapia, użycie „kart mocy", zabawy orientalnymi instrumentami i „kreowanie marzeń". Moc do życia można też czerpać z „aktywacji kundalini". W Internecie można się dowiedzieć, że „kundalini to duchowa energia, której zadaniem jest duchowa transformacja człowieka w lepszą, bardziej kochającą i współczującą istotę ludzką" oraz że „po przebudzeniu energia kundalini przemieszcza się w górę poprzez czakry ciała, czyli centra energetyczne, prowadząc do głębokich duchowych doświadczeń i transformacji".

Centrum proponuje ponadto „kąpiel muzyczną". Co to takiego? „Głęboki masaż na poziomie komórkowym i SPA dla Duszy. Dźwięk i wibracja instrumentów etnicznych i terapeutycznych uwalniają blokady i wpływają na zestrojenie organizmu, czujemy rozluźnienie, spokój i łączymy się ze swoim Sercem. Nasze centra energetyczne dostają ogromną dawkę energii, która ładuje je, harmonizuje i łagodzi na wszystkich poziomach. Wibracje mis śpiewających i terapeutycznych, bębnów i innych instrumentów wpływają na najgłębsze poziomy podświadomości. Terapia dźwiękiem sama w sobie pozwala zwolnić tempo. Wykorzystując rytm i częstotliwość dźwięku, możemy przejść ze stanu czuwania (beta) do stanu zrelaksowanej świadomości (alfa) i głębiej. Możemy poczuć zmianę świadomości, która wchodzi w stan między snem a jawą" – czytamy.

Warsztaty są „LGBT+ friendly" i zaprasza się na nie „osoby identyfikujące się jako kobieta"

Kolejna propozycja to warsztaty „uwalniania głosu". Uczestnikom obiecuje się, że poczują „odwagę w wyrażaniu siebie", co stanie się dzięki „połączeniu z Sercem i wewnętrznym głosem, korzystając z medycyny mantr i śpiewu intuicyjnego". A to wszystko za jedyne 80 zł (znamienne, że w opisie wydarzenia informacji na temat ceny nie znajdziemy pod hasłem „koszt", ale „inwestycja").

„PŁCIOWOŚĆ SIĘ ROZMYWA"

W ramach wydarzeń dla grup można zorganizować wyjście z koleżankami na kobiecy coaching (180 zł od osoby). Organizatorzy zapewniają, że przeprowadzą uczestniczki „przez energetyczny proces, który ma pomóc w osiąganiu swoich postanowień i celów, w utrzymaniu dobrej i wysokiej energii przez cały rok, w wyznaczaniu celów". Jednym słowem – sprawią, że będziesz szczęśliwa. Gdyby to jeszcze było za mało, chętne mogą odbyć zajęcia pod hasłem „Granice intymne" (cena od 333 zł do 555 zł). „Pokażę ci, jak zrobić krok w stronę życia na własnych zasadach" – zachęca instruktorka. Dalej pada ciekawe stwierdzenie: „Na końcu tej drogi płciowość się rozmywa i jesteśmy jednością z kobiecym i męskim pierwiastkiem w sobie". Warsztaty są bowiem „LGBT+ friendly" i zaprasza się na nie „osoby identyfikujące się jako kobieta". W myśl genderowej ideologii w wydarzeniu może więc wziąć udział każdy, ponieważ każdy może przecież czuć się kobietą.

Wśród imprez cyklicznych „miejsce mocy dla kobiet" proponuje „kurs mindfulness", „vibe dance", różne rodzaje jogi oraz zyskujące na popularności, szczególnie w dużych miastach, tzw. gordonki – zajęcia muzyczno-ruchowe dla dzieci w wieku od 6 do 36 miesięcy, których założenia opracował Edwin Elias Gordon, amerykański muzyk jazzowy, pedagog i psycholog muzyczny. Salon nie zamyka się jednak tak zupełnie na mężczyzn, ponieważ organizował w przeszłości popularny wśród zabieganych mieszkańców metropolii speed dating, czyli szybkie randki.

Wszystko to jednak wydaje się nie mieć większego sensu, zanim najpierw nie wyrzucimy z siebie negatywnych emocji. „Będziemy uwalniać stłumione emocje metodą »Technika Uwalniania« dr. Davida Hawkinsa. Sama afirmacja i pozytywne myślenie bardzo często nie działają – najpierw trzeba uznać, że mamy w sobie negatywne emocje i przekonania – dostrzec je i uwolnić" – to kolejne danie do wyboru z duchowego menu.

EGO W MIEJSCE BOGA

Nowa duchowość (której założenia przekłada na konkretne wydarzenia ów żoliborski salon) opiera się z jednej strony na sięganiu po wschodnie techniki oddechowo-relaksacyjne i ideę „mindfulness", czyli uważności, a z drugiej na budowaniu „marki osobistej", coachingu. Skoro Bóg został odłożony do lamusa, to pustkę wypełnia ego. Skupienie się na „ja" pozwala zapełnić dotkliwą lukę po absolucie, ale daje też z pewnością niemałą satysfakcję (zwłaszcza jeśli przekłada się na poprawę sytuacji materialnej).

Miejsc, które obiecują nam pomoc w zbudowaniu własnej marki, jest w dużych miastach na pęczki. Oto opis jednego z takich kursów: „Wyjątkowy cykl 12 spotkań dedykowanych kobietom, poświęconych tematyce rozwoju, wzmacnianiu marki osobistej, budowaniu kompetencji przedsiębiorczych, w tym budowaniu sprawczości w działaniu i rozwoju. Do udziału zapraszać będziemy m.in. przedsiębiorczynie, ekspertki i inspirujące kobiety świata biznesu, które będą dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem. Będzie to też oczywiście doskonała okazja do networkingu, inspiracji i spędzenia jakościowo czasu w kobiecym gronie". Tego rodzaju kursy, podobnie jak zajęcia z nowej duchowości, nie są oczywiście darmowe. Najtańsze można kupić już za kilkadziesiąt złotych. Najdroższe, zawierające zazwyczaj wiele bonusów, to koszt nawet do 10 tys. zł. Chętnych nie brakuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

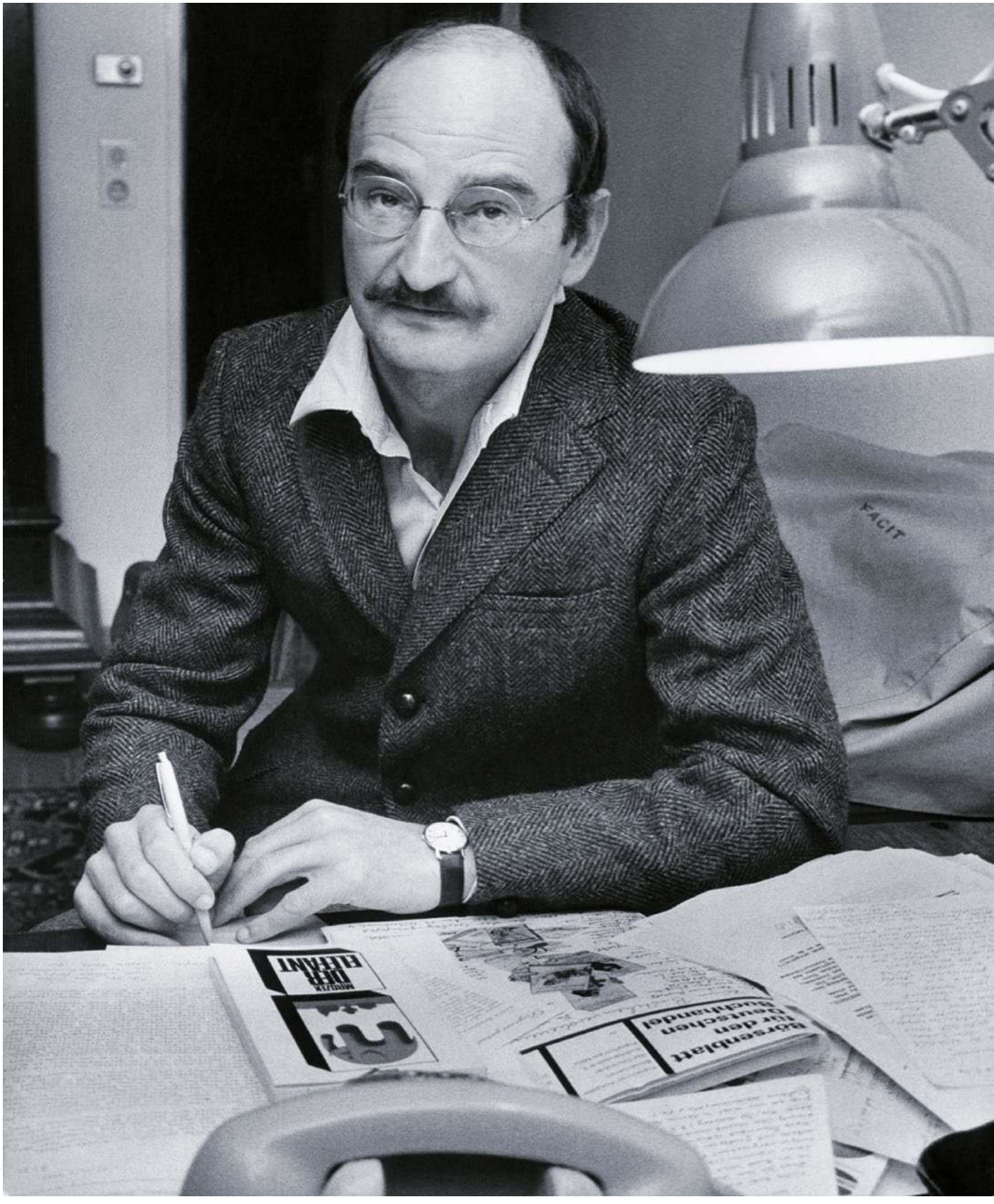

FOT. DPA/PAP

eprasa.pl 64aebc5aa1

Z Anną Nasiłowską, profesor literatury, pisarką, poetką, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Sławomira Mrożka pesymizm komiczny

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pani książka stanowi połączenie dziennikarskiej biografii z wiedzą literaturoznawcy. Nie atakuje mitu Sławomira Mrożka, co nie przeszkadza pani zachować krytycyzmu wobec autora czy też poszczególnych utworów. Doskonale pamiętamy jednak czas, gdy wszystko, co wychodziło spod jego pióra, uznawano za genialne.

PROF. ANNA NASIŁOWSKA: Długo miał bardzo dobry czas, lecz w końcu nastały lata 80. i tzw. – jak się z przymrużeniem oka powiada pośród pisarzy – klątwa stanu wojennego. Cokolwiek napisało się zaangażowanego, to wypadało źle, brzmiało fałszywie. Tak było choćby z dramatem pt. „Alfa", którego bohaterem domyślnym jest Lech Wałęsa. Sam Mrożek miał do tej sztuki duży dystans, o czym świadczy choćby nonszalanckie stwierdzenie „ta Alfa", którego używał.

Jego dramat „Śmierć porucznika" – w 1963 r. nagrodzony w zorganizowanym przez Ludowe Wojsko Polskie konkursie dramaturgicznym, a wystawiony przez Aleksandra Bardiniego w stołecznym Teatrze Dramatycznym – został bezpardonowo zaatakowany przez tygodnik „Stolica". Z własnej inicjatywy?

Wiele czasu spędziłam na wyjaśnianiu tej kwestii. Niestety, dokumenty zawodzą. W Instytucie Pamięci Narodowej nie znalazłam niczego, co by mogło jednoznacznie rozszyfrować tę zagadkę. Za to ze zdziwieniem odkryłam, że Służba Bezpieczeństwa usiłowała gasić ten pożar; najwyraźniej nie był jej na rękę.

Przebywający wtedy we Włoszech autor wiedział o tym incydencie. Zastanawiające, że władza ludowa nie wykorzystała okazji, aby go pogrążyć, skazując na niebyt w kraju.

Komórka SB zajmująca się pisarzami nie miała interesu, żeby eksploatować temat. Była wyraźnie zaskoczona rozwojem sytuacji, chociaż, być może, miała w tym jakiś udział. Na początku lat 60. esbecja dopiero zaczęła na większą skalę zajmować się literatami. Materiały dotyczące Mrożka zbierano zrazu bardzo wybiórczo, nie poświęcając mu specjalnej uwagi. Jako były członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie był obiektem rozpracowania.

W końcu jednak objął go cenzorski zapis. Na jak długo?

Spowodowało go oświadczenie pisarza z sierpnia 1968 r., opublikowane w zachodnich mediach, a potępiające inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Anatema trwała niemal pięć lat. Nie jest też jasne, kto przyczynił się do „odmrożenia" Mrożka. Moim zdaniem o powrocie jego twórczości do teatrów i księgarni zadecydowano na bardzo wysokim szczeblu.

Opisywany był bez wątpienia jako wybitny dramaturg, a także diarysta, mówiąc oględnie, przeciętny – czego dowodzą trzy tomy dzienników. Szkoda, że nigdy nie poznamy jego zapisków z lat młodzieńczych, eksponowanych w pani pracy również poprzez figlarne fotografie, obrazujące zażyłość Mrożka z Leszkiem Herdegenem, wtedy obiecującym literatem, potem wybitnym aktorem. Jaki był powód zniszczenia dziennika artysty z czasów młodości?

Spalił go, ponieważ podejrzewał, że ktoś te prowadzone poufnie notatki przeczytał. To było dla niego absolutnie nie do zaakceptowania i wraz z upływem lat przerodziło się w obsesję.

A jaka jest pani ocena korespondencji Mrożka, skądinąd niezmiernie obszernej?

Latami mieszkał poza Polską, toteż kontakt listowny stanowił dlań podstawę podtrzymywania relacji. Uważam, że był wybitnym epistolografem. Lektura sukcesywnie wydawanych tomów korespondencji z rozmaitymi, znaczącymi dla naszej kultury postaciami potwierdza tę opinię. Komunikował się z nimi w sposób oryginalny, niepowtarzalny i wielce dygresyjny.

Trzykrotnie „uciekał na południe". Jak to rozumieć?

Po raz pierwszy wyjechał w 1963 r. – na Riwierę Włoską. W śródziemnomorskim kurorcie Chiavari kotwiczył kilka lat, aż okazało się, że miejsce nie jest wcale tak atrakcyjne, jak przypuszczał. Zimą wiały tam wiatry sprowadzające wilgoć potęgującą dolegliwości reumatyczne.

Ćwierć wieku później Mrożek porzucił Europę, przeprowadzając się do

eprasa.pl 64aebc5aa1

Meksyku, gdzie wiódł życie w hacjendzie do chwili, kiedy ojczyznę Majów nawiedziły kryzys polityczny i krach ekonomiczny.

Ostatnie lata spędził w Nicei. Wolał Lazurowe Wybrzeże od zadymionego smogiem Krakowa – i trudno się temu dziwić.

Mając 29 lat, oddał czerwoną legitymację, stając się coraz bardziej zaciekłym przeciwnikiem komunizmu, lecz wkraczając w dorosłość, wspierał go piórem. Dajmy na to głośnym reportażem prasowym o Nowej Hucie. Albo podpisem haniebnego listu krakowskich ludzi kultury, potępiających księży z tamtejszej kurii oskarżonych o szpiegostwo i handel walutą, a wydrukowanym na czołówce „Życia Literackiego".

Ów epizod – z czasem stał się jedną z przyczyn opuszczenia kraju – chyba wiele Mrożka nauczył. Po tym doświadczeniu zrobił się bardzo ostrożny. Nigdy już nie podpisywał żadnych zbiorowych petycji, wszelkie jego oświadczenia miały charakter indywidualny. Stało się tak zarówno w przypadku zdławienia – „z internacjonalistyczną pomocą" – Praskiej Wiosny, jak i wprowadzenia w Polsce stanu wojennego.

Odkryła pani aspiracje reżyserskie Sławomira Mrożka.

W latach 80. zrealizował dla zachodnioniemieckiej telewizji trzy filmy, chyba nieznane w Polsce. Miałam okazję obejrzeć je w Szwajcarii, gdzie znajduje się archiwum twórcy. Zainteresowały mnie, chociaż technika filmowa w ciągu niemal czterech dekad mocno się zmieniła. To były jednak filmy telewizyjne, nie kinowe. Na Zachodzie tworzyli wtedy Polański, Żuławski czy Skolimowski, można by pomarzyć o dziełach, które by stworzyli razem. A jednak nie było szans. Mrożek nie bez powodów uchodził za bardzo trudnego we współpracy. Boleśnie przekonał się o tym np. Jerzy Jarocki, ale innym inscenizatorom teatralnym też nie ułatwiał pracy. Pełnym zaufaniem obdarował jedynie Erwina Axera.

Czyżby autor „Kontraktu" był mizantropem?

Bywał. Niemniej liczne świadectwa, także bliskich mu kobiet, przekonują, że potrafił przeistaczać się w czarującego mężczyznę. Trudno go zatem zaszufladkować.

Jak na człowieka zamkniętego w sobie, wycofanego – za takiego przynajmniej uchodził – zdarzało mu się reagować na pewne wydarzenia z niesłychaną gwałtownością. Tak podobno odniósł się w 1955 r. do propozycji – prawda, że nieodparcie komicznej – by w trakcie Festiwalu Młodzieży i Studentów śpiewał wśród zaproszonych gości, w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki, ludową piosenkę „Szła dzieweczka". „Wrażenie – pisał – że ktoś robi ze mnie durnia, było tak silne, że ogarnięty furią, usiłowałem dowiedzieć się, kto to jest, żeby go zabić". Oczywiście nikogo nie zabił, ale taka sytuacja rzeczywiście mogła go wyprowadzić z równowagi. O ile całego zdarzenia nie zmyślił...

Nie sądzę, choć Mrożek miał niesłychaną zdolność fabularyzacji swoich doznań i, pisząc książkę, dość często natrafiałam na opisy zdarzeń, o których trudno powiedzieć, jak naprawdę wyglądały i przebiegały. Tak było z historią, która się wydarzyła w jego gimnazjalnych czasach, a chodziło w niej o atak na chłopca żydowskiego pochodzenia. To samo zdarzenie zupełnie inaczej przedstawiają Mrożek i jego szkolny przyjaciel Janusz Smólski. I nie wiadomo, czy – jak w pierwszej wersji – chodzi o to, że w szkole był antysemityzm, czy o to, że ojciec chłopca pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa i sytuacja była niebezpieczna. Prawdopodobnie pisarz chciał opowiedzieć tę pierwszą historię; ta druga być może w ogóle go nie interesowała.

Pisarze mają skłonność do snucia autofikcji, do posługiwania się pewnym fabularnym skrótem i Mrożek też tak robił. Jego wspomnienia trzeba sprawdzać, bo i pamięć bywa zawodna, a poza tym, np. pisząc „Baltazara", nie miał przy sobie sekretarza, kogoś, kto zrobiłby dla niego research i porównał przywoływane daty z dokumentami. Niektóre daty autor wręcz wymazał z pamięci, jak dni śmierci matki i swojej pierwszej żony, co zresztą nie miało wpływu na to, że drążył te sprawy.

Relacje rodzinne pisarza były skomplikowane, i to nie tylko z najbliższymi, ojcem czy siostrą, lecz także np. ze szwagrem, też znaną osobą ze świata literackiego, Andrzejem Chąciński. W tym wypadku u podłoża konfliktu, tkwiły – jak się zdaje – kwestie finansowe.

Nie tylko. Chąciński stał się dla Mrożka postacią negatywną, co tamten przyjął ze zdziwieniem, dług został bowiem spłacony, a wyniknął on z tego, że jego żona, Gabriela Otremba, siostra pierwszej żony Mrożka...

... i pierwsza żona Andrzeja Wajdy...

... zgubiła jakąś książeczkę oszczędnościową. Ale ważniejsze było, moim zdaniem, co innego. Otóż, Andrzej – mówię tak o nim, bo zdążyłam się z nim zaprzyjaźnić – w 1968 r. wracał z Londynu do kraju przez Paryż i o swojej wizycie opowiadał w Warszawie kolegom literatom. Był wśród nich popularny wówczas felietonista „Kultury" – Hamilton, czyli Jan Zbigniew Słojewski, który wysmażył środowiskowo bardzo czytelny tekst...

... wyjątkowo paskudny...

... w którym „obsmarował" Mrożka, ale przede wszystkim Piotra Rawicza i samego Chąciński. No bo jak mógł zdeprecjonować Mrożka? Że jest emigrantem i się skończył? Bo to była taka stała PRL-owska nuta, że jak ktoś wyjedzie z kraju, to już nie istnieje. Ale posługiwał się Hamilton nieczystymi argumentami, obrażając tych, o których pisał, lekceważąc ich jako osoby nic nieznaczące. Mrożek jakby tego nie dostrzegł, zarzucając Chąciński nielojalność.

Na ojca boczył się pisarz niemal cały czas i dopiero u schyłku życia Antoniego Mrożka znaleźli ze sobą, co wynika z pani książki, wspólny język. Można to zrozumieć, biorąc m.in. pod uwagę wczesną śmierć matki autora „Tanga". Ale małostkowe wydaje się nam zachowanie Mrożka, który zniechęca kolegów do skorzystania z jego kupionego w Zakopanem domu, opowiadając nie-

Mrożek nie bez powodów uchodził za bardzo trudnego we współpracy. Boleśnie przekonał się o tym np. Jerzy Jarocki, ale innym inscenizatorom teatralnym też nie ułatwiał pracy. Pełnym zaufaniem obdarował jedynie Erwina Axera

eprasa.pl 64aebc5aa1

ANNA NASIŁOWSKA „MROŻEK. BIOGRAFIA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2023

stworzone historie o gospodarujących tam pod jego nieobecność stryjach. Tak jakby wstydził się ich, a naprawdę nie miał ku temu powodów.

Raczej nie miał, ale być może nie był pewny reakcji środowiska literackiego. Nie wiedział, jak zareagują na jego prostą rodzinę koledzy intelektualiści. Na wszelki wypadek się asekurował.

Odrębny, a wielki temat to kobiety w życiu Mrożka. Panie Mrożkowe były tylko dwie, ale pań... nie-Mrożkowych znacznie więcej. A niemal na koniec pojawiła się córka, o której nie miał pojęcia.

Nie ma co doszukiwać się tu jakichkolwiek sensacji. Owszem, miał biologiczną córkę, przyjechała nawet do Polski, była tutaj, ale to jest Francuzka, wychowana w tamtym kraju i w tamtej kulturze.

Można by rzec, że Bóg go pokarał tym nieślubnym dzieckiem, skoro tak bardzo przez całe życie wystrzegał się potomstwa.

Pokarał? Raczej obdarował. Piękny prezent od losu, na który nie w pełni zasłużył...

Naturalnie, ale zacytujemy zdanie z pani książki: „Decyzja, by nie mieć dzieci, wydaje się rozsądna u kogoś, kogo do rozpaczy doprowadzały chłodząca się lodówka i inne codzienne odgłosy". No jasne, lodówki można było nie kupować, nie wiem jednak, czy partnerki pisarza równie pewnie rezygnowały z posiadania dzieci.

Nie. Ten problem się pojawiał w jego i ich życiu.

A sprawę córki Mrożka można chyba porównać z historią syna Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Niby tak, ale poeta miał jednak w kraju córkę – Kirę, która stała się strażniczką ojcowskiej pamięci. I to srogą. Mrożek nie ma kogoś takiego, a nie trzeba specjalnie dowodzić, jak ważne są osoby w rodzaju np. córek Jarosława Iwaszkiewicza, zwłaszcza Marii, która dbając o pamięć ojca, pozostawała w pełni otwarta, nie cenzurowała niczego, nie skrywała żadnych dokumentów, ale dbała, by o Iwaszkiewiczu nie zapomniano. Susana, wdowa po Mrożku, spadkobierczyni jego praw autorskich, mieszka w Barcelonie i choć przyjeżdża do Polski – ostatnio spotkałam się z nią na festiwalu Stolica Języka Polskiego – to jednak istnieje bariera, językowa właśnie, ona potrzebuje tłumacza, jest daleka od naszych spraw.

Jej sytuacja przypomina tę, w której znalazła się Rita Gombrowicz?

Wdowa po Witoldzie otoczyła się jednak osobami, które mogą dać wsparcie w rozmaitych kwestiach, nie tylko edytorskich. No i pomagają.

Mrożek miał swoje dziwactwa. Swoją drogą, jego wrażliwość na dochodzące dźwięki była niesłychana. Niewątpliwie było to kłopotliwe, lecz w pewnym momencie bardziej zaczął mu szkodzić w pisaniu alkohol.

Pił sporo już we wczesnych latach w Krakowie, z kolegami dziennikarzami. Ale to nie był jeszcze problem, który spotęgował się w latach 80. I odbił się na jego „Dziennikach".

Które przypominały nam „Dzienniki" Teodora Parnickiego, z takimi zapisami, jak: dziś ćwiarteczka, wczoraj pół litra, jutro ból głowy itd.

Gorzej, gdy picie odbijało się na jakości pisania. Na domiar złego autor w trakcie przygotowywania książki całą masę fragmentów dziennika wyrzucił do kosza. Później potencjalni tłumacze dopytywali się o podstawę utworu, a tu... Nie ma!

Nie wszyscy chyba wiedzą, że Sławomir Mrożek nawet w niesprzyjającej mu atmosferze przesyłał do kraju swoje teksty i rysunki. Szczególnie te ostatnie warto byłoby przypomnieć.

One są pamiętane. Nie została dokończona edycja wszystkich rysunków Mrożka, nad którą pracował Stanisław Rosiek. W pewnym momencie zabrakło pieniędzy i te działania zostały zawieszone. Mam nadzieję, że przyszła pora na ich pokazanie, podobnie jak filmów. Do jednego z nich Hilary Krzysztofiak, przyjaciel Mary, pierwszej żony Mrożka, nagrał świetne niemieckie piosenki liryczne z okresu wojny.

On był Ślązakiem...

... podobnie jak siostry Obrembianki. A Krzysztofiakowi śmiertelny zawał serca w 1979 r. przerwał dobrze zapowiadającą się karierę malarską w Stanach Zjednoczonych. Teraz o jego pamięć dba wdowa, Krystyna Miłotworska, była dziennikarka „Sztandaru Młodych", a potem Radia Wolna Europa. A ja sfotografowałam, z ręki, jego obraz „Oto Mrożek wśród chmur, pokazuje się, kiedy chce" i zamieściłam go na ostatniej stronie swojej książki. Bardzo się cieszę, że udało się pokazać kilka mniej znanych albo w ogóle nieznanych dzieł związanych z Mrożkiem.

Jak – pani zdaniem – rysuje się przyszłość utworów Sławomira Mrożka? Ich popularność była swego czasu olbrzymia, i to pod różnymi szerokościami geograficznymi, ale to było... dawno.

Wciąż są grane; okazuje się, że „Emigranci" są znów na czasie, w Meksyku i gdzie indziej. Był taki okres, kiedy Rosja się demokratyzowała i nastał tam nagle boom na Mrożka, co się oczywiście skończyło i nie trzeba mówić dlaczego. A sam pisarz mógłby z pewnością zrobić więcej dla swojej kariery zagranicznej, ale nie mógł.

Dlaczego?

Niektóre tłumaczenia jego dramatów są zupełnie nieudane, zwłaszcza na język angielski. Doszło do tego, że „Wielebnych" w końcu napisał po angielsku, ale nie mógł sam zabrać się do przetłumaczenia całej swojej twórczości. Teraz mamy instytucje zajmujące się, tak czy inaczej, promocją literatury, za Mrożka czasów takich nie było, a jeśli nawet by były, to nie on byłby dla nich pierwszoplanową postacią. W rezultacie najwięcej zrobiły bliskie mu kobiety, które w naturalnym, oczywistym odruchu chciały pomóc. Do tłumaczenia brały się czasem przypadkowe osoby, przyjaciele, znajomi. I takie też powstały przekłady: amatorskie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Anna Nasiłowska** – profesor literatury, pisarka, poetka, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Pracuje w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Autorka kilkudziesięciu książek, w tym biografii dotyczących Simone de Beauvoir i Jeana-Paula Sartre'a, Yoshiho Umedy oraz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a także najnowszej „Mrożek. Biografia". Jest także autorką „Historii literatury polskiej", która wkrótce zostanie wydana w USA w tłumaczeniu na język angielski.*

eprasa.pl 64aebc5aa1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Koniec świata

W drugim odcinku nowego sezonu „Detektywa" bohaterka wyrzuca za okno pędzącego samochodu palący ją łańcuszek z krzyżykiem. Jest w tym coś symbolicznego: pierwsze trzy sezony serialu (zwłaszcza pierwszy) osadzone były wewnątrz paradygmatu chrześcijańskiego – istnieją zło i dobro pod bożym dachem nieba, pierwsze trzeba zwalczać, drugie ocalać. Były to dramaty sumienia, bohaterowie poszukiwali odkupienia. Sezon czwarty odrzuca ten świat i cywilizację jako taką.

Tym razem trafiamy na Alaskę, gdzie zaczyna się arktyczna noc i wraz z jej nadejściem dzieją się dziwne rzeczy: zmarli powracają, zwierzęta same zadają sobie śmierć, woda okazuje się zatruta, a załoga lokalnej stacji naukowej ginie w tajemniczych okolicznościach. Sprawę próbują rozwiązać miejscowa policjantka, którą gra Jodie Foster, i skłócona z nią funkcjonariuszka grana przez Kali Reis (obie wypadają świetnie). To już nie kryminał, to horror, tropy nadnaturalne są wyraźne. Nastrój posępny, zdjęcia znakomite, trochę brakuje tempa, zwłaszcza w drugiej połowie sezonu. Kiedy odnotujemy już plusy i skupimy się na reszcie, szybko dostrzeżemy także, że gra jest ustawiona: to kolejna produkcja, w której ważniejsze od tego, by było ciekawie, jest to, żeby było słusznie.

Mężczyźni to albo drapieżcy, albo fajtłapy używani przez kobiety w charakterze sekszabawek. Panie to twardzielki, choć niektórych nie ochroni to przed statusem ofiary. Robotnikami z miejscowej kopalni są oczywiście biali hejterzy, rasistowscy i seksistowscy. Ufać można jedynie wierzeniom tubylców, gdyż paski malowane na twarzy nie palą, w odróżnieniu od krzyżyka. To, co naturalne i dzikie, jest dobre (inaczej: jest właściwe; bo jak tu korzystać z kategorii dobra i zła?), cywilizacja jest rakiem, przeciw któremu sama matka Ziemia się buntuje. Można by to wszystko przełknąć, bo rzecz jest zręcznie opowiedziana, ale bardzo uwiera to, że nie ma komu kibicować, niemal wszyscy bohaterowie są mało sympatyczni, a niemal każda relacja między nimi jest toksyczna. Klimat z „The Thing" Carpentera, lodowe trupy niczym z „Gry o tron" i szamanizm pożeniony z ekologizmem – jakże daleko się znaleźliśmy od świata, który naprawiali Matthew McConaughey i Woody Harrelson. ©℗

★★★★☆☆

SEZON 4 „DETEKTYW" („TRUE DETECTIVE") USA 2024

wyst. Jodie Foster, Kali Reis, Fiona Shaw

NOWE SERIALE: „THE LONG SHADOW"

sky SHOWTIME

Dzieje pięcioletniego śledztwa, a właściwie łowów na bestię, czyli jak brytyjska policja tropiła Rozpruwacza z Yorkshire. Seryjny morderca Peter Sutcliffe w latach 1975–1980 zabił 13 kobiet, kilka innych zabić usiłował. W rolach głównych: Toby Jones i David Morrissey. Siedmioodcinkowy miniserial powstał oryginalnie na zamówienie brytyjskiego kanału ITV1. ©℗

Piotr Gociek

- ***„The Long Shadow"**, Wielka Brytania 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *miniseria **„Kartoteka policyjna" („Criminal Record")**, Wielka Brytania 2024* tv+
- *miniseria **„Fabryka lalek" („The Doll Factory")**, Wielka Brytania 2023*
- *miniseria **„Infiniti"**, Francja 2022* CANAL+ ONLINE

eprasa.pl 64aebc5aa1

Sępy Temidy

tv

Niewinnych ludzi wsadza się do więzień, a prawdziwi przestępcy są bezkarni. Gdzie? W Stanach Zjednoczonych, 45 lat temu. Kłopoty z praworządnością, a raczej spór między liberałami i zwolennikami zaostrzania kar podzieliły kraj. Hollywood zareagował, zapalając zielone światło dla kina moralnego niepokoju. W tej konwencji świetnie odnalazł się Norman Jewison. Zmarły w ubiegłym tygodniu reżyser, z pomocą ówczesnej żony – zdolnej scenarzystki – popełnił film o adwokacie zmagającym się z bezdusznym systemem. Arthur Kirkland otrzymuje propozycję nie do odrzucenia: ma bronić sędziego oskarżonego o gwałt, chociaż nie pała do niego sympatią. Historia cokolwiek naciągana, lecz opleciona mnóstwem wątków pobocznych, wzmacniających tezę o trądzie panującym w nowojorskim Pałacu Sprawiedliwości. Szlachetnego prawnika zagrał Al Pacino. Bezkompromisowość bohatera wiedzie go na manowce. Prawnik powinien być przede wszystkim profesjonalistą, inaczej długo miejsca w palestrze nie zagrzeje. Jeśli się zastanowić, to rację ma charyzmatyczny, lecz balansujący na krawędzi szaleństwa sędzia Rayford (brawa dla Jacka Wardena!). Skoro świat zwariował, to najlepiej odpłacić mu tym samym. ©℗

Wiesław Chełminiak

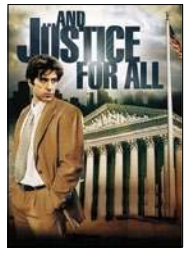

★★★★☆☆

REŻ. NORMAN JEWISON
„... I SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA WSZYSTKICH" („... AND JUSTICE FOR ALL")
USA 1979

wyst. Al Pacino, John Forsythe, Jack Warden

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ANARCHIA W PARYŻU

KINO

Podobno Francuzi stracili wrodzony optymizm. Od kolejnych prezydentów słyszą, że rok był trudny, a następny nie zapowiada się lepiej. Nękany przez komornika Bruno i bezdomny Albert z trudem utrzymują się na powierzchni, jednak ani myślą kapitulować. Wciąż próbują ograć system, który wpędził ich w pułapkę zadłużenia. Zwabieni perspektywą darmowej wyżerki biorą udział w panelu o sprawiedliwości społecznej. Dołączenie do radykałów, których mierzą nadmierna konsumpcja, globalne ocieplenie, wymieranie gatunków i konflikty na świecie, otwiera przed nimi całkiem nowe perspektywy. Od spontanicznych przytulanek i happeningów przechodzą do „grubszych akcji". Fajnie być rewolucjonistą (w Paryżu). Pomysł na film dobry, gorzej z wykonaniem. Nakache i Toledano dokazują, mieszają gatunki, by na koniec wpaść w objęcia banału. Trzeba jednak przyznać, że bez samochodów stolica Francji wygląda obłędnie. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. OLIVIER NAKACHE, ÉRIC TOLEDANO
„BĘDZIE LEPIEJ" („UNE ANNÉE DIFFICILE")
FRANCJA 2023

wyst. Pio Marmaï, Jonathan Cohen, Noémie Merlant

NIĆ PRZEZNACZENIA

KINO

Chimeryczna ballada o Anglik u współpracującym z szajką wyspecjalizowaną w rabowaniu etruskich grobów. Żadni z nich gangsterzy, są nędznie opłacanymi podwykonawcami. Artefakty, wyposażone przez pasera w fałszywe certyfikaty, kupują na pniu zagraniczni klienci. Anglikowi również daleko do Indiany Jonesa. To mało komunikatywny (nie tylko dlatego, że słabo mówi po włosku) dziwak i abnegat. Ma jednak szósty zmysł, który podpowiada, gdzie warto kopać. Naszego „grobodzieja" nękają zwidy tudzież tęsknota za utraconą miłością. Plakat reklamujący film przypomina kartę tarota, krytycy zaś doszukują się mitologicznych aluzji. Być może bohater jest awatarem Orfeusza, lecz sposób, w jaki Rohrwacher patrzy na zapyziałą toskańską prowincję sprzed lat 40, przywodzi na myśl przede wszystkim wczesną twórczość Felliniego. Umówmy się: nie jest to najgorsza rekomendacja. Tylko dzieci trochę szkoda. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. ALICE ROHRWACHER
„LA CHIMERA"
WŁOCHY/FRANCJA/SZWAJCARIA 2023

wyst. Josh O'Connor, Carol Duarte, Vincenzo Nemolato

GRA TYGODNIA: „PRINCE OF PERSIA: THE LOST CROWN"

Ubisoft w najwyższej formie. Po udanym powrocie do korzeni serii w „Assassin's Creed Mirage" (malkontentów nie brakowało, ja bawiłem się doskonale) w spektakularnym stylu sięga po markę „Prince of Persia". Nowa odsłona, w której wcielamy się nie w księcia Persji, a w Sargona, członka elitarnej grupy wojowników, to metroidvania w 2,5 D z doskonale zaprojektowanymi poziomami, satysfakcjonującymi i wymagającymi (poziom trudności możemy zmieniać w bardzo szerokiej skali) walkami i ciekawymi elementami platformowymi. Pierwszy kandydat na grę roku. ©℗

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji, platformówka*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Ubisoft*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 64aebc5aa1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sarmackie who is who

Do napisania tej książki zainspirował autora ksiądz kanonik Szymon Starowolski (1588–1656), który – jak żartobliwie powiada Henryk Litwin – w pierwszej połowie XVII w. sprawował jednoosobowy urząd zajmujący się promocją Polski za granicą. To ten najbardziej płodny pisarz ówczesnej Rzeczypospolitej napisał m.in., oczywiście po łacinie, „Mowę przeciw oszczercom Polski", odpowiedź na wydaną wcześniej książkę profesora protestanckiego uniwersytetu w Tybindze, Tomasza Lansjusza, zatytułowaną „Porada w sprawie pierwszeństwa wśród krajów europejskich". Uzasadniając w niej wyższość narodu niemieckiego nad wszystkimi innymi narodami, szczególnie pogardliwie potraktował ów Lansjusz Polaków. „W ostatnim roku panowania króla Zygmunta III – pisze prof. Andrzej Nowak w swoich »Dziejach Polski« – doczekała się ta opinia równie uczonej odpowiedzi z Krakowa […]. Starowolski zdążył już do owego momentu wydać m.in. pierwszą historię literatury polskiej (»Scriptorum Polonicarum hekatontas«, 1625), pochwałę rycerstwa polskiego (»Eques Polonus«, 1628) czy słownik biograficzny wodzów sarmackich (»Sarmatiae bellatores«, 1631) – a miał jeszcze przed sobą bardzo wiele dzieł, w tym najważniejszych dla jego z kolei miejsca w »hierarchii« naszej literatury politycznej. W »odpowiedzi oszczercom« spokojnie argumentował, broniąc piękna naszego języka, dzielności militarnej Sarmatów, tolerancji religijnej, wciąż większej niż w innych państwach europejskich. Ślepy na wady ustroju i skażenie obyczajów politycznych w Rzeczypospolitej ks. Staropolski nie był, jak się przekonamy. Tu jednak walczył o honor wspólnoty,

FOT. DOMENA PUBLICZNA

z którą się utożsamiał, a którą ktoś z zewnątrz próbował poniżyć". W XVII stuleciu było więc dla niego oczywiste to, co w wieku następnym już kwestionowano, podobnie jak – niestety – w czasach nam współczesnych.

Henryk Litwin postanowił, wzorem ks. Starowolskiego, o historii Rzeczypospolitej opowiedzieć za pomocą stu nie tyle biogramów, ile szkiców biograficznych o często zapomnianych postaciach z okresu od panowania ostatniego z Jagiellonów do roku 1668. Razem tworzą one świetną panoramę wielokulturowej (i wielowyznaniowej) społeczności, niewątpliwie związanej, duchowo i intelektualnie, z chrześcijańskim Zachodem, a także wyróżniającej się niezwykłym poczuciem obywatelskiej wolności. Charakterystyczne, że autor „Setnika białogłów i mężów sarmackich…" zgromadził w nim postaci raczej drugoplanowe, nie z pierwszych – jak byśmy dziś powiedzieli – stron gazet. Tym ciekawsze jest to sarmackie „Who is who".

Znajdziemy w nim m.in. pierwszą polską poetkę, Annę Zbąską ze Stanisławskich primo voto Oleśnicką, która rymem wprawdzie nieco częstochowskim o swoich małżeństwach opowiedziała w „Transakcji albo opisaniu całego życia jednej sieroty przez żałosne treny od tejże samej pisanych roku 1685". Niemniej tę osobistą historię osadziła w realiach społecznych dobrze rozpoznanych i ciekawie przedstawionych. Poza tym była pierwsza i choćby z tego powodu warta jest zapamiętania.

Z kolei pewnie tylko lwowiacy wiedzą, kim był Konstantyn Korniakt, fundator wieży przy Cerkwi Wołoskiej i pierwszej wersji sławnej kamienicy Sobieskich, ale poza środowiskiem kresowiaków jest to postać nieznana, jak cała jego rodzina wywodząca się z Grecji, dla Rzeczypospolitej zasłużona, choć pozycję swą zbudowała na… lichwie. Mimo protestów Konstantyn uzyskał jednak nobilitację, sam pozostając wiernym wyznawcą prawosławia, ale już swoim synom dając wolność wyboru religii.

Polecam także opowieści o sławnym obrońcy polskiego Wybrzeża, Janie Wejherze, którego przodek przybył na nasze ziemie z Frankonii jeszcze w XIV w.; o chrześcijańskim Horacym – Macieju Kazimierzu Sarbiewskim; o mającej pruskich przodków matce Magdalenie Mortęskiej, pionierce szkolnictwa dla dziewcząt, przełożonej klasztorów benedyktyńskich, której proces beatyfikacyjny uruchomiono całkiem niedawno, bo w 2016 r. Ale i o kresowych zawadiakach Adamie i Ludwiku Olizarach, o chyba niesprawiedliwie postrzeganym wyłącznie jako warchoł Janie Tomaszu Drohojowskim czy wreszcie o Aleksandrze Zborowskim, synu najsławniejszego w dziejach Rzeczypospolitej banity i awanturnika, bohatera dzieł Juliusza Słowackiego i Jarosława Marka Rymkiewicza.

A miłośnicy „Trylogii" Henryka Sienkiewicza dowiedziawszy się, że w „Setniku…" znajdą szkice o obrońcy Zbaraża Mikołaju Korffie czy o Joachimie Jerliczu, prawosławnym Rusinie i polskojęzycznym pamiętnikarzu, którego wzburzony pan Zagłoba wyzywał od śledzienników i łgarzy, z całą pewnością nie przegapią tej zajmującej książki. ©℗

★★★★☆☆

HENRYK LITWIN „SETNIK BIAŁOGŁÓW I MĘŻÓW SARMACKICH – STATYSTÓW, WOJOWNIKÓW, PISARZY I GOSPODARZY, KU NAUCE I POŻYTKOWI ZEBRANY"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 64aebc5aa1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Widok z dołu

Wojenne pogranicze: w wiosce Mała Starohradiwka zostało już tylko dwóch mieszkańców, Siergiej i Paszka. Jeden mieszka przy ulicy Szewczenki, drugi przy ulicy Lenina. Jednego odwiedzają czasem ukraińscy żołnierze, drugiego – tzw. separatyści. Kłócą się, ale gadają ze sobą, bo tylko oni zostali, bo ktoś musiał, ot przyjaciele i wrogowie, którzy żyć bez siebie nie mogą. Zostali, bo „wgryźli się w te swoje gospodarstwa bardziej niż pies w ulubioną kość". A strach? Siergiejowi „od czasu wybuchu wojny już się nie zdarzało bać o swoje życie. Zdarzało mu się raczej czegoś nie zrozumieć albo nagle zobojętnieć na wszystko, co go otaczało. Jakby wszelkie uczucia się ulotniły oprócz jednego – poczucia odpowiedzialności".

W nowej powieści Andrija Kurkowa (ukraiński pisarz tworzący po rosyjsku, znany w Polsce z kilku książek) wielka wojna jest daleko, a pustka pozostała po wojnie – zawsze blisko. Akcja rozgrywa się już po zaborze Donbasu i Krymu, ale przed pełnoskalową inwazją. Trafiamy w sam środek przestrzeni, której bezkształt, nędzę i brak reguł doskonale uchwycił Serhij Żadan w powieści „Internat". Siergiej Siergieicz odpowiedzialny czuje się już tylko za swoje ule (zapamiętały z niego pszczelarz). Ale wyruszy w podróż, która poszerzy jego pole widzenia.

Na okupowanym przez Rosjan Krymie znajdzie się w środku kafkowsko-stalinowskiej rzeczywistości ziem rządzonych przez putinizm. Tu też w prozie Kurkowa brakuje epickości, są za to niepokojące detale, mówiące więcej o opisywanym świecie od polityczno-socjologicznych analiz. Smutni panowie przyjeżdżają zadawać niby zwykłe pytania. Ale wiemy, że chodzi im o coś zupełnie innego. Miejscowi Rosjanie wyrzekają na miejscowych Tatarów: oj, trzeba coś z nimi zrobić, przecież Krym zawsze był rosyjski, Putin tak powiedział. A Putin nigdy nie kłamie. Wszyscy mieszkańcy ziem rządzonych przez Rosję wiedzą doskonale, co oznacza „coś trzeba zrobić".

A co może w tej sytuacji zrobić zwykły człowiek, nawet taki, który w nic mieszać się nie chce, a w sercu została mu tylko troska o własne pszczoły? Innego człowieka ocalić, choć jedno życie odmienić, kto wie, może nawet i uratować. Choć jedno życie. Nie własne. Warto kibicować Siergiejowi Siergieiczowi, bohaterowi tej smutnej, gorzkiej i bardzo prawdziwej powieści. ©℗

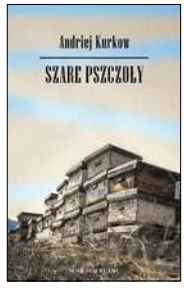

★★★★☆☆
ANDRIJ KURKOW „SZARE PSZCZOŁY" NOIR SUR BLANC 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Leys zawsze szedł pod prąd, demaskując zbrodnie Mao w Chinach, szydząc z mód intelektualnych Zachodu, pisząc ważne i piękne książki. Oto portret niezależnego myśliciela, świetnego sinologa, mądrego pisarza.

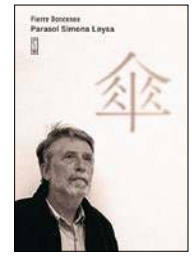

PIERRE BONCENNE „PARASOL SIMONA LEYSA" PIW

„Prowokacja" i „Biblioteka XXI wieku" wznowione w jednym tomie, czyli ciąg dalszy gry w pisanie recenzji fikcyjnych książek. Duża część szkicu „One Human Minute" ukazuje się po raz pierwszy w języku polskim.

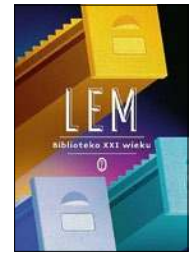

STANISŁAW LEM „BIBLIOTEKA XXI WIEKU" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Przełom lat 40. i 50. XX w., tygiel ras, narodów i religii. Czasem łotrzykowskie, czasem tragiczne opowieści o zwykłych ludziach w trudnych czasach. Trochę w duchu Hłaski, trochę Singera.

YOSSI GRANOVSKI „ADŻAMI. OPOWIEŚCI Z JAFY" FILTRY

Grupa szkolnych kumpli złączona ponurą tajemnicą z młodości: pomsta na nielubianej nauczycielce przybiera fatalny obrót. Ceniony peruwiański autor o cienkiej linii dzielącej zło i dobro, psikus i tragedię.

recenzuje Piotr Gociek

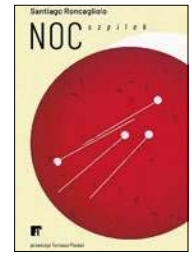

SANTIAGO RONCAGLIOLO „NOC SZPILEK" ARTRAGE

KOMIKS TYGODNIA: „FRANKENSTEIN"

Francuski rysownik Georges Bess najbardziej znany jest ze współpracy z Alejandrem Jodorowskym, ale jego solowe dokonania też zasługują na uwagę. Czarno-biała reinterpretacja (bo nie tylko adaptacja) powieści Mary Shelley to część stworzonej przez niego serii powieści graficznych według klasyków literatury grozy. W Polsce ukazała się także jego wersja „Draculi".

Piotr Gociek

GEORGES BESS „FRANKENSTEIN" SCREAM COMICS 2023

eprasa.pl 64aebc5aa1

DO ZOBACZENIA

Nowoczesność reglamentowana

RADOSŁAW WOJTAS

Trzeci z serii „4 x nowoczesność" pokaz jest „nie tyle próbą encyklopedycznie pomyślanej prezentacji osiągnięć artystycznych danego okresu, ile wypowiedzią na temat kształtu i losów kolejnego po dwudziestoleciu międzywojennym etapu modernizmu w Polsce".

Na wystawę „Nowoczesność reglamentowana. Modernizm w PRL" składa się ok. 350 obiektów, m.in. obrazów, grafik, rzeźb, fotografii, planów architektonicznych. Eksponaty podzielono na kilka części: „Forma i wojna" (z dziełami m.in. Zbigniewa Dłubaka, Oskara Hansena, Władysława Strzemińskiego, Andrzeja Wróblewskiego), „Forma i ideologia" (skupia się na różnych i zmieniających się postawach artystów wobec „jedynej słusznej ideologii"), „Modernizm fantomowy" (tu już ocieramy się o mikroskalę i przedmioty stworzone do codziennego użytku, ale poprzez swą niedostępność przedmioty fantomy), „Modernizm na licencji" (czyli rzecz o luce między PRL a Zachodem) oraz „Modernizm powszedni" (czyli rzecz o tym, jak siermiężna rzeczywistość ograniczała modernistyczne ambicje). ©℗

FOT. PATRYK JEZIERSKI/MNK

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Krakowie*
KIEDY? *do 14 kwietnia*

FOT. Z: BEKSIŃSKI/KOLEKCJA DMOCHOWSKICH

BEKSIŃSKI INACZEJ

Fotografie Zdzisława Beksińskiego rzadko kojarzone są w tym kontekście, wystawa w Muzeum Historycznym w Sanoku jest chyba pierwszą, która prezentuje je jako ikonograficzne źródła historyczne. Czego dotyczą? Oczywiście Sanoka. Beksiński przez niemal całe swoje życie przejawiał upodobanie do dokumentowania otaczającej go rzeczywistości, pozostawił po sobie więc wiele zdjęć Sanoka sprzed lat, choćby z czasów niemieckiej okupacji. ©℗

GDZIE? *Muzeum Historyczne w Sanoku*
KIEDY? *do 10 marca*

NA SŁUCH

Ściana oczu

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

The Smile z oczywistych powodów jest porównywany do utytułowanego Radiohead. Każda z grup brzmi nieco inaczej, choć trudno je odróżnić. Oba zespoły bazują na nieoczywistych melodiach, wyszukanych strukturach i zagmatwanych przesłaniach. Na nowej płycie The Smile jest bardziej spontaniczny, a zarazem brzmi bardziej surowo. Jest to to zasługa producenta Sama Petts-Davisa.

Album zaczyna się niewinnie od akustycznego utworu tytułowego, który wprowadza nas w świat sennych impresji. W kolejnych utworach oplatają nas wyszukane brzmienia, które budują niepokojące nastroje. W „Read the Room" dominują zasupłane frazy gitary Yorke'a. W „Under Our Pillows" po ataku „kolczastych" gitarowych dronów wyruszamy we floydowską odyseję kosmiczną. „Friend of a Friend" wypełnia symfoniczna ekstaza zaczerpnięta z „A Day in the Life" Beatlesów. W „I Quit" rozbrzmiewają smyczki à la Penderecki, którego admiratorem jest Greenwood. Zapierający dech ośmiominutowy „Bending Hectic" przechodzi od wyciszonego wokalu do doom metalowego zakończenia. Finałowy „You Know Me!" uspakaja atmosferę dzięki chłodnemu falsetowi Yorke'a oraz mglistym powiewom smyczków.

Ta niewątpliwie interesująca płyta wymaga od słuchacza uwagi, a także odwagi. ©℗

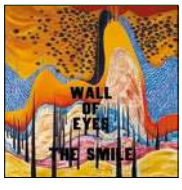

★★★★★☆
THE SMILE
„WALL OF EYES"
XL

★★★★★☆
MICHAŁ MIEGOŃ
„PÙSTCZI"
SOUND8

Lider zespołu Kiev Office propaguje kulturę kaszubską. W solowym debiucie opowiada historie, które poznał, wędrując po gdyńskich podmiejskich „pustkach". Gitarowy rock przenikają elektroniczne barwy i folkowe tematy. ©℗

★★★★☆☆
GREEN DAY
„SAVIORS"
REPRISE

Amerykanie wrócili do melodyjnego punk-popu, i to z producentem Robem Cavallo, który zbudował ich brzmienie na bestsellerowym albumie „Dookie". Jest po staremu – garażowy rock równoważą tęskne ballady. Tylko dawni smarkacze są dziś panami po pięćdziesiątce. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

Grzegorz Kondrasiuk

Szybkie, wściekłe, fizyczne, ruchowe, śpiewane i tańczone aktorstwo ustanowiło ich markę i ciągle jest przekazywane jako technika w prowadzonej przez teatr Akademii Praktyk Teatralnych

„Szósty akt. Po spektaklu"
FOT. MARCIN BUTRYN

Obecność „Gardzienic"

Taka niespodzianka: Gardzienice ciągle leżą w tym samym zakątku kraju i dalej uprawia się tam teatr. Więcej nawet – w swoim najnowszym repertuarze Ośrodek Praktyk Teatralnych wykonał ciekawy zwrot. W ramach tzw. Kosmosu zamiast pełnoskalowych produkcji pokazał… cztery monodramy stworzone jesienią na festiwal Generator Nadziei. Zważywszy na wyniesiony z teatralnej alternatywy absolutny kult zespołu i zespołowego grania, jest to posunięcie śmiałe. A jednak całkowicie zrozumiałe w ich sytuacji, w pozycji zespołu legendy, ale takiej, której ciągle chce się żyć nowym życiem, życiem kolejnych premier.

„Minetti" Olega Dracza, „Okzseik" Pawła Kieszki, „Elektra23" Joanny Holcgreber i „Szósty akt. Po spektaklu" Mariusza Gołaja i Katarzyny Gołąb oglądane w jednym ciągu, przy ogromnych różnicach, zaskakują jednością tematyczną. Kto to jest aktor? Czym jest teatr? Te pytania powracały w każdym z nich. Kto to jest widz – dodałbym od siebie, bo przeżyciem był sam powrót do sali Carminy, w której widziałem pierwszy raz „Metamorfozy", już ćwierć wieku temu, jedno z mocniejszych, decydujących przeżyć teatralnych. A teraz dokładnie w tym samym miejscu oglądam ściszone, osobiste i na wyciągnięcie ręki bliskie wypowiedzi dwojga aktorów z tamtej obsady – Joanny Holcgreber i Mariusza Gołaja. Głównie to ich obecność i ekspresja zapewniają poczucie ciągłości po wszystkich odejściach i rozpadach kolejnych składów tamtych wielkich Gardzienic. Szybkie, wściekłe, fizyczne, ruchowe, śpiewane i tańczone aktorstwo ustanowiło ich markę i ciągle jest przekazywane jako technika w prowadzonej przez teatr Akademii Praktyk Teatralnych. Tym razem już bez fajerwerków, nieludzkich temp, bez instrumentów, za pomocą miniprzedstawień opartych głównie na tekście aktorzy Gardzienic podejmują namysł nad esencją swojego teatru czy może nad widowiskiem w ogóle.

Joanna Holcgreber zdecydowała się w pojedynkę odegrać „Elektrę", po kolei wcielając się w postaci z tragedii Eurypidesa, łącznie z chórem. Joanna Holcgreber poprawia dekoracje, wykonuje pracę techników scenicznych, komentując te konieczności i uciążliwości. A potem przechodzi przez tekst, wchodząc po kolei w każdą postać, w jej frazę, fizyczność. Wchodzi na chwilę, a potem staje obok. Na początku wydaje się, że śledzić mamy tragiczną fabułę i treść fraz Eurypidesa. Szybko okazuje się jednak, że to sama gra staje się tematem. To prezentacja stylu i utrzymanego w nim kunsztu wykonawczyni, demonstracja unikalnego gardzienickiego grania. Prosta i bezpretensjonalna, unikająca patosu, broniąca się jakością.

„W Ameryce" to nieco zapomniana dziś powieść Susan Sontag o Modrzejewskiej i Sienkiewiczu, ich dziwnej przygodzie w Stanach Zjednoczonych, gdzie wielka polska aktorka robiła wielką karierę, a zauroczony nią pisarz próbował życia w falansterze. Mariusz Gołaj wraz z reżyserem Tomaszem Łukasiakiem sięgnęli po jeden z rozdziałów książki, w którym Edwin, stary aktor (Mariusz Gołaj), po spektaklu upija się w towarzystwie Modrzejewskiej (Katarzyna Gołąb) i prowadzi pozorny dialog z milczącą partnerką i z samym sobą, dialog zmieniający się w spowiedź. Przekaz tego oszczędnego, istotnego spektaklu wydaje się prosty niczym koan zen: świat, który pamięta każdy, kto przekroczył „połowę żywota swojego", z coraz większym przyspieszeniem płowieje i znika. Ale dużo treści dochodzi tu w podtekście, ponad oryginałem. „Nowoczesne życie… ja nie muszę się do tego przyzwyczajać" – powiadają i Edwin, i zarazem Gołaj, uruchamiając nośną, metaforyczną figurę zdetronizowanego mistrza, którego nikt nie chce słuchać. Opowieść o dawnym teatralnym stylu, dawnej sławie ma wiele pięter…

„Szósty akt…" nie jest monodramem, Gołaj gra wobec milczącej partnerki, a ona znakomicie współistnieje z nim gestami, spojrzeniami, powstrzymanym flirtem, potęgując wrażenie samotności starego artysty, prześladowanego przez wspomnienia i nikomu dziś niepotrzebne wielkie szekspirowskie role i monologi. W tym gęstym tekście pojawiają się przenikliwe wglądy w dziwną naturę gry scenicznej. W nich, w tym ściszonym, kameralnym przedstawieniu, opowiedziana jest porażająca wewnętrzna wiedza o tym, jak wygląda życie na scenie, jaką cenę za nie się płaci, jaki system blokad należy w sobie wytworzyć: „Jakiż potworny wykonujemy zawód!", „Co czuje aktor? Stałem się lekki jak stronica książki". I wreszcie – boleśnie prawdziwe: „Jeśli umiesz na scenie powiedzieć »cierpię« – to nie cierpisz".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

OŚRODEK PRAKTYK TEATRALNYCH „GARDZIENICE"
„SZÓSTY AKT. PO SPEKTAKLU", WEDŁUG POWIEŚCI SUSAN SONTAG „W AMERYCE"
REŻ. TOMASZ ŁUKASIAK
„ELEKTRA23", FRAGMENTY „ELEKTRY" EURYPIDESA
REŻ. JOANNA HOLCGREBER
PREMIERA: 14 PAŹDZIERNIKA 2023 R.

eprasa.pl 64aebc5aa1

Czy wybuchnie wojna rosyjsko-polska?

Lech Mażewski

Marek Budzisz, publicysta związany z think tankiem Strategy and Future, w swojej najnowszej książce zatytułowanej „Pauza strategiczna" przekonuje, że w ciągu siedmiu lat od zakończenia działań zbrojnych nad Dnieprem wybuchnie wojna polsko-rosyjska. Czy tak rzeczywiście wygląda sytuacja Polski?

Na początku musimy spróbować udzielić odpowiedzi na skądinąd zasadnicze pytanie: Na czym autor opiera przekonanie, że wojna z Rosją jest nieuchronna, nawet pomijając to, za ile lat miałaby ona nastąpić? Ze wstępu książki dowiadujemy się, że źródłem tego przekonania są niedawne wypowiedzi trzech wysokiej rangi polityków rosyjskich: Siergieja Ławrowa, Dmitrija Miedwiediewa oraz Nikołaja Patruszewa. Pozwala to Budziszowi stwierdzić, że

eprasa.pl 64aebc5aa1

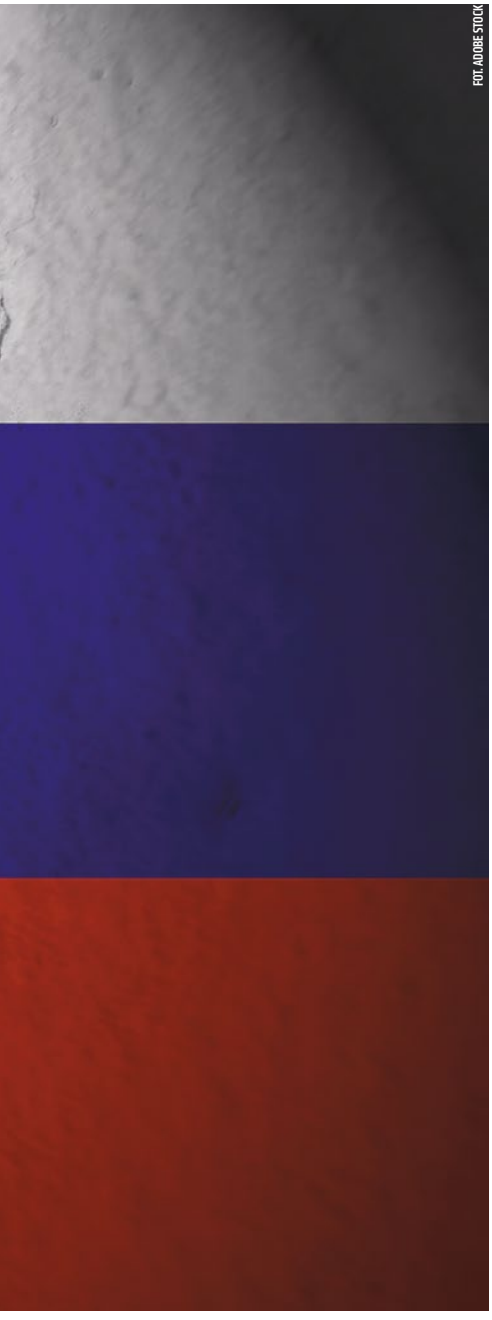

FOT. ADOBE STOCK

w przypadku Rosji „Będziemy mieli do czynienia z państwem wrogim, agresywnym, nieprzewidywalnym, odwołującym się w swojej polityce do siły i próbującym nas zastraszyć".

Wojny nie wybuchają jednak w efekcie deklaracji polityków, ale są skutkiem zderzenia strukturalnych sił, konfliktów granicznych, narodowościowych, gospodarczych, ideologicznych, a takie obecnie nie występują między Rosją a Polską. Moskwa nawet, sama będąc państwem nieliberalnym, walcząc o dominację dyplomatyczno-wojskową, zajmuje postawę aideologiczną; to nie czasy ZSRS. Na końcu wstępu czytamy jeszcze, że książka jest o tym, „jak powinna wyglądać nasza polityka" w tej sytuacji, tyle że właściwie nic więcej na ten temat nie ma w „Pauzie strategicznej".

Stanowisko autora sprowadzałoby się do tego, że nieuchronność wybuchu wojny rosyjsko-polskiej to „oczywista oczywistość", której w gruncie rzeczy nie ma potrzeby uzasadniać, bo sprawa jest tak jasna. Można tak sądzić, pozostając w ramach tradycji patriotyzmu antyrosyjskiego, a dziś na gruncie poglądów formułowanych w Strategy and Future. Głos Jacka Bartosiaka, założyciela tego think tanku, od wielu lat forsującego takie stanowisko, jest do tego stopnia rozstrzygający, że można powiedzieć: „Bartosiak locuta, causa finita". Dla tych, których nieemocjonalnie rozumiany patriotyzm i racjonalność polityczna chronią przed „chorobą na Moskala", z pewnością tak nie jest.

PAS PAŃSTW POZABLOKOWYCH

W momencie upadku ZSRS w Europie Północnej i Wschodniej pojawił się pozablokowy pas państw od Finlandii i Szwecji, dalej republiki nadbałtyckie i Białoruś, aż do Mołdawii i Ukrainy. Dziś, niestety, on już przestał istnieć – z dużą szkodą dla nas. Okrzepnięcie tego pasa sprawiłoby, że Rosja zostałaby daleko odsunięta na wschód od naszych granic i nie trzeba by toczyć o to żadnej wojny. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, to dziś o wojnie rosyjsko-polskiej nie byłoby mowy, a opowieści o imperializmie, jakoby od zawsze cechującym moskiewski ośrodek siły, okazałyby się mocno przesadzone.

USA i Rosja nie chciały utrzymania takiego pasa państw. Waszyngtonowi uniemożliwiłoby to ekspansję militarną na tereny dawnego ZSRS, a także sabotowanie chińskiej inicjatywy pasa i szlaku. W perspektywie rozstrzygnięcia zmagań amerykańsko-chińskich o panowanie nad światem konieczne byłoby z punktu widzenia Waszyngtonu podporządkowanie sobie Moskwy, a przynajmniej doprowadzenie do sytuacji, w której bogactwa naturalne Syberii nie będą dostępne dla Pekinu po ogłoszeniu blokady morskiej Państwa Środka przez Stany Zjednoczone. Z kolei w przypadku Federacji Rosyjskiej odpadłaby możliwość skupienia w jej granicach obszarów ruskiego miru, a więc Białorusi, Ukrainy i północnego Kazachstanu, co postulował już dużo wcześniej Aleksander Sołżenicyn; ponadto chodzi o przeciwstawienie się zagrożeniu, którym jest kolejny Drang nach Osten. Amerykanie przejęliby pałeczkę w tej historycznej sztafecie od Polaków z okresu Zygmunta III Wazy, następnie Karola XII, Napoleona czy Adolfa Hitlera. Skończyło się to dla nich wszystkich źle, przy czym dla Polaków było to nieco odłożone w czasie.

Można było spróbować postawić kwestię statusu tych państw w odpowiedzi na rosyjskie żądania z 17 grudnia 2021 r. w sprawie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie, ale USA z tego nie skorzystały. Sednem tych żądań było wyrzeczenie się przez Ukrainę możliwości wejścia do NATO, ale nie zakaz wejścia do Unii Europejskiej. W odpowiedzi Amerykanie mogliby zażądać zerwania więzi państwowych między Białorusią a Rosją w ramach Państwa Związkowego Rosji i Białorusi, z możliwością przystąpienia Mińska do UE. Ostatecznie szanse na realizację takiego rozwiązania geopolitycznego zostały pogrzebane 24 lutego 2022 r. wraz z intensyfikacją konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, aż do otwartej wojny, a następnie przystąpieniem Finlandii, i wkrótce Szwecji, do NATO.

Kluczem do zrozumienia sytuacji w Europie Północnej i Wschodniej jest przede wszystkim wola utrzymania hegemonii nad światem przez USA, a nie dążenia polityczne Rosji, które w tej chwili mają charakter głównie reaktywny

Zatem kluczem do zrozumienia sytuacji w Europie Północnej i Wschodniej jest przede wszystkim wola utrzymania hegemonii nad światem przez USA, a nie dążenia polityczne Rosji, które w tej chwili mają charakter głównie reaktywny. Inna polityka Waszyngtonu wobec

eprasa.pl 64aebc5aa1

regionu mogłaby sprawić, że o wybuchu wojny rosyjsko-polskiej nie dałoby się w ogóle mówić. Budziszowi całkowicie umyka to z pola widzenia, co od początku stawia pod znakiem zapytania wartość jego książki.

Na szczęście w „Pauzie strategicznej" już nie opowiada się kocopołów o utworzeniu unii polsko-ukraińskiej, kolejnej plagi, która mogłaby spaść na nas, za co należy Budzisza pochwalić

WYNIK WOJNY NA UKRAINIE

Toczony od lutego 2022 r. konflikt na południowy wschód od naszych granic może zakończyć się w trojaki sposób: zwycięstwem Moskwy, sukcesem Kijowa i wreszcie starcie może mieć charakter nierozstrzygnięty. W pierwszym przypadku wojska rosyjskie stanęłyby nad Bugiem, czego nie byłoby, gdyby doszło do utrzymania pasa państw pozablokowych (z czym mieliśmy do czynienia w momencie upadku ZSRS). To rozwiązanie skrajnie niekorzystne dla nas, bo wtedy rzeczywiście mogłoby w krótkim czasie dojść do konfliktu rosyjsko-polskiego.

W drugiej sytuacji Ukraina, być może wracając do granic sprzed 2014 r., odgrywałaby rolę regionalnego ośrodka siły, a Polska rzeczywiście stałaby się sługą narodu ukraińskiego, jak chciał tego były rzecznik polskiego MSZ. Obecnie jest oczywiste, że tego nie będzie.

Na szczęście w „Pauzie strategicznej" już nie opowiada się kocopołów o utworzeniu unii polsko-ukraińskiej, kolejnej plagi, która mogłaby spaść na nas, za co należy Budzisza pochwalić, choć on sam nie jest zadowolony, że tak sprawy się mają. Polska przegrała drugą wojnę światową, ale nie tak zupełnie, skoro zakończyła się trwająca 600 lat nasza zupełnie nieudana obecność na Wschodzie, licząc od włączenia do Królestwa Polskiego przez Kazimierza Wielkiego Rusi Halickiej ze Lwowem. Nie udało się ani doprowadzić do unii Warszawy i Wilna z Moskwą, ani przekształcić państwa polsko-litewskiego w trialistyczne z udziałem Kozaków zaporoskich jako pełnoprawnego podmiotu, a procesy polonizacji okazały się zbyt słabe, żeby utrzymać te rozległe obszary. Ta czaszka nigdy się nie uśmiechnie, chyba że szyderczo jako element antypolskiej propagandy uprawianej obecnie przez Kreml.

Bez wątpienia najlepszym rozwiązaniem dla nas byłoby, aby wojna nad Dnieprem miała charakter nierozstrzygnięty, i w takim właśnie kierunku biegną wydarzenia, z czego Budzisz nie jest zadowolony. Ukraina, co prawda, zachowałaby suwerenność wobec Rosji, pozostając jednak całkowicie zależna od państw zachodnich, głównie od USA i Wielkiej Brytanii, będąc uszczuplona terytorialnie i z wielkimi stratami zarówno ludzkimi, jak i materialnymi. Umowa podpisana 12 stycznia 2024 r. w Kijowie między Wielką Brytanią a Ukrainą o zasadach współpracy w sprawach bezpieczeństwa w okresie 10 lat miałaby przygotować Kijów po okresie zamrożenia konfliktu, na co się zanosi, do podjęcia kolejnych działań zbrojnych. Wyraźnie bowiem stwierdza się, że celem brytyjskiej pomocy jest „przywrócenie jej [Ukrainie – przyp. M.B.] integralności terytorialnej w granicach uznanych na arenie międzynarodowej, w tym na morzu terytorialnym i wolnej strefie gospodarczej (morskiej)". Pytaniem jest, czy Polska – już z liberalno-lewicowym rządem Donalda Tuska – także zawarłaby tego typu umowę?

Książka kończy się bardzo realistyczną konstatacją, że „w wyniku wojny będziemy mieli za naszą wschodnią granicą drugą Bośnię, państwo słabe, dysfunkcjonalne, żyjące ze środków pomocowych i eksportu siły roboczej". Na miejscu Ukraińców dobrze bym się zastanowił nad sensem decyzji, którą podjęli w lutym 2022 r. Zresztą w taki sam sposób pisze o tym Bartłomiej Radziejewski w zakończeniu swojej najnowszej książki „Nowy porządek globalny". Być może sensem umowy z 12 stycznia jest niedopuszczenie, by tego rodzaju głosy pojawiły się w Kijowie. Oby tylko Ukraińcy nie doszli do wniosku, że to Polacy wepchnęli ich do tej beznadziejnej wojny.

Również Rosja nie byłaby w stanie zaliczyć tego konfliktu do swoich największych sukcesów, gdyż znacznie pomniejszony zostałby jej potencjał, a to z kolei powodowałoby, że przestawałaby być zagrożeniem dla Polski. Tak właśnie mówił i pisał do niedawna autor, ale dziś już Moskwa – mimo oczywistych strat, które ponosi – ma być jeszcze potężniejsza niż przedtem. Jak byłoby to możliwe – nie wiadomo, skoro ewentualna pomoc ze strony Chin, Iranu czy KRLD nie może w żaden sposób równoważyć olbrzymiego wsparcia, które Ukraina otrzymuje od Zachodu, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Jeśli Rosja jest tak potężna gospodarczo, jest rodzajem przebudzonego olbrzyma, to wszystkie dotychczasowe opowieści o kolosie na glinianych nogach są zwykłym bajdurzeniem. Budzisz musi uważać, żeby za pisanie prawdy nie być uznany za ulegającego kremlowskiej propagandzie.

Nierozstrzygnięty charakter konfliktu nad Dnieprem byłby zatem dobrą przesłanką do twierdzenia, że w najbliższym czasie żadnej wojny rosyjsko-polskiej nie będzie. Najpierw bowiem Rosjanie musieliby dojść do Bugu, a po dotychczasowych doświadczeniach wydaje się to mało prawdopodobne, a z pewnością nie nastąpiłoby to szybko i byłoby okupione stratami jeszcze większymi niż dotąd. Ukraina w takiej sytuacji nie walczyłaby w obronie Polski, jak niektórzy naiwni ukrainofile wygadują, ale własnej, co nie znaczy, że beneficjentem oporu Kijowa nie byłaby Warszawa. Tu jednak Budzisz nas przestrzega, że „jeśli Kijów poczuje się zdradzony przez sojuszników i przymuszony do zawarcia niepopularnego i niekorzystnego pokoju czy zawieszenia broni", to w grę może wchodzić „wariant gruziński", czyli rozpoczęcie uprawiania polityki, „obiektywnie rzecz biorąc, która jest na rękę Moskalom". Nie można tego Ukrainie zabronić, gdyby tak spróbowała rozumieć swój interes państwowy. Przecież tak właśnie postąpili Kozacy, zawierając w 1659 r. w Perejasławiu ugodę podporządkowującą Ukrainę Rosji – mimo wcześniej przyjętej unii hadziackiej, która ustanawiała trialistyczną Rzeczpospolitą z ich równorzędnym udziałem.

Z całą mocą obowiązywałaby wtedy teza sformułowana w tytule poprzedniej książki Budzisza o samotności strategicznej Polski, ale rozważania skupiające się

eprasa.pl 64aebc5aa1

MAREK BUDZISZ „PAUZA STRATEGICZNA" WYDAWNICTWO ZONA ZERO 2023

wyłącznie na potrzebie reformy armii, co nie podlega dyskusji, to jednak za mało. Nic tu nie dadzą też pohukiwania o groźbie powstania „PRL-bis", o czym czytamy na samym początku pracy. Bez poważnej dyskusji na temat rzeczywistego położenia geopolitycznego Polski się nie obędzie. „Choroba na Moskala" z pewnością by temu nie sprzyjała, a nawet mogłaby prowadzić do powtórzenia katastrofy na kształt tej z września 1939 r.

POLSKA OSTPOLITIK

Ewidentną słabością książki jest odrzucenie powszechnie akceptowanej tezy, że wojna to przedłużenie polityki, a nie zjawisko samoistne; inaczej popadamy w tępy militaryzm, który nie przystoi nawet generałom, a cóż dopiero tym, którzy mają się za geostrategów. W „Pauzie strategicznej" nie ma w ogóle miejsca na politykę Warszawy na odcinku rosyjskim, jest jedynie przekonanie o nieuchronności wybuchu wojny rosyjsko-polskiej w ciągu najbliższych kilku lat. Możliwość powstania polskiej Ostpolitik przeczyłaby temu. Koniec dotychczasowej fazy konfliktu nad Dnieprem mógłby dać taką szansę, choć zdaję sobie sprawę, z jakimi problemami może się to spotykać.

Jest jasne, że w ramach naszej Ostpolitik powinniśmy prowadzić wymianę gospodarczą ze wszystkimi państwami, które znajdują się na Wschodzie, a także dbać o położenie naszej mniejszości na tamtych terenach. Ponadto bezwzględnie konieczne byłoby wsparcie dla istnienia możliwie niezależnej Białorusi, ktokolwiek by sprawował władzę w Mińsku. Należałoby przychylnie odnosić się do wszelkich dążeń Białorusi mających na celu poluzowanie istniejących zależności od Moskwy.

Jeśli chodzi o Ukrainę, to naprawdę powinno nas interesować jedynie, aby to państwo zachowało niezależność od Rosji – bez względu na to, jak ostatecznie będą ukształtowane granice między Kijowem a Moskwą, aczkolwiek „wariantu gruzińskiego" też nie dałoby się wykluczyć.

I wreszcie w przypadku Rosji to obecność Polski w NATO, choć słusznie podkreśla Budzisz, że liczenie na pomoc europejskich członków paktu ma słabe podstawy, bliskie stosunki militarne z USA i przede wszystkim reforma i wzmacnianie własnych sił zbrojnych są wystarczającymi gwarancjami bezpieczeństwa i powinny zapewnić nam powodzenie w momencie ewentualnego konfliktu zbrojnego. Będąc skazanymi w gruncie rzeczy na liczenie na samych siebie w momencie wybuchu wojny z Rosją, powinniśmy stale pamiętać, by nie dać zamienić Polski w Dzikie Pola, jak dzieje się z Ukrainą, bo o to bardzo łatwo. Tylko co potem?

A gdyby Waszyngton zrezygnował z jednobiegunowego momentu w swoich dziejach i opuściłby Eurazję, starając się dbać o równowagę w niej niejako spoza horyzontu, to jak wyglądałaby sytuacja geopolityczna? W noworocznym numerze „Do Rzeczy" pisałem, że w naszej części Europy musiałaby się wytworzyć nowa równowaga sił. Zapewne Stany Zjednoczone nie zaprzestałyby podtrzymywania Ukrainy w imię balansowania Rosji. Warszawa miałaby się nie tylko intensywnie zbroić, gdyż nowe okoliczności geopolityczne zdecydowałyby o możliwości pojawienia się takiego rodzaju regionalnej równowagi, która nie powstałaby przy negowaniu interesów Moskwy. Polska polityka musiałaby uwzględniać realny układ sił, a nie opierać się na patriotycznych frazesach, jagiellońskich złudzeniach, moralistycznym oburzaniu się czy demoliberalnym doktrynerstwie.

Zarówno dla Budzisza, jak i całego think tanku Strategy and Future szczególnie strasznie musi brzmieć fraza o „jagiellońskich złudzeniach". Bartosiak jest przekonany, że to do niego i jego współpracowników należy odrobienie historycznego błędu Gedymina, który nie doprowadził do unicestwienia w zarodku Moskwy, czyli źródła wszelkiego zła, z którym mamy dziś do czynienia w świecie. Na tym właśnie miałaby polegać polska Ostpolitik. Gdyby ktoś tego nie akceptował, to nie jest patriotą, jest kompletnym głupcem albo użytecznym idiotą Putina; doprawdy nie wiem, co gorsze. Na plus dla autora należy zaznaczyć, że nie wpycha on Polski do wojny z nieliberalną Rosją w ramach demoliberalnego doktrynerstwa, a jedynie jest to przejaw „choroby na Moskala". Inaczej zdaje się czynić rząd Tuska w ramach ekspiacji za politykę resetu w stosunkach polsko-rosyjskich z lat 2007–2014.

CZY WYBUCHNIE WOJNA ROSYJSKO-POLSKA?

Nasza Ostpolitik nie może być ograniczona wyłącznie do zbrojeń czy opowieści o konieczności walki z Moskwą za wszelką cenę i w każdych okolicznościach, tak nie byłoby nawet w przypadku zwycięstwa Rosji nad Ukrainą, na co się nie zanosi. Przecież główny animator nieudanej próby geopolitycznej przebudowy Wschodu w 1920 r. doprowadził 12 lat później do zawarcia traktatu o nieagresji między Warszawą a Moskwą. Dostrzeżenie tego jest jednak poza możliwościami aktualnych spadkobierców marszałka Józefa Piłsudskiego. Również o niczym takim nie ma mowy w pracy Budzisza. Otrzymujemy za to opowieść o nieuchronności wojny rosyjsko-polskiej, i to w najbliższym czasie, choć zupełnie nie wiadomo, z czego miałoby to wynikać. Czyni to z „Pauzy strategicznej" książkę, której zadaniem jest zagrzewanie Polaków do walki z odwiecznym wrogiem, który nawet po upadku systemu sowieckiego nadal jest istnym Imperium Zła, i to tylko dlatego, że Rosja nie chce się poddać dominacji USA. Ostatecznie chodziłoby o propagandę na rzecz działania w obcym interesie, a nie próbę zrozumienia czegokolwiek z sytuacji geopolitycznej, w której znajduje się obecnie Polska – mimo wielu ciekawych uwag poczynionych przez autora, czego nie można mu odmówić.

Jeśli chodzi o Ukrainę, to powinno nas interesować jedynie, aby to państwo zachowało niezależność od Rosji – bez względu na to, jak będą ukształtowane granice między Kijowem a Moskwą

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojoznawcą.

eprasa.pl 64aebc5aa1

Z nienawiści do polskości

Paweł Chmielewski

Ojkofobiczne elity chcą zohydzić polskość, czyniąc z kulturotwórczych warstw dawnej Rzeczypospolitej bandę najpodlejszych okrutników. Całkowicie pomijając kontekst epoki, historycy, publicyści i pisarze ujmują się za chłopskim losem, przedstawiając przedrozbiorową wieś jako niewolnicze piekło, a szlachtę jako nieludzkich tego piekła zarządców, wzbudzających odrazę światłych Europejczyków. To obraz głęboko zakłamany, któremu trzeba się zdecydowanie przeciwstawić

Każdy już chyba słyszał o Netflixowym serialu „1670", a wielu miało pewnie wątpliwą przyjemność obejrzenia choćby jednego odcinka. Komediowa produkcja to nachalnie liberalna, a intelektualnie niezwykle prostacka opowieść o dawnej Polsce, utkana z najbardziej typowych lewicowych mitów. Pijaństwo, głupota, zacofanie, brud i smród: tak miała wyglądać codzienność polskiej szlachty.

W adresowanym do wielkomiejskiej młodzieży paszkwilu nie mogło oczywiście zabraknąć jeszcze jednej kliszy: prawdziwy polski szlachcic musiał znęcać się nad chłopstwem. Serialowy główny bohater, Jan Paweł, traktuje chłopów jak obdarzone ludzką mową bydło: bije, wyzyskuje, pogardza; dla chwili rozrywki gotów jest narazić poważnie ich zdrowie albo i życie. Produkcja, co trzeba podkreślić, nie pokazuje go jako jakiegoś wyjątkowego sadysty: ot, zwykły „szlachciura", każdy tak robił…

Obrazu całkowitego upodlenia dopełnia jeszcze pokazane w serialu zachowanie księdza, dalekie od poczciwości „dobrodzieja" z powieści Reymonta. W „1670" ksiądz traktuje chłopów z najwyższą pogardą, głównie jako źródło łatwych pieniędzy.

Kto obejrzawszy Netflixową produkcję, pomyśli, że właśnie tak wyglądała dawna Rzeczpospolita, stwierdzi w efekcie: cóż, chłopskie piekło…

NAWAŁA ANTYSZLACHECKICH PUBLIKACJI

Zmienić to spojrzenie będzie mu trudno, bo w ostatnim czasie po prostu zaroiło się od publikacji, które oskarżają Polskę – zwłaszcza przedrozbiorową – o skrajnie nieludzkie traktowanie chłopów. W 2020 r. historyk i socjolog Adam Leszczyński wydał głośną „Ludową historię Polski". Autor rozpoczął książkę od bardzo mięsistego opisu handlu czarnymi niewolnikami, by następnie porównać do ich sytuacji sytuację polskiego chłopa. Publikacja Leszczyńskiego wywołała całą lawinę książek i artykułów, przedstawiających w najczarniejszych barwach los dawnej wsi – polskiej oczywiście. Sam Leszczyński wydał niedawno „Obrońców pańszczyzny", gdzie starał się ukazać w krytycznym tonie środowiska konserwatywne, z różnych przyczyn niechętne uwłaszczeniu chłopstwa.

W 2021 r. publicysta historyczny Kamil Janicki ogłosił książkę o nader wymownym tytule „Pańszczyzna.

eprasa.pl 64aebc5aa1

Serial „1670" to nachalnie liberalna, a intelektualnie niezwykle prostacka opowieść o dawnej Polsce, utkana z najbardziej typowych lewicowych mitów

FOT. ROBERT PAŁKA

Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa", gdzie przedstawił chłopów w roli rzymskiego instrumentum vocale, czyli mówiące narzędzie; a nawet gorzej, bo – jak napisał – polska szlachta nie używała takich wysublimowanych określeń, chętniej traktując chłopa po prostu jako towar czy przedmiot. Żeby nie pozostawiać wątpliwości co do ohydnej natury szlacheckich panów, w tym roku wydał jeszcze pracę pt. „Warcholstwo. Prawdziwa historia polskiej szlachty", wskazując, że wciąż wielu Polaków ma do szlachty jakiś sentyment i szuka swoich szlacheckich przodków, a przecież niepotrzebnie – bo niech państwo patrzą, co to byli za ludzie! Również w tym roku ukazała się praca dziennikarki Joanny Kuciel-Frydryszak pt. „Chłopki. Opowieść o naszych babkach", ponura prezentacja ciężkiej doli polskich chłopek, wprawdzie już tych XX-wiecznych; to praca o zacięciu raczej feministycznym, ale doskonale wpisująca się w nurt, o którym mowa.

Kto nie czyta historycznej literatury, nie musi się martwić – i on zetknie się z nową „chłopomanią", choćby w artykułach publikowanych masowo w sieci. Celuje w nich „Gazeta Wyborcza", która po wydaniu „Ludowej historii Polski" Leszczyńskiego rozpoczęła regularną wojnę z pamięcią o Rzeczypospolitej, prowadząc ją m.in. piórem Szczepana Twardocha i chętnie wspomagając się autorytetem noblistki Olgi Tokarczuk, snującej wizje o rzekomym polskim kolonializmie na Ukrainie.

Także niezawodny w takich kwestiach Onet rozpisywał się swego czasu o „polskim niewolnictwie", porównując chłopów Rzeczypospolitej do zniewolonych Murzynów w Stanach Zjednoczonych. W feministyczną krytykę polskiego chłopstwa wpisuje się też polski kandydat do Oscara, film „Chłopi" w reżyserii Welchmanów. Animacja skupia się na losie książkowej Jagny, ukazując otaczające ją środowisko chłopskie jako patologicznie wręcz opresyjne.

Tego rodzaju tytuły, na najróżniejszych nośnikach, można byłoby wymieniać jeszcze długo. Nic dziwnego; czynienie z polskiego szlachcica ciemiężyciela, wyjątkowo brutalnego na tle całej Europy, spełnia przecież liczne funkcje polityczne i kulturowe.

SKĄD BIERZE SIĘ TEN TREND?

Polska od kilkunastu lat znajduje się w procesie pogłębiającej się integracji unijnej. Na horyzoncie cały czas majaczy widmo jakiejś formy europejskiego superpaństwa; dyskusja na ten temat nie tyle regularnie wraca, ile jest raczej nieustannie obecna: zaciągnięcie wspólnego długu, utworzenie europejskich sił zbrojnych, rozszerzenie Unii połączone z likwidacją weta – katalog mniej lub bardziej realnych pomysłów jest długi. Część Polaków – cały czas, jak można sądzić, część większa – jakkolwiek popiera obecność Polski w strukturach europejskich, to nie chce pogodzić się z całkowitą utratą suwerenności na rzecz zachodnioeuropejskich ośrodków decyzyjnych, które skutecznie zarządzałyby Unią przekształconą w ściślejszą federację. To polskie przywiązanie do własnego państwa jest w oczach środowisk lewicowych oczywistym problemem, który należy przezwyciężyć. Odbywa się to, jak wiadomo, na najrozmaitsze sposoby.

Historycy i publicyści historyczni są najczęściej zaprzęgani do takiej antysuwerenistycznej roboty na kanwie wydarzeń drugiej wojny światowej. Wprawdzie kolaboracyjne rządy, masowo wydające Żydów w ręce niemieckich ludobójców i w ten sposób aktywnie – a nawet proaktywnie – uczestniczące w Holokauście, istniały w większości państw zajętych przez III Rzeszę, podczas gdy w Polsce – nie; ale mimo to nigdzie indziej chyba literatura oskarżająca własny naród o taką kolaborację nie jest równie silnie rozwinięta jak nad Wisłą.

Weźmy pierwszą z brzegu Holandię, z której na śmierć wywieziono zdecydowaną większość Żydów, choć za ich ukrywanie nie groziła bynajmniej Holendrom kara śmierci. Nie sądzę, by czytelnik znał jakieś książkowe pozycje oskarżające Niderlandy o antysemityzm wyssany z mlekiem matki, powszechne donosicielstwo, upodobanie do szmalcownictwa, nienawiść do obcych… Głośnych prac tego typu nie ma, bo współcześni holenderscy historycy nie rozpisują się na temat czarnych kart własnej historii, a zwłaszcza nie czynią tego w językach używanych w światowej debacie publicznej. Mówiąc krótko, szanują własne państwo, rozumiejąc, że utrzymanie suwerenności, a co za tym idzie – ich własny dobrobyt, zależą również od interpretacji historii. W Polsce jest niestety inaczej; pewna grupa historyków celuje w szkalowaniu własnego kraju i robieniu z ojczyzny – zupełnie fałszywie – matecznika antysemityzmu.

W pewnym sensie to właśnie w te dobrze już wyrobione koleiny wchodzą teraz autorzy piszący o czasach dawniejszych. Nie można Polski zohydzić ze względu na kolonializm, którego po prostu nie było (pominę wspomnianą na początku, kompletnie poronioną próbę interpretowania zajmowania ziem na wschodzie jako przejawu kolonializmu); również zrobienie z przedrozbiorowej Rzeczypospolitej państwa antysemickiego nawet dla dobrego propagandzisty byłoby jednak rzeczą niezmiernie trudną. Znaleziono więc inną grupę, którą można o wiele łatwiej wykorzystać w celu zohydzenia dawnych polskich warstw rządzących – chłopów. Grupę o tyle wdzięczną, że nietworzącą z zasady własnych zabytków piśmienniczych, a zatem doskonale podatną na wtłoczenie w ramy narracyjne przyjęte z góry. Profesor Andrzej Nowak w rozmowie z Krzysztofem Masłoniem opublikowanej w „Do Rzeczy" nr 25/2021 wskazywał, że problem chłopski nadaje się do próby redefinicji polskości o tyle, o ile da się go wykorzystać jako budulec identyfikacji

eprasa.pl 64aebc5aa1

grupowej na nienawiści do wspólnoty, którą chce się zniszczyć.

Wydaje się, że stoi za tym dość proste rozumowanie. Skoro polska szlachta była wobec chłopów tak skrajnie podła, tak nieludzka, że dziwili się jej poczynaniom nawet przybysze z Zachodu, sami przecież znający ze swoich krajów fenomen pańszczyzny, to szlachta polska musiała być po prostu istotowo zła; a była zła dlatego, że była polska – i oczywiście katolicka, a przynajmniej chrześcijańska. Powojenna niemiecka historiografia wykorzystała Holokaust do banalnej operacji: skoro Holokaust się wydarzył, to musiał wynikać z niemieckiej historii; ta historia była naznaczona chrześcijaństwem, dlatego chrześcijaństwo jest wewnętrznie antysemickie i potencjalnie ludobójcze, należy je zatem usunąć, zmarginalizować, roztopić w islamsko-ateistycznym kotle nowoczesności.

Neomarksistowskim i postmodernistycznym elitom udało się za Odrą ten proces skutecznie przeprowadzić; dziś nawet zwykłe machanie na ulicy narodową niemiecką flagą od razu wskazuje na „prawicowe odchylenie". W przypadku Niemców sprawa była prosta, bo i zbrodnia Holokaustu bezmierna – i bezprecedensowa. Z Polską idzie gorzej, oporniej, ale kropla drąży skałę, jak powiada Owidiusz.

METODA

Metoda historyków, publicystów historycznych i pisarzy, którzy oskarżają dawnych Polaków o niespotykane nigdzie w świecie okrucieństwa wobec chłopstwa, jest oparta na topornej manipulacji. Nie aż tak wielkiej oczywiście, by w ogóle nie liczyć się z faktami i dowolnie kreować rzeczywistość; to byłoby zbyt bezczelne. Autentyczne źródła historyczne dostarczają przecież wystarczającego materiału, z którego można utkać długie opowieści o męczarniach polskich chłopów. To samo zresztą zrobili historycy oskarżający Polskę o antysemityzm. Nie trzeba kłamać wprost; wystarczy opisać historię wybiórczo – w przypadku drugiej wojny światowej przedstawić przypadki szmalcownictwa jako wyrażające jakoby powszechnego polskiego ducha.

Podobnie łatwo jest wziąć na warsztat przypadki rażących nadużyć szlachty wobec chłopów, opisać gwałty, zabójstwa, nadmierne obciążenia pańszczyźniane, trudny los kobiety – zgrabny wybór scen i powstają chwytające za serce historie o niezgłębionym ludowym wyzysku. A jeżeli do tego doda się jeszcze opisy tworzone przez najwyższy autorytet polskiej lewicy, czyli obserwatorów z Zachodu, to mamy perfekcyjne przedstawienie „polskiego piekła". To wszystko tym łatwiejsze, że historycy mają dostęp do źródeł z natury rzeczy przerysowanych: publicystyki, która wyostrza problemy; literackich skarg, przedstawiających rzeczywistość w dalece czarniejszych barwach, niż jest naprawdę; spraw kryminalnych, skupiających się na najcięższych i najbardziej rażących uchybieniach w prawie. Zręczny autor, który nie będzie przejmował się całością kontekstu, może na tej kanwie stworzyć prawdziwie upiorne dzieje.

Jak konkretnie pisze się takie książki? Najlepiej ustawić sprawy od samego początku w jednoznacznie czarno-białym świetle. W swojej najnowszej pracy o obrońcach pańszczyzny już na pierwszych stronach Leszczyński cytuje fragment z „Wiadomości Polskich", przydzielając role, które później się już nie zmienią – bezlitosnych oprawców: szlachcie; biernie i powszechnie ciemiężonych: chłopom. Czytamy tam: „Wszyscy między nami, co wyrośli i dojrzeli przy stoliku od kart i na jarmarkach, co się niczego nie uczyli i nic nie czytają, których nawyknienie do zabaw i rozpusty uczyniło niezdolnymi do pracy, ci wszyscy stanęli w gwałtownej opozycji przeciw reformie włościańskiej. A okazała się ich tak przeważna liczba, że zagłuszyli drobny poczet światłych i roztropnych".

Żeby nie być gołosłownym, za chwilę z tych samych „Wiadomości…" wybiera Leszczyński historię szlachcianki Adeli Kłopotowskiej, która miała: 1. sprzedawać swoje poddane (źródło tego nie mówi, ale Leszczyński przekonuje, że „wiadomo dokąd"); 2. „zaćwiczyć" dorosłego chłopa; 3. dwukrotnie kazać oćwiczyć 16-latka, tak że wkrótce umarł; 4. wykupić się od kary. Przytaczając jeszcze kilka innych analogicznych obrazów, historyk sięga po twarde dane; problem w tym, że… z Rosji. Jak podaje, 79 proc. chłopów w pewnym majątku pod Tambowem w głębi Rosji wybatożono przynajmniej raz w życiu, a 24 proc. – przynajmniej dwa razy.

Jak sytuacja na zapadłej ruskiej wsi ma się do Polski? Po co cytować takie zagraniczne, wybiórcze dane? Ano po to, by stwierdzić: „W Królestwie chłopi nie byli poddanymi (inaczej niż na dawnych wschodnich terenach Rzeczypospolitej), ale ich także powszechnie bito". Powszechnie, czyli jak? Skąd te dane? Tego autor nie podaje; czytelnikowi niech zostanie w głowie wysoki odsetek z Rosji połączony z zapewnieniem, że w Polsce „bito powszechnie". I już.

Po takim wstępie Leszczyński zapewnia, że jego książka nie będzie bynajmniej poświęcona „rzeczywistości przemocy i ucisku", a jedynie uzasadnianiu pańszczyzny, ale takie okrutne obrazy były potrzebne, „żeby czytelnicy i czytelniczki znali społeczny kontekst, w którym toczyła się dyskusja o zniesieniu poddaństwa". Łatwo dostrzec metodę Leszczyńskiego: „historyczny kontekst" tak złożonej sprawy jak pańszczyzna zostaje wyjaśniony w kilku specjalnie okrutnych historiach i podlany statystykami z jednego majątku w głębi Rosji.

Kamil Janicki traktuje temat jeszcze bardziej ordynarnie. Już sam tytuł: „Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa" z góry ustawia odbiór całości, a komu mało, wystarczy, by zajrzał w spis treści. Tam: zgroza. Rozdziały zaczynają się następującymi słowami i wyrażeniami: upodlenie, zezwierzęcenie, wyzysk, rozbój, prawo bata, nadzór absolutny, karczma, cena za człowieka, apogeum nędzy, opór…

We wstępie Janicki zadaje sam sobie pytanie, czy chłopi byli niewolnikami, a udzielając twierdzącej odpowiedzi, cytuje… nacechowane emocjonalnie literackie skargi chłopów oraz publicystykę z epoki, dobierając je tak, by dowieść, że szlachta postrzegała chłopów jak zwierzęta. Dowiadujemy się zatem, że chłopów miano „w mniejszym poważaniu niż bydło", uważano ich „za psy", traktowano „jak bestie", uważano „za niewolnika, za psa lichego". Janicki posuwa się nawet do tego, by powołać się na XVIII-wiecznego lekarza, który miał twierdzić, że kości w głowie chłopów przyjmowały kształt pługów i narzędzi rolniczych. „Polski doktor doszedł do tego wniosku jeszcze przed tym, jak zachodnioeuropejscy

eprasa.pl 64aebc5aa1

pseudonaukowcy obwieścili, iż kształty i wielkości czaszek pozwalają wykazywać podrzędność wybranych narodów lub ras ludzkich. Kierował się jednak łudząco podobnym zamysłem" – komentuje autor. W ten sposób, jak widać, nawet ludobójcza ideologia rasizmu zostaje powiązana z rzekomą podłością polskiej szlachty.

PRAWDZIWY KONTEKST

Problem w tym, że to wszystko stwarza obraz podwójnie nieprawdziwy. Po pierwsze, los chłopa był, owszem, ciężki, często – rozpaczliwy; ale taki był los chłopa w całej albo prawie całej Europie. Po drugie, rzeczywisty obraz nie jest jednoznaczny, bo obok chłopów ciemiężonych żyli i tacy, którym powodziło się dobrze lub zgoła znakomicie, a nawet tacy, którzy sami wykorzystywali słabszych od siebie. Przedstawianie położenia „chłopstwa" w ogóle bez uwzględnienia tych dwóch fundamentalnych kontekstów nie jest w istocie pisaniem historii; jest tworzeniem głęboko ideologicznej narracji.

Pańszczyzna, podobnie jak feudalizm jako taki, nie była przecież polskim wynalazkiem. Wyzysk chłopów przez panów miał miejsce w całej Europie. Żeby przekonać się o tym, że w Rzeczypospolitej zachodziły zasadniczo te same zjawiska, co w innych krajach, z pewnymi oczywiście lokalnymi odstępstwami, zależnymi m.in. od kształtu gospodarki i innych elementów, wystarczy przeczytać poważne historyczne prace. Na przykład starszego już historyka Mariana Małowista piszącego o systemie gospodarczym średniowiecznej i wczesnonowożytnej Europy; jego prace dobrze pokazują głęboką, strukturalną zależność położenia „polskiego ludu" od ogólnoeuropejskiego systemu.

Jak radzi prof. Mateusz Wyżga, współczesny historyk i wieloletni sołtys jednej z polskich wsi, można też sięgnąć po badania prowadzone przez historyków z Polskiej Akademii Nauk publikujących w czasopiśmie „Przeszłość Demograficzna Polski"; pokazują one analogiczność polskich i europejskich warunków gospodarczych i – co za tym idzie – życia chłopów.

Gdyby ktoś zechciał, mógłby zresztą napisać ludową historię Polski w duchu dokładnie przeciwnym do Leszczyńskiego. Źródeł pozwalających na przedstawienie Rzeczypospolitej nie jako chłopskiego piekła, ale zgoła raju, bynajmniej nie brakuje. Prowokacja? Oczywiście, ale taka książka byłaby w gruncie rzeczy równie nieprawdziwa, co prace opisujące wyjątkowość „polskiego piekła". Autor pozytywnej historii ludowej opisałby szeroko migracje chłopskie z całej Europy do Polski: osadnictwo rosyjskie i niemieckie; wreszcie dobrze znane osadnictwo olęderskie. Przecież już sam fakt, że tak wielu ludzi szukało poprawy swojego losu w Rzeczypospolitej, pokazuje, że percypowali oferowane im warunki jako lepsze od tego, na co mogli liczyć w swoich krajach. Owszem, jako osadnicy byli traktowani preferencyjnie, ale przecież już to pokazuje, że sytuacja nie była bynajmniej jednolita.

Co więcej, rdzennie polscy chłopi również mogli skutecznie zmieniać miejsce zamieszkania. Pisał o tym wspomniany Mateusz Wyżga w obszernej recenzji pierwszej pracy Leszczyńskiego („W stronę nowej syntezy historii społecznej? Uwagi nad »Ludową historią Polski« Adama Leszczyńskiego", „Kwartalnik Historyczny" 2022, rocznik CXXIX, nr 1). Wyżga podkreślał „wysoką mobilność i zaradność społeczeństwa chłopskiego dostarczającego aktywnych aktorów rynku oraz demograficznego budulca miast"; przypominał, że to chłopi zasilali środowiska uniwersyteckie, kościelne i szlacheckie; że byli poważnie rozwarstwieni – najbogatsi, podnosił, sami aktywnie uczestniczyli w obrocie rynkowym; do obciążeń pańszczyźnianych delegowali pracowników najemnych albo zależnych od siebie członków rodziny. Nie było nigdy jednolitego polskiego chłopa, zawsze najsrożej cierpiącego pod szlacheckim butem. Wyżga przytoczył też krótko wiele barwnych przypadków, w których szlachta traktowała chłopstwo z największą powagą, przestrzegając obowiązującego porządku, a niekiedy nawet stawiając siebie w niewygodnym położeniu, byle tylko nie naruszyć przysługujących chłopom praw.

Autor „pozytywnej" historii polskiego chłopstwa podkreśliłby też, że w Polsce – na co zwracał uwagę we wspomnianym wywiadzie prof. Andrzej Nowak – inaczej niż w wielu innych krajach europejskich, nie dochodziło do wielkich, obejmujących szerokie terytoria buntów chłopskich. To też przecież można interpretować na korzyść Rzeczypospolitej.

JAK PISAĆ O POLSKIEJ WSI?

O dziejach chłopstwa w Polsce trzeba pisać po prostu uczciwie. Nie ukrywać nadużyć, poczynań szlachty niekiedy rzeczywiście wołających o pomstę do nieba; ale nie wolno – o ile tylko chce się uprawiać historię, a nie propagandę – przemilczać kontekstu epoki; nie wolno traktować Polski jako samotnej wyspy zła na rzekomym europejskim morzu wzniosłej cywilizacji. To kompletna bzdura, która służy tylko jednemu: realizacji antypolskich zamierzeń ojkofobicznej elity, która polskość chce zohydzić i zaorać, tak żeby utorować drogę do jej ostatecznego przezwyciężenia – i do roztopienia Polski we wspólnocie europejskiej, zarządzanej przez ośrodki na zachodzie kontynentu. Bo przecież, może powiedzieć jakiś typowy ojkofob, nikt o zdrowych zmysłach nie pozwoli, żeby Polacy rządzili się sami; ich przodkowie albo byli okrutnymi katami, albo bezwolnymi ofiarami; tak czy inaczej – źle i niedojrzale. Potrzeba więc Niemca, Francuza, Belga, Holendra, żeby nami rządzić. W tamtych krajach przecież było lepiej, ba, nigdy nie działo się nic złego. Prawda?

Żarty na bok, sprawa jest przecież poważna i – mówiąc wprost – sama się nie rozwiąże. Książki zohydzające polską szlachtę już zostały wydane; nagłośnione przez wielkie media o zagranicznym kapitale goszczą na półkach polskich domów, są czytane i komentowane; słowem – żyją i tworzą nową, zafałszowaną pamięć historyczną naszej współczesnej wspólnoty narodowej. Skoro problem jest rozpoznany i zdiagnozowany – a taki przecież jest od kilku lat, odkąd o sprawie debatuje się w prawicowych mediach – to najwyższy czas, by historycy, być może z inicjatywy państwa i z jego adekwatnym wsparciem, wzięli się do pracy i przygotowali racjonalną syntezę ludowej historii Polski, która nie ukryje cieni, ale która pokaże również blaski naszych dziejów. Bez tego przegramy kolejną bitwę w wojnie kulturowej. Bitwę, którą z odpowiednim wysiłkiem po prostu można wygrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 64aebc5aa1

– Kim są magnaci? – pyta Tadeusza Kościuszkę (drugi od lewej) jego czarnoskóry ordynans. A Kościuszko odpowiada, że mają dużo ziemi, ale żyją nie z bawełny, tylko z pszenicy. Skoro polski magnat i amerykański plantator niczym się nie różnią, to i polski chłop jest tym samym, co czarny niewolnik FOT. MATERIAŁY PRASOWE

O rzeczach niemożliwych

Piotr Gociek

W filmie „Kos" Pawła Maślony, który wszedł do kin, ścierają się dwie skrajnie sprzeczne tradycje. To próba pogodzenia opowieści o patriotyzmie z pedagogiką wstydu

Kim są magnaci? – pyta Tadeusza Kościuszkę jego czarnoskóry ordynans. Siedzą pospołu przy ogniu, gdzieś w małopolskiej głuszy, w drodze na spotkanie z organizatorami insurekcji. – Mają dużo ziemi… – odpowiada Kościuszko, a potem za bardzo nie wie, jak dalej wyjaśniać.
– A, plantatorzy! – domyśla się Domingo, który chce jeszcze wiedzieć, czym się magnaci różnią od plantatorów. A Kościuszko odpowiada, że żyją nie z bawełny, tylko z pszenicy.

Tadeusz Kościuszko naprawdę miał czarnoskórego ordynansa (zwał się Agrippa Hull), jednak jego przyjaciel z czasów wojny o niepodległość Ameryki nie podążył za nim do Europy. Wszystko, co zarobił, inwestował w ziemię, stając się najbogatszym posiadaczem ziemskim w Stockbridge w stanie Massachusetts. Łatwo więc się domyśleć, że samego faktu posiadania ziemi mister Agrippa za naganny nie uważał. Oczywiście chodzi o coś innego: skoro polski magnat i amerykański plantator niczym się nie różnią, to i polski chłop jest tym samym, co czarny niewolnik.

Wszystko to oznacza, że nie znajdujemy się w przestrzeni historycznej, lecz w ideologicznym konstrukcie wyobrażonym. Nie chce mi się nawet głębiej w rzecz wchodzić, bo rzecz opisywali już ludzie dużo lepiej ode mnie wykształceni i mądrzejsi, w skrócie chodzi o modę na „ludową historię Polski", która ma uzasadniać tezę o polskim kolonializmie i zamiłowaniu do niewolnictwa, a całe zło świata zrzucać na polską szlachtę. Ja jedynie z własnej pamięci wiem – jako kształcony w PRL – że ówcześni inżynierowie dusz bardzo by się z tego przesłania ucieszyli. Opowieść o złej szlachcie dręczącej chłopów, która sama sobie na głowę sprowadziła rozbiory, gdyż genetycznie nie jest zdolna do czegokolwiek konstruktywnego, była jednym z fundamentów polityki historycznej PRL. Brakującym elementem jest dziś druga część hasła, która brzmiała „… a Żydzi rozpijali chłopów". Skoro na salony wraca PRL-owska wersja historii Polski, to chętnie obejrzałbym jakiś film na ten temat. Ale oczywiście nie obejrzę. Ciekawe dlaczego.

Z PRL-OWSKIEGO PODRĘCZNIKA

O polskim „niewolnictwie" film już jednak powstał, nosi tytuł „Kos" i jego reżyserem jest Paweł Maślona. Film

eprasa.pl 64aebc5aa1

wygrał ubiegłoroczny festiwal filmów fabularnych w Gdyni, a dodatkowo dostał też z Paszport „Polityki" za „ukazanie Polski właściwie nieznanej z podręczników historii – ku przestrodze współczesnych". Który to argument zdziwił mnie niepomiernie, bo oznacza, że starzy, doświadczeni towarzysze z „Polityki" nie pamiętają własnej propagandy z czasów PRL. Ona właśnie ukazywała dzieje Polski szlacheckiej, tak jak uczynili to Maślona – reżyser oraz Michał A. Zieliński – scenarzysta.

Mamy więc wiosnę roku 1794, Kościuszko (Jacek Braciak) wraca do Polski, by stanąć na czele powstania. Film otwiera scena jak z westernu: w stepie szerokim łowcy niewolników (pardon, szlachcice polscy) doganiają zbiegłego niewolnika (pardon, chłopa polskiego) i się nad nim znęcają. Powstrzymuje ich Kościuszko, przypominając, że człowiek to nie rzecz, każdemu godność i wolność się należą. Uratowany chłop czmycha. „Naprawdę myślisz, że ci ludzie pójdą za tobą na wojnę?" – pyta wątpiąco Domingo (Jason Mitchell). Kościuszko jest bowiem człowiekiem z misją: marzy mu się powstanie powszechne, w którym obok szlachty i wojska weźmie udział chłopstwo. To prawda, tego właśnie pragnął. Wszystko się więc zgadza. Mniej więcej.

Im dłużej temu „mniej więcej" się przyglądamy, tym większe mamy prawo mieć wątpliwości. Oczywiście film to film, a nie podręcznik historii, ale głowy mebluje skuteczniej niż profesorowie historii na lekcjach. Porównywano film Maślony z dziełami Tarantino („Nienawistną ósemką" oraz „Django"). Moim zdaniem bardziej zadłużony jest u twórców starszych o generację, czyli u mistrzów antywesternu, od Sergia Leone do Sama Packinpaha. To w ich filmach widzieliśmy przenicowany mit Dzikiego Zachodu i niemal samych łotrów w miejsce uśmiechniętych kowbojów, dzielnie cwałujących za Johnem Waynem. Jeśli „Kos" jest easternem, nie westernem, to obala mit Sienkiewiczowski, mit ludzi honoru, szlacheckiej braci wrażliwej na krzywdę, i zastępuje go panświnizmem, w którym każdy szlachcic to okrutnik, sadysta, gwałciciel, złodziej, głupek i oszust. Wyjątkiem jest sam Kościuszko, ale nigdzie nam scenarzysta nie sygnalizuje, że to też szlachcic, „choć ubogi" (mówiąc Sienkiewiczem).

„Kos" to produkcja z gatunku „panna modna", więc musi też okazać się ogólnie słuszny na innych polach. Piękna i szlachetna jest dziewczyna pocztylion, na której cnotę dybią polscy łapacze niewolników (znaczy draby najmowane przez plantatorów, znaczy szlachtę, do chwytania chłopów oraz mordowania wrogów). Pion trzyma wdowa po polskim pułkowniku, pani Giżyńska (Agnieszka Grochowska), dawna przyjaciółka i obiekt miłosnych wzdychań Kościuszki. Ci ze szlachty, którzy nie zajmują się akurat strzelaniem do chłopów lub zakładaniem im pętli na szyję, to gromadka tyleż malownicza, co zabawna, bo nawet broni i zapasów nie umie wyszykować na powstanie, tylko pokłada ufność w Najświętszej Panience. Tak, film jest przestrzenią wyobrażoną, ale bywa ta fikcja Maślony, ten eastern czy antyeastern, zadziwiająco jednostronny.

Bywa, ale nie zawsze. Mamy na ekranie złowrogą figurę rosyjskiego rotmistrza Iwana Dunina (Robert Więckiewicz), który przemierza okolicę na czele swego oddziału, poszukując znienawidzonego przez moskali Kościuszki. Opowieść tyleż jest warta, ile porządnie nakreślony czarny charakter. Dunin symbolizuje zaborczą, okrutną Rosję, która musi za warchołów Polaków czynić porządki. Tu dwuznaczności nie ma, Dunin to bydlę, choć w niektórych scenach (zwłaszcza w drugiej połowie filmu) zamienia się w karykaturę. I można się zastanawiać, czy wiarygodniejszy nie byli Mickiewiczowscy Płut i Rykow z „Pana Tadeusza" albo diabolicznie przebiegli carscy oficerowie ze „Szwadronu" Juliusza Machulskiego. Ale to akurat nie przeszkadza, Polacy mają pełne prawo widzieć Rosjanina takim, jakim jest rtm. Dunin.

DWA SPRZECZNE PORZĄDKI

„Kos" jest filmem niemożliwym, jak hipogryf, ale istnieje. Filmem niemożliwym, bo próbuje łączyć dwa sprzeczne porządki. Pierwszy to tradycja patriotyczna i niepodległościowa – mamy tu ludzkiego i szlachetnego bohatera walki o wolność (narodu i ludu), którym jest Kościuszko; mamy jasno zdefiniowanego wroga, z którym paktować nie ma sensu, trzeba bić Rosjan w obronie życia, kraju i honoru. Drugi to tradycja szyderki, panświnizmu, pedagogiki wstydu i doprowadzonego do przesady samobiczowania, jakobińskie wręcz przekonanie, że szlachcic na zagrodzie to taki sam okupant jak rosyjski rotmistrz i wszystko, co się Rzeczypospolitej przydarzyło, to jego wyłączna wina. A to znaczy, że nie tylko nie ma co się bić w jego obronie, lecz także należałoby rozważyć francuskie metody „ostatecznego rozwiązania kwestii szlacheckiej", to znaczy szubienice i gilotyny.

REŻ. PAWEŁ MAŚLONA
„KOS"
POLSKA 2023
wyst. Jacek Braciak, Agnieszka Grochowska, Jason Mitchell, Robert Więckiewicz

Bez wątpienia bowiem tacy polscy panowie jak w „Kosie" nie są warci ani insurekcji, ani obrony, ani w ogóle niczego. Tym zaś, którzy zawołają: „Tak, ale przecież Kościuszko był zafascynowany ideami rewolucji francuskiej", warto przypomnieć: tak, ale był Polakiem, polskim patriotą, walczącym, by wskrzesić wolną Polskę. A obejmując zwierzchnictwo insurekcji, przysięgał na krakowskim rynku „w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu", a kończył słowami: „Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego".

Świetne są w „Kosie" zdjęcia Piotra Sobocińskiego, w ogóle techniczny i estetyczny poziom produkcji wreszcie jest taki, jaki powinien być, nie powstydziliby się tego filmu – od strony realizacyjnej – Brytyjczycy, Francuzi czy Hiszpanie. Czy aż tak to zręcznie opowiedziana historia, jak twierdzi większość recenzentów? Według mnie nie, bo kiedy zorientujemy się (dość szybko), jakiego rodzaju morał mamy z „Kosa" wynieść, to okaże się dość nużąca, tak jak nużące były wywody o słuszności hasła „proletariusze wszystkich krajów łączcie się". Nie mam kłopotu z ironią, popkulturowymi zabawami i humorem (są w „Kosie" sceny przezabawne), martwi mnie za to taka refleksja: gdyby rzeczywiście Rzeczpospolita, jej prawa, zwyczaje, codzienność i jej szlachta były tylko takie, jak w filmie Maślony, to nigdy by ta kraina nie zaistniała. Nigdy nie wydałaby Tadeusza Kościuszki. I nigdy sam Kościuszko nie chciałby jej bronić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Utracony monopol

Warszawa, 1982 r. Kiosk Ruchu przy ul. Ordynackiej FOT. TOMEK SIKORA/FORUM

Grzegorz Majchrzak

Czystki polityczne w mediach nazywane „weryfikacją" po 13 grudnia 1981 r. przywróciły w nich niemal całkowity monopol PRL-owskich władz

W lipcu i sierpniu 1980 r., kiedy przez Polskę przetoczyła się fala strajków, media (na czele z prasą) realizowały wytyczne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dziennikarze nie relacjonowali zatem – jak byłoby dzisiaj – na żywo wydarzeń w Stoczni Gdańskiej i innych zakładach Wybrzeża, a robotnicze protesty długo starano się przemilczeć. Kiedy z kolei okazało się to niemożliwe, owszem, mówiono, ale nie o strajkach, lecz o „przerwach w pracy", starając się umniejszyć ich znaczenie.

Powstanie 17 września Solidarności poważnie naruszyło monopol informacyjny PRL-owskich władz. Związek dysponował własną prasą, na czele z ogólnopolskim, podlegającym cenzurze „Tygodnikiem Solidarność" (wydawanym od kwietnia 1981 r.). Walczył również o dostęp do Polskiego Radia oraz Telewizji Polskiej (z dużo już gorszym – szczególnie w przypadku TVP – skutkiem). Tworzył też zalążki własnej radiofonii i telewizji.

W wielu redakcjach prasowych – nawet tych najwierniejszych partii – część dziennikarzy wypowiadała posłuszeństwo (np. „Gazeta Krakowska" pod redakcją Macieja Szumowskiego). W sporządzonym przy Rakowieckiej w październiku 1981 r. wykazie dziennikarzy pracy centralnej i terenowej „o postawach negatywnych" znalazło się nawet sześcioro zatrudnionych w „Trybunie Ludu", czyli organie KC PZPR. Niektórzy z pracowników mediów występowali publicznie przeciwko władzy, np. w listopadzie 1980 r. ponad 40 dziennikarzy PR i TVP niemal jednogłośnie przyjęło rezolucję, w której skrytykowali oni model stosunków między dysponentem politycznym (PZPR) a nadawcą (dziennikarzem) oraz blokadę informacyjną czy „niepełne przedstawianie faktów".

„PRZYWRACANIE NORMALNOŚCI"

Kres tej chwilowej liberalizacji mediów położyło wprowadzenie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego. Oznaczał on m.in. zawieszenie wydawania wszystkich tytułów prasowych oraz programów radia i telewizji, z wyjątkiem dwóch gazet centralnych („Trybuny Ludu" i „Żołnierza Wolności"), 16 dzienników partyjnych w województwach oraz Programu I Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. Te dwie ostatnie instytucje zmilitaryzowano – budynki rozgłośni zajęło wojsko, a rządy w nich w znacznym stopniu przejęli komisarze wojskowi. Do pracy w czynnych redakcjach dopuszczono wytypowanych wcześniej, „zaufanych" dziennikarzy, większość (w niektórych redakcjach nawet 80–100 proc.) urlopowano. Ponad 100 pracowników mediów internowano.

Władze przystąpiły do weryfikacji jeszcze w grudniu – poddano jej dziennikarzy

eprasa.pl 64aebc5aa1

prasy, radia i telewizji, a także pracowników administracji, wydawnictw, drukarń, kolportażu i techniki PR i TVP. Według oficjalnych danych przeprowadzono ponad 10 tys. rozmów, w wyniku których negatywnie zweryfikowano ponad 10 proc. środowiska dziennikarskiego. Przy czym ten odsetek w prasie był zdecydowanie wyższy niż w radiu i telewizji, gdzie wynosił ok. 5,5 proc. Również w niektórych ośrodkach był on znacznie wyższy, np. w połączonych redakcjach trzech trójmiejskich dzienników („Głosu Wybrzeża", „Dziennika Bałtyckiego" i „Wieczoru Wybrzeża") z pracy wyrzucono 97 osób, czyli co trzecią. Według danych opozycji ludzi nie tylko zwalniano z pracy, lecz także objęto (kolejne 10 proc.) innymi represjami, np. przesunięciem na inne stanowisko, zdegradowaniem czy wysłaniem na emeryturę.

Z funkcji odwołano 60 redaktorów naczelnych (m.in. Szumowskiego, Juliana Bartosza z „Gazety Robotniczej", Annę Bratkowską z „Kulis" czy Wacława Sankowskiego z „Wiadomości Elbląskich"), 78 zastępców redaktorów naczelnych, a także 57 sekretarzy redakcji. Rozwiązano 21 redakcji (zlikwidowano m.in. takie gazety i czasopisma jak: tygodnik „Kultura", „Trybuna Mazowiecka" czy „Gazeta Budowlanych"). Ponadto zawieszono, a – z dniem 20 marca 1982 r. – rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, tworząc w jego miejsce nową, ściśle podporządkowaną PZPR organizację – Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL.

ZAŁOŻENIA CZYSTEK

Zasady weryfikacji zostały przygotowane najpóźniej w pierwszych dniach stanu wojennego. Ustalono, że mają ją przeprowadzić zespoły powołane przez: Centralny Sztab Informacji i Propagandy (m.in. w prasie centralnej, Polskiej Agencji Prasowej czy Komitecie do spraw Radia i Telewizji), wojewódzkie sztaby informacji i propagandy, Centralny Komitet Stronnictwa Demokratycznego oraz Naczelny Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (w przypadku dziennikarzy prasy SD i ZSL oraz pracowników wydawnictw tych partii). Jej celem miało być „uzyskanie jednoznacznego poglądu" o stanowisku dziennikarzy i innych pracowników prasy, agencji, radia i telewizji w kwestiach: kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym kraju, kierowniczej roli PZPR, SD i ZSL w środkach masowego przekazu, działalności SDP w latach 1980–1981, działalności Solidarności oraz Komitetu Obrony Robotników, Konfederacji Polski Niepodległej i innych „ugrupowań antysocjalistycznych", a także „podstawowych pryncypiów polityki zagranicznej PRL".

Wyznaczono również precyzyjnie skład komisji weryfikacyjnych. I tak np. w przypadku prasy centralnej i agencji prasowych mieli to być: przedstawiciele Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, Komitetu Warszawskiego PZPR, Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, MSW, Zarządu Głównego RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk. Była to wielka operacja – pracowników mediów weryfikowało co najmniej kilkaset osób, a niewykluczone, że najprawdopodobniej ponad tysiąc. I tak np. w Trójmieście byli to: Andrzej Surowiec (KW PZPR w Gdańsku), Krzysztof Zwoliński (KC PZPR), Andrzej Bujnicki (Biuro Prasowe Rządu URM), Stanisław Legucki (Okręgowy Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk), Franciszek Czerski (komisarz prasowy) i Jerzy Zamorowski (funkcjonariusz kontrwywiadu w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku).

W trakcie weryfikacji miano uwzględniać „dotychczas posiadane informacje", zachowanie się pracowników po ogłoszeniu stanu wojennego oraz wyniki rozmów, które zamierzano w pierwszej kolejności przeprowadzić z członkami kierownictwa redakcji i instytucji oraz z osobami, których postawa wzbudzała wątpliwości. Przyjęto, że w mediach mogą pracować, jako dziennikarze i osoby zajmujące kierownicze stanowiska w administracji, technice, obsłudze i kolportażu „tylko ludzie akceptujący program i politykę partii, nienależący do związków i organizacji występujących z opozycyjnym programem politycznym, prezentujący zdecydowane stanowisko wobec przeciwników politycznych i przejawów anarchii".

Wspomniane rozmowy miały bardzo zróżnicowany przebieg i atmosferę, która zależała zarówno od postawy weryfikujących, jak i samych weryfikowanych. Czasami zresztą przewrotnej. I tak np. – jak wspominał Jan Jakubowski – publicysta „Głosu Wybrzeża" Edmund Pietrzak „próbował przenieść poruszane problemy na grunt teoretyczny, podeprzeć się klasykami marksizmu, ale komisja okazała się niewrażliwa na taką argumentację, żądała odpowiedzi binarnych: tak – nie".

Linię obrony weryfikowanych i ich postawę w tzw. solidarnościowym karnawale tak podsumowywał Wydział Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku: „W wielu rozmowach padały z gruntu fałszywe o podłożu asekuranckim stwierdzenia o realizowaniu przez środowisko linii porozumienia narodowego wynikającej z uchwał IX Zjazdu PZPR i kierunku przyjętego przez wojewódzką organizację partyjną […]. W wyniku prowadzonych rozmów można stwierdzić, iż miniony okres doprowadził w wielu przypadkach do dużego rozchwiania ideowego dziennikarzy". Pomijając partyjną nowomowę, ocena ta wydaje się bardzo trafna, dobrze opisująca postawę dziennikarzy nie tylko gdańskich, zarówno przed 13 grudnia 1981 r., jak i po nim. Czasem te „pogawędki" trwały zaledwie kilka minut, zdarzało się jednak również, że były zdecydowanie dłuższe i trwały do dwóch godzin. Oczywiście przy okazji pojawił się strach o swoją przyszłość. Jak relacjonował np. Jakubowski: „Ci, co przeszli weryfikację, bali się do mnie podchodzić"…

RÓŻNE TWARZE WERYFIKACJI

Weryfikacja przebiegała w sposób zróżnicowany. O casusie gdańskim była już mowa. Podobnie było też w przypadku „Wieczoru Wrocławia", gdzie negatywnie zweryfikowano 30 proc. dziennikarzy. Sporych czystek dokonano również w prasie Stronnictwa Demokratycznego – w „Kurierze Polskim" zwolniono 14 z 50 członków zespołu redakcyjnego, a zawieszono kolejnych siedmiu, z kolei w „Tygodniku Demokratycznym" wyrzucono dziewięciu spośród 21 zatrudnionych. Ponadto pozytywnie zostali zweryfikowani wszyscy dziennikarze z województw jeleniogórskiego czy sieradzkiego.

Najwięcej pracy mieli weryfikatorzy w Warszawie, gdzie pracowało ok. dwóch trzecich ogółu dziennikarzy krajowych. Ogółem do 15 lutego 1982 r. w stolicy negatywnie zweryfikowano ok. 300 dziennikarzy, co stanowiło ok. 5 proc. całego warszawskiego środowiska.

eprasa.pl 64aebc5aa1

Z kolei w województwie łódzkim zwolniono 23 osoby spośród 147 zatrudnionych w RSW „Prasa-Książka-Ruch", w województwie piotrkowskim – cztery, w skierniewickim – sześć (ponadto odwołanego redaktora naczelnego „Głosu Chemitexu" Grzegorza Zdziecha zwolniła dyrekcja tego zakładu), a trzyosobowy zespół „Życia Żyrardowa" skierowano na praktyki do Łodzi. W Olsztynie zwolniono siedmiu dziennikarzy prasowych, w Ciechanowie – dwóch z 12, w województwie rzeszowskim – 33 z 420, w Poznaniu – 13 z 40 oraz odwołano ze stanowiska jednego zastępcę redaktora naczelnego, pozostawiając go na „etacie niedziennikarskim". Na Lubelszczyźnie wznowienie wydawania „Sztandaru Ludu" poprzedziło pięć decyzji kadrowych, z „Kuriera Lubelskiego" odeszło sześciu pracowników, a z redakcji „Kameny" usunięto jednego dziennikarza, a kolejnych dwóch z „Tygodnika Chełmskiego".

CASUS „POLITYKI"

Czasem klasyczna weryfikacja okazywała się zresztą zbędna. Tak było np. w przypadku „Polityki", której redaktorem naczelnym był wicepremier Mieczysław F. Rakowski. 29 grudnia 1981 r. spotkał się on z kolegium tego tygodnika. Spotkanie miało burzliwy przebieg, a część zespołu w proteście przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego postanowiła odejść z pracy. Według niepełnych danych Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR z 22 stycznia 1982 r. miało to być sześć osób, z kolei według Macieja Iłowieckiego – 13. Smaczkiem w tej kwestii jest półprywatny list rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana do Lesława Tokarskiego, kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR z 1 stycznia 1982 r. Dotyczył on weryfikacji, a właściwie niepoddawania jej trzech kolegów Urbana z okresu pracy w tygodniku „Polityka" (Krzysztofa Teodora Toeplitza, Daniela Passenta i Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego). W przypadku pierwszych dwóch chodziło nie tylko o teksty sygnowane ich nazwiskiem skierowane przeciwko Solidarności, lecz także o utajoną współpracę z władzami (opracowania na ich potrzeby, anonimowe teksty przeciwko związkowi). Nieco inny był przypadek Wróblewskiego – tu rzecznik prasowy rządu zastosował zasadę „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem". Nie przeszkadzało mu nawet to, że dziennikarz ten opowiedział się przeciwko stanowi wojennemu. Wystarczyło, że w tzw. solidarnościowym karnawale – jak pisał Urban – „raczej grał po naszej stronie".

Do autoweryfikacji doszło również w tygodniku „Kultura", gdzie dziewięciu członków Podstawowej Organizacji Partyjnej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej złożyło legitymację partyjną (nie oddał jej jedynie redaktor naczelny). Nic zatem dziwnego, że pismo zlikwidowano, by je następnie wznowić, ale już jako miesięcznik z nową, „oczyszczoną" redakcją.

WERYFIKACJA POD LUPĄ SB

Weryfikacja odbywała się pod czujnym okiem Służby Bezpieczeństwa, zresztą w znacznej mierze na podstawie danych zebranych przez jej funkcjonariuszy, którzy – o czym była mowa – zasiadali również w komisjach przeprowadzających czystki polityczne w mediach. W „Życiu Warszawy" zweryfikowano negatywnie 19 osób. W ocenie esbeków znalazły się wśród nich „osoby, które w okresie posierpniowym były najbardziej płodne, jeżeli chodzi o ilość i jakość materiałów, który był zamieszczany na łamach tego dziennika". W efekcie weryfikacja w tej redakcji była odbierana „przez znaczną część dziennikarzy redakcyjnych jako atak na gazetę, która uważała się i uważa za niezależną i będącą wyrazicielem interesów i poglądów inteligencji i grup »mieszczańskich stolicy«, stojącą na bazie »porozumienia narodowego«".

Szczególnie krytycznie odebrano tzw. drugi proces weryfikacyjny. W jego wyniku zwolniono czterech dziennikarzy, którzy „w opinii zespołu redakcyjnego byli uważani za najzdolniejsze pióra, a jednocześnie reprezentowali nurt odnowy i byli inicjatorami zmian w gazecie po sierpniu 1980 r.". Co ciekawe, trzech z nich (Jacek Poprzeczko, Wojciech Markiewicz i Leszek Będkowski) otrzymało propozycję pracy w... „Polityce". Przyjęli ją pierwsi dwaj. Jak twierdził Będkowski, podobne oferty otrzymało znacznie więcej dziennikarzy „Życia Warszawy".

Zdaniem dziennikarzy weryfikacja w ich piśmie została wykorzystana przez Komitet Warszawski PZPR „do załatwienia swoich osobistych porachunków z redakcją, która niejednokrotnie w przeszłości nie szczędziła krytycznych uwag pod adresem KW". Szczególnie duży rezonans wywołał przypadek Jana Rurańskiego, byłego I sekretarza redakcji, którego nie tylko negatywnie zweryfikowano (jako jedyny spośród zwalnianych otrzymał oficjalne wymówienie), lecz także decyzją Dzielnicowej Komisji Kontroli Partyjnej został wydalony z PZPR. W jego obronie stanęła – obok niektórych kolegów z redakcji – również POP PZPR w „Życiu Warszawy".

PRZYWRÓCONY MONOPOL

Czystki polityczne w mediach nazywane weryfikacją przywróciły niemal całkowity monopol PRL-owskich władz w nich. Były od niego oczywiście pewne wyjątki, np. „Tygodnik Powszechny" wznowiony po kilku miesiącach zawieszenia. Od pierwszych dnia stanu wojennego zaczęła ukazywać się również podziemna prasa, np. z „Dnia na Dzień" (od 14/15 grudnia) we Wrocławiu, zawierający głównie komunikaty Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność" Dolny Śląsk czy „Wiadomości Dnia" w Warszawie (od 15 grudnia). Ponadto po 13 grudnia 1981 r. pojawiło się nowe, nieznane wcześniej zjawisko – działalność wydawnicza internowanych, która polegała na wydawaniu pisanych odręcznie lub powielanych przy wykorzystaniu prymitywnych technik gazetek, a także własnej poczty. Tylko w jednym „ośrodku odosobnienia" w Warszawie – Białołęce – ukazało się siedem różnych tytułów, a pierwszy z nich „AS" – jego nazwa nawiązywała do działającej w „karnawale" Agencji Prasowej „Solidarność" – już 17 grudnia.

Mimo że z czasem (w kwietniu 1982 r.) narodził się również polski fenomen – działająca najpierw w Warszawie (do 1989 r.), a później również w kilkudziesięciu innych ośrodkach podziemna radiofonia – to de facto solidarnościowe media nie były w stanie walczyć z PRL-owską propagandą, tak jak przed 13 grudnia 1981 r., kiedy to związek dysponował m.in. dwoma „konkurencyjnymi" agencjami prasowymi, ok. 3,2 tys. własnymi (niepodlegających cenzurze, dzięki zapisowi „do użytku wewnętrznego" pismami) czy ok. 160 wydawnictwami…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 64aebc5aa1

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Państwo NKWD

W ocenie naszej niedawnej przeszłości, tej po 1944 r., nie można pominąć tego, że Polska Ludowa została zbudowana na fundamencie sowieckich sił bezpieczeństwa, w tym NKWD, NKGB i GRU. Ich kontynuacją był m.in. KGB, rozpanoszony w Polsce również po „zmianach" 1989 r.

Zaczęło się jednak wcześniej. Działające w II RP organizacje komunistyczne (nie tylko ściśle polityczne, czyli Komunistyczna Partia Polski) od początku były pod ścisłą kontrolą sowiecką, powstawały bowiem z inspiracji Kraju Rad. Gdy w 1938 r. na polecenie samego Stalina KPP została rozwiązana, a większość jej kadr unicestwiona, wydawało się, że czerwona zaraza w Polsce znacznie osłabnie.

Tak było, ale tylko przejściowo. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. Stalin nakazał odtwarzanie swej sformalizowanej agentury, która rozpoczęła działalność jako „Polska" Partia Robotnicza. Początkowo nawet wśród zagorzałych komunistów rozgorzał zajadły spór o… nazwę. Zacietrzewionym towarzyszom przeszkadzało określenie „Polska", bo to brzmiało zbyt nacjonalistycznie! Ale ważniejsze było to, że Komintern, według Gomułki, „nowo powołanej partii nadał niejako dwa oblicza, jawne i tajne". Tajne miały pozostać zwierzchnictwo sowieckich służb i praca na ich rzecz. Szefem wywiadu został Teodor Duracz, wysoki funkcjonariusz wywiadu sowieckiego, następnie sowiecki major Ignacy Loga (po wojnie: Loga-Sowiński). Szefem „Wydziału Specjalnego" przy KC PPR był „tajemniczy" Czesław Skoniecki (podlegał tylko pod Komintern – miarą jego dyspozycyjności może być to, że wydał na śmierć rodzonego brata!). Szefem ekspozytury NKWD był Józef Małecki (podlegał pod komisarza bezpieczeństwa ZSRS, gen. Gieorgija S. Żukowa). Wywiad partyjny PPR (NKWD) miał swe wtyczki m.in. w sztabach Obszarów/Okręgów AK oraz w KG AK.

Z zachowanych dokumentów własnych PPR i GL-AL wynika, że Sowieci mieli swych ludzi nawet przy komunistycznych bandach leśnych! Wszędzie trzeba było przecież pilnować „interesów specjalnych". Po 1944 r. nasycenie PPR-PZPR oraz wojska i służb agenturą sowiecką było czymś zupełnie naturalnym. Polska Ludowa była państwem wasalnym, nie ma więc się czemu dziwić. Ale co z tym zrobiono po 1989 r.? Czy nastąpiło oczyszczenie? Pozornie tak, faktycznie nie. Do dziś komunistyczna agentura ma się dobrze, siedzi (w postaci dzieci i wnuków) praktycznie wszędzie.

Miarą naszego (?) upadku jest to, że uznaliśmy nawet sowieckich funków z okresu okupacji za kombatańców i zachowaliśmy ich przywileje. Żaden rząd po 1989 r. nie chciał/nie śmiał zmienić tego stanu rzeczy. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Konfederacja warszawska

Chociaż za czasów Zygmunta Augusta polscy protestanci cieszyli się swobodą wyznania i nikt nie ograniczał sprawowania przez nich urzędów, to obawiano się jednak zmiany sytuacji. Statusu protestantów nie regulowały bowiem żadne przepisy prawne, a król był bezpotomny i coraz bardziej zapadał na zdrowiu.

W tej sytuacji w kwietniu 1570 r. zawarto porozumienie w Sandomierzu. Każde z wyznań protestanckich (luteranie, kalwini, bracia czescy) uznało pozostałe i zobowiązano się nie nawracać wiernych pozostałych Kościołów. Wspólne synody miały debatować nad sprawami szkolnictwa i opieki nad ubogimi oraz rozstrzygać kwestie sporne. Zobowiązano się też do ścisłej współpracy w sprawach tolerancji w Polsce, chociaż z porozumienia wykluczono arian. Było to porozumienie będące ewenementem w ogarniętej wojnami religijnymi Europie.

Inna sprawa, że polscy protestanci działali w przymusowej sytuacji. Dynastia Jagiellonów miała wygasnąć i Rzeczpospolitą czekała wolna elekcja. Przyszłość była niewiadomą, a wciąż nie pojawiły się regulacje prawne gwarantujące przywileje i swobodę kultu dla innowierców.

Gdy faktycznie dwa lata później Zygmunt August zmarł, w kraju zapanowało bezkrólewie. W tej sytuacji 28 stycznia 1573 r., na Sejmie w Warszawie, podjęto uchwałę o swobodzie wyznania na obszarze Rzeczypospolitej. Tak zwana konfederacja warszawska gwarantowała wieczny pokój pomiędzy protestantami i katolikami, zabraniając jednocześnie władzom świeckim wspomagania kleru w prześladowaniach religijnych. Prawosławni już wcześniej mieli zagwarantowane poszanowanie swoich praw, a Żydów czy mahometan nikt nie zamierzał siłą nawracać. Chociaż senatorowie duchowni złożyli oficjalny protest (akt konfederacji podpisał tylko biskup krakowski, Franciszek Krasiński), to jednak praktycznie postanowienia weszły w życie. Był to największy sukces polskiej tolerancji w długich dziejach naszego kraju.

Czegoś podobnego Europa jeszcze nie widziała i w krótkim czasie nasz kraj został okrzyknięty azylem dla heretyków. W efekcie, gdy przed rozpoczęciem elekcji jeden z francuskich posłów zapytał podskarbiego koronnego, Hieronima Bużeńskiego, czy Polacy nie obawiają się kandydatury Henryka Walezego, jednego z organizatorów krwawej nocy św. Bartłomieja we Francji, usłyszał wyjątkowo szczerą odpowiedź. Polski magnat (kalwin z wyznania) odparł, że to raczej król powinien bać się swoich nowych poddanych. Było w tym dużo racji, gdyż ustrój Rzeczypospolitej dawał protestantom znacznie większe gwarancje bezpieczeństwa niż wszystkie obietnice i zobowiązania królewskie razem wzięte… ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

Witold Repetowicz

Klucze do

Morze Czerwone oraz znajdująca się po drugiej stronie Wrót Łez Zatoka Adeńska to od czasów starożytnych jeden z najważniejszych akwenów na świecie. Na obu jego brzegach rozwijały się wielkie cywilizacje, czerpiąc zyski z morskiego handlu. Dziś to jedno z najgorętszych geopolitycznie miejsc na świecie, gdzie roi się od baz wojennych, piratów i konfliktów

Po wybuchu wojny Izraela z Hamasem Iran, jako arcywróg Państwa Żydowskiego, uaktywnił swoich sojuszników w regionie. Jednym z nich jest ugrupowanie Hutich, które w 2015 r. zdołało opanować północną część Jemenu. Tamtejsza wojna domowa, choć doprowadziła do jednej z najstraszliwszych katastrof humanitarnych w regionie znanym w starożytności jako, o ironio, Arabia Felicita (Arabia Szczęśliwa), to została zapomniana przez światową opinię publiczną, gdy przyćmiły ją inne wydarzenia, w tym wojna na Ukrainie. Ale nieszczęścia lubią o sobie przypominać.

Huti zrobili to dzięki uzyskanemu przy wsparciu Iranu arsenałowi dronów i rakiet, w tym manewrujących i dalekiego zasięgu. Strategiczne położenie Jemenu nad Morzem Czerwonym, Bab al-Mandab (Wrotami Łez) i Zatoką Adeńską daje im możność rażenia statków płynących tą drogą. A przechodzi tędy 12 proc. światowego handlu i 30 proc. ruchu kontenerowców. Zablokowanie tego szlaku w tym miejscu oznacza bezużyteczność Kanału Sueskiego i konieczność okrążania Afryki w morskim ruchu z Oceanu Indyjskiego do Europy.

Wpływa to szczególnie na ceny energii, bo przez Wrota Łez przechodzi 12 proc. światowego handlu ropą transportowaną tankowcami oraz 8 proc. LNG. Ocenia się, że roczna wartość handlu przechodzącego tą drogą wynosi 700–1000 mld dol. Tymczasem roczne PKB Jemenu to ledwie 21 mld dol., a jeszcze biedniejszej Somalii, z której pochodzą piraci grasujący w Zatoce Adeńskiej, 7 mld dol.

Dawno, dawno temu, po obu stronach Bab al-Mandab, rozciągało się potężne królestwo Aksum, zawdzięczające swoje bogactwo szlakowi handlowemu prowadzącemu z Indii do Imperium Rzymskiego. Miało ono zostać założone przez Menelika I, syna Makedy, władczyni królestwa Saby, oraz biblijnego króla Salomona. W połowie IV w. tamtejszy władca o imieniu Ezana przyjął chrześcijaństwo. Pojawienie się islamu w VII w. skomplikowało sytuację Aksum i ostatecznie doprowadziło do jego upadku. Chrześcijanie zostali wyparci z Półwyspu Arabskiego, a Etiopczycy na wiele stuleci stracili kontakt z resztą świata chrześcijańskiego. Na krótko zostali też odepchnięci od morza, ale ostatecznie odzyskali kontrolę nad dzisiejszymi terenami Erytrei i wciąż ważnym portem w Massawie nad Morzem Czerwonym. Południowe wybrzeże Zatoki Adeńskiej zostało jednak opanowane przez muzułmanów, którzy stworzyli tam sułtanat Adelu, nieustannie zagrażający chrześcijańskiemu sąsiadowi. W połowie XVI w. pojawili się

eprasa.pl 64aebc5aa1

Wrót Łez

Aktywność bojówek Huti zagraża bezpieczeństwu statków handlowych

FOT. HOUTHI MOVEMENT/GETTY IMAGES

na dodatek Turcy, którzy zajęli Massawę, a przejściowo również Jemen, z którego ostatecznie jednak zostali wyparci. Etiopia jednak została odepchnięta od morza, a Turcy zyskali wpływy również po południowej stronie Zatoki Adeńskiej, czyli na terenach dzisiejszego Somalilandu.

KOLONIZACJA AFRYKI

Wiek XIX przyniósł wiele zmian. Imperium osmańskie stało się kolosem na glinianych nogach, a europejskie potęgi zaczęły kolonizować Afrykę. Nie ominęło to również Rogu Afryki oraz Jemenu. Panowanie nad tymi terenami stało się jeszcze bardziej atrakcyjne, gdy w 1869 r. otwarto Kanał Sueski, umożliwiający przedostanie się z Morza Czerwonego na Śródziemne, a zatem skracający szlak handlowy z Indii do Europy. Brytyjczycy, którzy w 1882 r. przejęli kontrolę nad Kanałem Sueskim (utrzymali ją do 1956 r.), już wcześniej opanowali Jemen Południowy, a następnie dzisiejszy Somaliland, co dało im kontrolę nad oboma brzegami Zatoki Adeńskiej. Południową część Somalii, z ważnym portem w Mogadiszu, w 1885 r. podporządkowały sobie Włochy, które pięć lat później zajęły też Erytreę, wraz z portem Massawa. Krytyczne terytorium dające od południa kontrolę nad Wrotami Łez zajęli jednak w 1894 r. Francuzi, nazywając je Somali Francuskim (dzisiejsze Dżibuti). Cesarstwo Etiopii w tych warunkach nie odzyskało dostępu do morza, ale nie było do końca poszkodowane, gdyż za rządów Menelika II podbiło somalijski Ogaden.

Nieco później ten wybitny władca pokonał Włochów w słynnej bitwie pod Aduą w 1896 r. Etiopia jednak nie rezygnowała z odzyskania dostępu do morza i paradoksalnie okazję do tego dały jej dekolonizacja oraz to, że ze względu na okupację włoską w latach 1935–1941 przystąpiła do drugiej wojny światowej po stronie aliantów. W nagrodę w 1952 r., wbrew postulatom erytrejskich środowisk niepodległościowych, otrzymała Erytreę i Massawa znów stała się jej portem. Tyle że wkrótce potem rozpoczęła się erytrejska wojna o niepodległość, która w 1993 r. zakończyła się uzyskaniem niepodległości przez Erytreę i ponownym odepchnięciem Etiopii od morza. Wprawdzie początkowo uzgodniono, że Etiopia będzie korzystać z portu w Massawie, ale wrogość między przywódcami obu krajów doprowadziła do krwawej wojny w latach 1998–2000 (70 tys. ofiar) i zerwania wszelkich kontaktów.

To nie był jednak jedyny problem Etiopii. W 1960 r., w wyniku dekolonizacji, doszło do zjednoczenia Somali Brytyjskiego i Włoskiego w Republikę Somalii, która, pod dyktatorskimi rządami Siada Barre, postanowiła odzyskać podbity przez Menelika II Ogaden. W 1977 r. Somalia zaatakowała Etiopię, jednakże została pokonana. Jednym ze skutków tej wojny była jednak utrata wpływów w Somalii przez ZSRS, który w tym konflikcie poparł marksistowski reżim płk. Mengystu Hajle Marjama, rządzący wtedy w Etiopii. ZSRS był wówczas zainteresowany portami somalijskimi, ale został wyeliminowany z gry (przynajmniej po tej stronie Zatoki Adeńskiej, gdyż po drugiej stronie istniał komunistyczny Jemen Południowy). Etiopia miała jednak problem z Ogadenem aż do 2018 r., gdyż od 1994 r. wojnę partyzancką prowadził tam Narodowy Front Wyzwolenia Ogadenu. Wcześniej jednak, w 1991 r., zaszły w regionie kolejne potężne zmiany. Z jednej strony doszło do zjednoczenia Jemenu Południowego z Północnym pod dominacją tego drugiego. ZSRS się

eprasa.pl 64aebc5aa1

rozpadł, a jego sukcesorka Rosja utraciła wszelkie wpływy w regionie. W Etiopii upadł komunistyczny reżim, a w Somalii przepędzono Sijada Barre i wybuchła tam wojna domowa. Nieudana próba interwencji USA stała się później podstawą scenariusza filmowego hitu Ridleya Scotta „Helikopter w ogniu". Tymczasem Somalia pogrążała się w coraz większym chaosie za sprawą dżihadystycznej organizacji Asz-Szabaab. W 2006 r. Etiopia dokonała inwazji na Somalię, tłumacząc to zagrożeniem dżihadystycznym i wspieraniem rebeliantów ogadeńskich z terytorium Somalii.

Militarna aktywność Etiopii w Somalii wywołała resentymenty, które są żywe do dziś, zwłaszcza że jednocześnie Etiopia wspierała samozwańczy Somaliland. Klany somalijskie z dawnego Somali Brytyjskiego zbuntowały się jeszcze w czasie rządów Sijada Barre, a w 1991 r. ogłosiły powstanie odrębnego państwa: Somalilandu, który w przeciwieństwie do Somalii był względnie stabilny. Na początku XXI w. Somaliland otworzył nieoficjalną ambasadę w etiopskiej stolicy Addis Abebie, a w 2005 r. Etiopia rozpoczęła rozmowy dotyczące korzystania z należącego do Somalilandu portu w Berberze. Wycofała się jednak, by uniknąć oskarżeń o wspieranie separatyzmu. Tymczasem portem tym w 2017 r. zainteresowały się Zjednoczone Emiraty Arabskie, a konkretnie DP World z Dubaju, która w tym samym czasie została wyparta z Mogadiszu pod presją Turcji (mającej tam bazę wojskową) i skłóconego z ZEA Kataru. Jednocześnie Emiraty, wraz z Arabią Saudyjską, od 2015 r. zaangażowane były w interwencję zbrojną w Jemenie, jednakże gdy Huti ostrzelali odległe o 1400 km lotnisko w Abu Dhabi, Emiraty szybko się wycofały, zadawalając się wpływami na południu. Dzięki sojuszowi z południowojemeńskimi separatystami uzyskały kontrolę nad wyspą Sokotra, dającą kontrolę nad wejściem do Zatoki Adeńskiej od strony Morza Arabskiego. Etiopia w 2017 r. zakupiła akcje w emirackim projekcie dotyczącym Berbery, ale ostatecznie znów się wycofała.

ROSJA WRACA DO GRY

W tym samym roku do gry w regionie wróciła Rosja. Po wizycie sudańskiego prezydenta Omara al-Baszira uzgodniono, że powstanie baza rosyjskiej marynarki wojennej na Morzu Czerwonym w Port Sudan. Obalenie Baszira zablokowało te plany, ale jednocześnie do Sudanu zostali przerzuceni rosyjscy najemnicy – wagnerowcy, którzy we współpracy z sudańskimi rebeliantami z Rapid Support Forces grabią kopalnie złota w Darfurze. Sudańskie złoto odgrywa ogromną rolę w rosyjskim procederze omijania sankcji, więc trudno się dziwić, że gdy w tym kraju wybuchła wojna domowa, to Ukraina przerzuciła tam swoje siły specjalne, by polowały na wagnerowców. Oczywiście gdyby Rosji udało się zdobyć przyczółek na morzu, to grabież afrykańskich surowców stałaby się dla niej łatwiejsza. Tymczasem oficjalnie głównym importerem sudańskiego złota są Emiraty, które po 2022 r. stały się jednym z głównych sojuszników Rosji w omijaniu sankcji. Wiadomo też, że finansowały wagnerowców w sąsiadującej z Sudanem Libii.

Etiopia jest kluczowym w tym regionie partnerem Chin. Może liczyć też na ZEA i zapewne również na Rosję

Etiopia oczywiście nie zrezygnowała z dostępu do morza. W 2018 r. władzę w tym kraju przejął Abiy Ahmed, który doprowadził do normalizacji relacji z Erytreą i dostał za to Pokojową Nagrodę Nobla. Dwa lata później sojusz się zacieśnił do tego stopnia, że wspólnie zaczęli krwawą pacyfikację tigrajskich separatystów. Oczywiście ku konsternacji noblowskiego komitetu. Erytrea, której reżim należy do najbardziej zamordystycznych na świecie i jest jednym z kilku państw całkowicie lojalnych wobec Rosji w ONZ, obiecała Etiopii ponowny dostęp do portu w Massawie, ale nigdy się to nie zmaterializowało. Zwłaszcza że gdy pod naciskiem międzynarodowym w 2022 r. Ahmed podpisał z Tigrajczykami porozumienie, to żądna krwi Erytrea się na niego obraziła. Etiopia korzystała więc dalej z portu w Dżibuti, ale państwo to kazało sobie za to słono płacić. A zatem do trzech razy sztuka: 1 stycznia Etiopia podpisała z Somalilandem porozumienie, na mocy którego ma dostać w leasing 20 km somalilandzkiego wybrzeża, w tym port w Berberze (gdzie ma powstać również etiopska baza wojskowa), a w zamian uzna państwowość Somalilandu i da mu część udziałów w liniach Ethiopian Airlines. Oczywiście wywołało to wściekłość Somalii oraz zostało potępione przez UE i USA. Niewykluczone, że doprowadzi to do kolejnego konfliktu, choć i bez tego ich w tym regionie nie brak.

PIRACI ZNÓW PRÓBUJĄ SZCZĘŚCIA

Etiopia jest kluczowym w tym regionie partnerem Chin i może liczyć na ZEA, a być może również na Rosję, która wszak szuka przyczółku na tym szlaku wodnym. Nawiasem mówiąc, Chiny już go mają – w 2017 r. otworzyły w Dżibuti bazę marynarki wojennej (jedyną poza terytorium Chin). Nie są tam same, bo Dżibuti słynie z tego, że głównym źródłem jego dochodów są opłaty za użyczanie terytorium na bazy wojskowe. Zatem obecne są tam również takie kraje jak m.in. USA, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy i Japonia.

Tak duża obecność związana jest m.in. z zagrożeniem, które w Zatoce Adeńskiej do końca pierwszej dekady XXI w. stwarzali somalijscy piraci. O tym też powstał kinowy hit pt. „Kapitan Phillips" z Tomem Hanksem w roli tytułowej. Dzięki trwającej do dziś operacji UE Atalanta oraz zakończonej już NATO-wskiej operacji „Tarcza Oceanu" udało się zwalczyć tę plagę. Ale ostatnio piraci postanowili znów spróbować szczęścia i zdyskontować chaos spowodowany atakami Hutich. W pierwszych dniach stycznia zaatakowali indyjski statek, ale zostali przepędzeni przez marynarkę wojenną Indii.

Można się jednak spodziewać, że będą znowu próbować, bo nic nie wskazuje, by na tym szlaku miało się uspokoić. USA wprawdzie ogłosiły kolejną operację, tym razem pod nazwą „Strażnik Dobrobytu", która ma odstraszyć Hutich, ale ci już to wyśmiali i zagrozili, że zaatakują każde państwo, które przyłączy się do tej operacji lub które wspiera Izrael. Wiadomo już, że główne państwa arabskie, w tym ZEA i Arabia Saudyjska, nie zamierzają się przyłączać do tej inicjatywy. Również Etiopia, gdy już włączy się do tej morskiej gry, nie będzie szła na kurs kolizyjny z Iranem, bo ma z nim dobre relacje. A to w Teheranie znajdują się obecnie klucze do Wrót Łez i nie tak łatwo będzie im je odebrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

ELON MUSK ODLECIAŁ W KOSMOS

Oczywiście nie chodzi o to, że amerykański miliarder wystrzelił się własną rakietą SpaceX w przestrzeń kosmiczną, tylko o to, co powiedział podczas wizyty w niemieckim obozie zagłady Auschwitz-Birkenau. Otóż stwierdził tam, że do Holokaustu by nie doszło, gdyby wówczas były „wolność słowa" oraz „media społecznościowe". Z kolei dopytywany na konferencji w Krakowie o sprawy związane z antysemityzmem zadeklarował: „Aspiruję do tego, aby być Żydem".

WYGENEROWANA NAGRODA LITERACKA?

Rie Kudan otrzymała niedawno japońską Nagrodę Akutagawy za najlepsze dzieło beletrystyczne dla młodego pisarza. Autorka książki „Tokyo Sympathy Tower" przyznała, że podczas pisania korzystała z ChatGPT. Sztuczna inteligencja wygenerowała ok. 5 proc. jej książki. Członek jury Nagrody Akutagawy podkreślił w komunikacie, że książka opowiada o generatywnej sztucznej inteligencji, zatem w tym przypadku nie ma mowy o żadnym nadużyciu.

PAPUGI DO RESOCJALIZACJI

W Wielkiej Brytanii w zoo Lincolnshire Wildlife zwiedzający nauczyli osiem szarych papug tak złego słownictwa, że cztery lata temu ptaki odizolowano od reszty stada. Władze zoo postanowiły spróbować jednak resocjalizacji. Zamierzają teraz umieścić osiem niewychowanych papug z 92 nieprzeklinającymi. Dyrektor parku ma nadzieję, że złe papugi nauczą się używać przyjemnych dźwięków. Jeśli jednak to one nauczą brzydkich słów pozostałe w stadzie, to cała woliera będzie prezentowana tylko dorosłym.

KONFISKATA ZA SŁOWA

W Rosji parlamentarzyści Dumy złożyli projekt nowelizacji prawa. Zapisy przewidują, że osobom, które będą rozpowszechniać „fałszywe informacje" na temat armii, będzie można skonfiskować majątek.

W BIKINI PRZED ŚWIĄTYNIĄ

Dwie młode Polki poleciały do Tajlandii. I wywołały skandal, gdy w bikini położyły się na trawniku i opalały. Bo tak się składało, że był to trawnik przed świątynią w regionie Chiang Mai. Nie bardzo się więc to Tajom spodobało. Kobiety zostały pouczone przez policję, a na trawniku zainstalowano tabliczkę z dodatkowym ostrzeżeniem dla turystów. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump kontra... sąd

Były amerykański prezydent Donald Trump, który w połowie stycznia w prawyborach w Iowa wywalczył najlepszy wynik w historii, w ubiegłym tygodniu znów miał powody do świętowania.

Po pierwsze, jeszcze przed prawyborami w New Hampshire z wyścigu po partyjną nominację wycofał się Ron DeSantis, który z założenia miał być jego najpoważniejszym rywalem, ale który z Trumpem przegrał z kretesem. Z kilkunastu polityków, którzy marzyli o przeprowadzce do Białego Domu, na wewnątrzpartyjnym placu boju pozostała już tylko była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley.

I chociaż ona na razie wycofywać się nie zamierza, to Trump pokonał ją w New Hampshire, a w historii amerykańskiej polityki jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby kandydat, który zwyciężył w Iowa i w New Hamsphire, nie otrzymał ostatecznie partyjnej nominacji.

Demokraci zdają sobie sprawę, że mało popularny Joe Biden wydaje się skazany na porażkę w listopadowym starciu przy urnach z Donaldem Trumpem. A skoro nie mogą z nim zwyciężyć w tradycyjnym demokratycznym pojedynku, to tym większą wagę w najbliższych miesiącach przykładać będą do prób zatrzymania marszu Donalda Trumpa za pomocą paragrafów z kodeksu karnego (już postawiono mu 91 zarzutów). Wielu przedstawicieli Partii Demokratycznej wie już bowiem, że Amerykanów trudno będzie przekonać, iż Trump jest „faszystą" i „autokratą", a jego rządy pogrążą świat w chaosie i destrukcji. A skoro tak, to rządzący wiedzą również, że w obecnej sytuacji już tylko sąd może powstrzymać Trumpa od ponownego objęcia urzędu prezydenta... ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

Ufa Moskwie wciąż ufa

Maciej Pieczyński

Baszkirzy nie chcą obalić Putina ani wywalczyć niepodległości. Wyszli na ulice w obronie przyrody i autonomii republiki, dodatkowo niezadowoleni z wojny na Ukrainie, którą generalnie popierają, ale na której nie chcą być mięsem armatnim. Rozpadu Rosji po szwach narodowych na razie nie będzie

W Ufie wybuchły masowe protesty po skazaniu na cztery lata więzienia regionalnego aktywisty FOT. SOTA TELEGRAM/AP/EAST NEWS

W drugiej połowie stycznia wybuchły masowe protesty w Baszkortostanie, autonomicznej republice rosyjskiej szerzej znanej pod nieoficjalną, potoczną nazwą Baszkiria. Iskrą na prochu społecznego niezadowolenia był wyrok czterech lat więzienia dla regionalnego aktywisty Faila Alsynowa za „podżeganie do nienawiści i wrogości". W kwietniu ubiegłego roku przemawiał w języku baszkirskim na zebraniu rady wiejskiej, potępiając nielegalne wydobycie złota w regionie. Powiedział m.in.: „Ormianie wrócą do ojczyzny, »kara chałyk« do siebie, Rosjanie do swojego Riazania, Tatarzy do swojego Tatarstanu. My nie możemy wyjechać, nie mamy innego domu, nasz dom jest tutaj!".

„Kara chałyk" w językach kipczackich ludów tureckich – zarówno baszkirskim, jak i tatarskim – oznacza dosłownie „czarny lud" albo „czerń". Biegły sądowy orzekł, że w danym kontekście fraza ta została użyta jako synonim pogardliwych określeń mieszkańców Azji Środkowej czy Kaukazu, takich jak „czarnuchy", „czurki" czy „chacze". Nie jest to jedyne możliwe tłumaczenie. We współczesnych językach kipczackich wyrażenie to używane jest w znaczeniu „prosty lud". Z kolei, jak czytamy w Encyklopedii Tatarskiej, historycznie „kara chałyk" było umownym określeniem poddanych w Złotej Ordzie, chanatach Astrachańskim, Kazańskim i Syberyjskim. Czyli – w państwach założonych przez Tatarów na europejsko-azjatyckim pograniczu, które zostały podbite i wcielone do Rosji, tworząc do dziś jej niesłowiańskie regiony.

Niezależnie od tego, co naprawdę miał na myśli baszkirski aktywista, przypisana mu pogarda do migrantów z Azji Środkowej była dla regionalnych władz tylko pretekstem do eliminacji politycznego przeciwnika. Dzień przed wyrokiem Alsynow został wpisany na listę „ekstremistów i terrorystów". Do wyroku skazującego przyczynił się szef Republiki Baszkortostanu Radij Chabirow. To on napisał skargę na Alsynowa. Konflikt między aktywistą a władzami regionu trwa od wielu lat. W 2014 r. Alsynow założył organizację Baszkort. Ten oddolny ruch społeczny opowiadał się za suwerennością Baszkirii. Promował też rodzime kulturę i język. Chabirow szefem republiki został w 2018 r. Jedną z jego pierwszych decyzji było wydanie zgody powiązanej z rosyjskimi oligarchami firmie na wydobycie kredy na górze Kusztau. Szczyt należy do tzw. szychanów, czyli pojedynczych wzniesień, uważanych w Baszkirii za narodową dumę, opiewanych w ludowych baśniach i legendach. Baszkort oraz inna patriotyczna organizacja – Kuk Bure – zorganizowały protesty w obronie „szychanu" przed eksploatacją. Walka trwała przez wiele miesięcy. W sierpniu 2020 r. aktywiści rozbili miasteczko namiotowe na górze. Doszło do starć z policją. Chabirow, najprawdopodobniej na polecenie Kremla, ugiął się pod presją i obiecał przerwanie prac na górze. „Szychan" został uznany za pomnik przyrody. Szef republiki jednak nie zapomniał obrazy. Zwolennicy Alsynowa twierdzą, że Chabirow wysłał go za kratki w zemście za Kusztau. Wcześniej zresztą doprowadził do delegalizacji Baszkortu. Motywowana patriotycznie obrona przyrody i dążenie do suwerenności nie mogą się podobać władzom republiki, w pełni zależnym od Moskwy.

KROPLA, KTÓRA PRZELAŁA CZARĘ

Rosyjski politolog baszkirskiego pochodzenia, były doradca szefa republiki, Abbas Gallamow twierdzi, że skazanie Alsynowa było jedynie pretekstem, kroplą, która przelała czarę goryczy wobec

eprasa.pl 64aebc5aa1

władz. Z Baszkirii i innych nierosyjskich regionów pochodzi spora część poległych na ukraińskim froncie. Etniczne republiki, z reguły wierne władzy centralnej i chętnie głosujące na Putina, potraktowane zostały jako rezerwuar mięsa armatniego. Nieprzypadkowo największe protesty po ogłoszeniu mobilizacji wybuchły po ogłoszeniu mobilizacji, natomiast nigdzie na prowincji nie było demonstracji stricte antywojennych.

W Internecie zaczęły się pojawiać nagrania wideo, na których walczący na Ukrainie żołnierze rosyjscy baszkirskiego pochodzenia deklarują poparcie dla Alsynowa i jego zwolenników. „Jeśli nie przestaniecie działać przeciwko naszemu narodowi, przeciwko naszym ojcom i matkom, to opuścimy swoje pozycje i przyjdziemy po was. Jeśli chcecie wojny, to ją dostaniecie" – to treść jednej z takich deklaracji. Żołnierze mają zasłonięte twarze, mówią po baszkirsku i trzymają flagę republiki.

Generalnie jednak wielotysięczne protesty w obronie Alsynowa nie mają charakteru antyputinowskiego, antyrosyjskiego ani antywojennego. Są raczej wyrazem niezadowolenia z władz regionalnych, nominowanych przez Moskwę. Emigracyjni działacze baszkirskiej opozycji głoszą co prawda hasła separatystyczne, wieszczą rozpad Rosji po przegranej wojnie na Ukrainie, jednak protestujący na miejscu, w Ufie czy Bajmaku domagają się nie tyle niepodległości, ile szerszej autonomii oraz poszanowania interesów republiki przez władze centralne. Część demonstrantów zwróciła się nawet do Putina z apelem o pomoc. Na protestach ze świecą szukać haseł pacyfistycznych. Wielu spośród uczestników demonstracji w obronie Alsynowa wcześniej brało udział w wiecach poparcia dla żołnierzy walczących na froncie „specoperacji". Nie kwestionują sensu wojny ani nawet nie sprzeciwiają się udziałowi w niej Baszkirów. Uważają jedynie, że ich republika ponosi nieproporcjonalnie wysoki ciężar wysiłku wojennego.

Baszkiria położona jest na pograniczu Europy i Azji, u podnóża Uralu, na skraju syberyjskiej tajgi i kazachskiego stepu. We wczesnym średniowieczu te tereny znalazły się pod panowaniem Złotej Ordy. Dawni Baszkirzy, podobnie jak Tatarzy, byli wojowniczym ludem koczowników. Obie grupy etniczne stanowią dziś niesłowiańskie mniejszości w tradycyjnie wielonarodowym państwie rosyjskim. Obie mają też własne republiki autonomiczne, w których ich rdzenne języki są, obok rosyjskiego, uznane za urzędowe (choć faktyczna przewaga rosyjskiego jest oczywista). Języki baszkirski i tatarski są do siebie bardzo podobne. Baszkirzy bardzo jednak podkreślają swoją odrębność zarówno od Tatarów, jak i Rosjan. Ci ostatni z jednej strony oficjalnie uznawali autonomię regionu, z drugiej strony po cichu dążyli do jego rusyfikacji. Autonomiczne republiki w składzie Rosji (wówczas jeszcze rosyjskiej republiki sowieckiej) zaczęli tworzyć bolszewicy. Na przełomie lat 80. i 90. jedna po drugiej sowieckie republiki ogłaszały suwerenność. Dotyczyło to również republik autonomicznych, które funkcjonowały w ramach większych republik związkowych (takich jak Ukraina, Białoruś, Gruzja itd.). To zaś oznaczało, że rozpaść się mógł nie tylko ZSRS, lecz także sama Rosja. Teoretycznie autonomie, inaczej niż republiki związkowe, nie miały prawa wyjścia ze Związku. W praktyce również one zapragnęły niepodległości. Najbardziej wyrazistym tego przykładem była Czeczenia. Zanim jednak Kreml postanowił jej bunt utopić we krwi, sam niemal wprost zachęcał do separatyzmu. U schyłku ZSRS w Moskwie panowała dwuwładza. Związkiem rządził słaby i niezdecydowany Gorbaczow, nieudolnie dążąc do zachowania imperium. W Rosji zaś panował energiczny i charyzmatyczny Jelcyn, który chciał się wyemancypować spod władzy związkowego centrum, dlatego promował separatyzm zarówno rosyjski, jak i każdy inny. Latem 1990 r. publicznie zachęcał władze i mieszkańców najpierw Tatarstanu, a następnie Baszkirii, aby brali „tyle suwerenności, ile będą w stanie połknąć". Adresaci apelu nie dali się długo przekonywać. W październiku tego samego roku Baszkiria przyjęła deklarację suwerenności. Ze składu Rosji nie wystąpiła. Podobnie zresztą jak inne republiki autonomiczne. Czeczenia próbowała, ale bezskutecznie. Najoczywistszą specyfiką republik autonomicznych jest spory odsetek rdzennej ludności nierosyjskiej, wyznającej religię inną niż prawosławie. W Dagestanie i Czeczenii odpowiednio po 94 i 96 proc. mieszkańców to muzułmanie. W Buriacji wyznawcy buddyzmu stanowią ok. 20 proc. Znaczny ich odsetek zamieszkuje też Kałmucję czy Tuwę. W Baszkirii pochodzenie etniczne jest ważniejszym wyznacznikiem tożsamości niż religia. 37,5 proc. mieszkańców to (w dużej mierze prawosławni) Rosjanie. Kolejne dwa miejsca zajmują narody tradycyjnie muzułmańskie: Baszkirzy (31,5 proc.) i Tatarzy (24,2 proc.).

KREMLOWSKI NAMIESTNIK

Rosja jest federacją. Jej podmioty (obwody, obwody autonomiczne, kraje, republiki autonomiczne, miasta o znaczeniu federalnym) posiadają własne rządy, parlamenty i konstytucje. Republiki wybierały nawet prezydentów, ale w 2010 r. Kreml postanowił, że w Rosji prezydent może być tylko jeden. Dziś na czele tych podmiotów stoją „szefowie" (ros. gława). Niezależność regionów była systematycznie ograniczana, szczególnie za czasów Putina. Na czele Baszkortostanu w latach 1993–2010 stał Murtaza Rachimow. Był tolerującym korupcję autokratą, ale miał też silną pozycję wobec Moskwy. Potrafił dla Baszkirów wywalczyć dość sporą autonomię. Podobnie wyglądały rządy jego następcy Rustema Chamitowa. W końcu jednak Moskwa wysłała do Ufy swojego człowieka. Radij Chabirow jest Baszkirem z pochodzenia, ale przez kilka lat pracował w administracji prezydenta Rosji. Przygotowywał m.in. „referendum" na okupowanym Krymie. Do małej ojczyzny wrócił więc jako kremlowski namiestnik. Jego poprzednicy nie kwestionowali moskiewskiej zwierzchności, ale potrafili działać w interesie republiki.

Nawet zachęty Jelcyna nie doprowadziły do odłączenia się nierosyjskich prowincji. Tym bardziej nie powinno się to zdarzyć obecnie. Niezadowolenie z niesprawiedliwej polityki Kremla i Ufy nie zrodziło poważniejszych nastrojów separatystycznych. Niepokoje z pewnością zostaną spacyfikowane, a w marcowych wyborach prezydenckich Putin i tak „uzyska" dobry wynik w republikach. Rosja jest zbyt scentralizowana i autorytarna, aby miała się rozpruć po szwach narodowych. Lokalne elity są zbyt uzależnione od Kremla, aby miały ryzykować kurs na niepodległość, której nie chcą ani one, ani też raczej lokalni mieszkańcy. Nie będzie rozpadu Rosji. Przynajmniej na razie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

Szklana kula z Las Vegas

Jacek Przybylski

Samochody potrafiące parkować bokiem, coraz mądrzejsze roboty w roli osobistych asystentów, ubrania, które zwiększają efektywność ćwiczeń, inteligentne materace polepszające sen czy poduszki zapobiegające chrapaniu. Podczas CES 2024 pokazano wiele nowinek, które w przyszłości mogą trafić do polskich domów

Południowokoreańskie LG na styczniowych targach CES 2024 w Las Vegas pokazało pierwszy na świecie bezprzewodowy przezroczysty telewizor. LG Signature OLED T to produkt dla właścicieli luksusowych apartamentów, którzy nie chcą, aby telewizor był kluczowym punktem salonu. Siedemdziesięciosiedmiocalowy ekran idealnie wtapia się w otoczenie, ponieważ po wyłączeniu staje się rzeczywiście przezroczysty. Co więcej, najnowszy model został tak skonstruowany, że treści mogą być wyświetlane tylko na części ekranu (reszta pozostaje przezroczysta). W teorii już wkrótce będzie więc można śledzić znakomitą grę Igi Świątek, a jednocześnie podziwiać zachód słońca nad Lazurowym Wybrzeżem. Nowość z CES 2024 nie musi więc wcale wisieć na ścianie, ale może czekać na włączenie w specjalnej konstrukcji imitującej mebel. Przedstawiciele LG zapewniają, że jeszcze w tym roku model LG Signature OLED T może trafić do sprzedaży. Początkowo będzie zapewne tak piekielnie drogi, że zajmie miejsce na podium wśród supergadżetów, na które nas nie stać. Dobra wiadomość jest taka, że nad podobną technologią pracuje Samsung, a zdrowa konkurencja powinna szybko sprowadzić ceny w dół.

Wiadomo już, niestety, ile kosztuje pokazany na targach gigantyczny, składany w harmonijkę telewizor. Wystarczy równowartość mniej więcej 800 tys. zł (200 tys. dol.) i już można zamawiać do salonu telewizor o nazwie N1 marki C Seed, który po rozłożeniu ma ekran o wielkości 137 cali. Aby cieszyć się tak dużym panelem, wystarczy nacisnąć przycisk i odczekać ok. 2,5 minuty. Jeśli ktoś miałby kaprys, aby taki telewizor stanął również u niego w ogródku, to wersja odporna na różne warunki atmosferyczne kosztuje 240 tys. dol.

Telewizor powinien zrobić wrażenie nawet na bogatych znajomych, bo ekran został wykonany w nowoczesnej technologii Micro-LED, która oferuje fanta-

eprasa.pl 64aebc5aa1

styczny kontrast i głęboką czerń. Granice poszczególnych paneli są zaś ponoć niewidoczne dla ludzkiego oka. A przy okazji panele w tej technologii powinny mieć wyższą żywotność niż w przypadku klasycznych telewizorów OLED-owych.

LG Signature OLED T to pierwszy na świecie przezroczysty telewizor

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SAMOCHODY PRZYSZŁOŚCI

BMW zaprezentowało w Las Vegas m.in. okulary rozszerzonej rzeczywistości XREAL Air 2, które ułatwiają prowadzenie samochodu, wyświetlając np. wskazówki nawigacyjne, wiadomości o ewentualnych zagrożeniach czy nałożone na rzeczywisty obraz otoczenia wskazówki ułatwiające parkowanie auta.

Niemiecki koncern we współpracy z Valeo zaprezentował również usługę dla tych, którzy nie czują się pewnie na wąskich parkingach. W takich sytuacjach wystarczy zostawić auto we wskazanym przez komputer miejscu, a samochód zaparkuje zupełnie sam, lub w miejscach, gdzie jest to trudne dla w pełni autonomicznych systemów, da możliwość ostrożnego zaparkowania go zdalnie przez… pracownika centrali.

Inny pomysł na ułatwienie parkowania zaprezentował podczas targów południowokoreański Hyundai: zamiast nauki kopert i innych żmudnych wygibasów w przyszłości wystarczy stanąć obok wybranego miejsca i… wjechać w nie bokiem. Sztuczkę umożliwiają koła zdolne obracać się nawet o 90 stopni i wyposażone w małe silniki. Dzięki temu każde z kół może działać niezależnie. System e-corner umożliwia nie tylko parkowanie, lecz także obrót pojazdu w miejscu o 180 stopni. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to już w przyszłym roku trafi do produkcji (początkowo technologia ma być stosowana w autonomicznych pojazdach dostawczych).

URATOWAĆ CZŁOWIEKA

Im starsze są zachodnie społeczeństwa, tym więcej można zarobić na ochronie zdrowia seniorów. Doskonale zdają sobie z tego sprawę projektanci technologicznych nowinek. Francuski Withings zaprezentował podczas CES 2024 model BeamO, czyli niewielkich rozmiarów urządzenie łączące w sobie stetoskop, termometr, oksymetr oraz przyrząd do wykonywania EKG. Urządzenie łączy się z aplikacją na smartfonie, która potrafi ocenić zebrane dane i przechowuje je tak, aby w razie potrzeby można było pokazać je lekarzowi. Cena: 249,95 euro, czyli ok. 1,1 tys. zł.

Z kolei firma DeRUCCI zaprezentowała inteligentne materac i poduszkę. Model T11 Pro wygląda jak tradycyjny materac, jest jednak naszpikowany elektroniką. Dwadzieścia trzy czujniki zbierają dane dotyczące pozycji, w której śpimy, parametrów ciała etc. We wnętrzu znajduje się też 18 poduszek, które w zależności od analizy snu użytkownika mogą się nadmuchiwać i opróżniać, aby zapewnić optymalne ułożenie ciała. Wszystkim steruje sztuczna inteligencja. Nowoczesny materac wyceniono na 8250 dol., czyli równowartość 33 tys. zł. Firma DeRUCCI pokazała również najnowszy model inteligentnej poduszki, która monitorując nieustannie sen użytkownika, potrafi dostosować się tak, aby głowa znajdowała się w pozycji minimalizującej ryzyko bezdechu sennego. Ponoć badania pokazały, że innowacyjna poduszka może zmniejszyć chrapanie nawet o 89 proc. Cena: 972 dol., czyli niecałe 4 tys. zł.

Tradycyjnie nie brakowało również przykładów technologii ubieralnej. Wśród inteligentnych pierścieni duże wrażenie robił zaprojektowany specjalnie z myślą o kobietach pierścień Evie firmy Movano. Zastosowane w nim czujniki saturacji krwi są już dokładniejsze, niż wymaga amerykańska agencja FDA (zakres błędu na poziomie 2 proc.), a odczyty tętna spełniają wymagania stawiane przed urządzeniami medycznymi. Zbierane na bieżąco dane trafiają do aplikacji, która śledzi również informacje o nastroju, poziomie aktywności, długości snu etc., a sztuczna inteligencja

Robot Oro Dog Companion potrafi nawet rzucać psu piłki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 64aebc5aa1

Zaletą robota Ballie jest wbudowany projektor
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

porównuje je z wynikami różnego rodzaju badań i wyciąga wnioski mające za zadanie poprawić zdrowie i samopoczucie użytkowniczek. Bateria w pierścieniu ma wytrzymywać ok. czterech dni na jednym ładowaniu. Pierścień w kolorze złota, różowego złota lub srebra można już zamawiać w przedsprzedaży (za równowartość 269 dol., czyli ok. 1080 zł). Producent obiecuje, że w tym roku powinien już na dobre ruszyć z produkcją.

Brytyjska firma GyroGear zaprezentowała też najnowszą wersję rękawicy GyroGlove, umożliwiającej ustabilizowanie drżenia rąk u osób z chorobą Parkinsona, co może kompletnie odmienić codzienne życie osób dotkniętych tą chorobą. Cena: 4899 dol., czyli ok. 20 tys. zł. Zdrowiu służyć mają również nowoczesne legginsy WE-STIM firmy Barunbio, które potrafią odzyskiwać energię kinetyczną generowaną przez ludzkie ciało, zamieniać ją na prąd i… razić nim użytkownika w celu stymulacji komórek skóry oraz mięśni. Z założenia elektrostymulacja jest niemal nieodczuwalna, a według producenta istotnie zwiększa efektywność treningów. Produkt wzbudził duże zainteresowanie. Firma pracuje już więc nad stymulującymi koszulkami.

JAK W DOMU U JETSONÓW

Rok 2024 ma być kolejnym rokiem dynamicznego rozwoju sztucznej inteligencji, która znajduje się już w niemal każdym nowym urządzeniu. Wykorzystuje ją również AI Agent, a więc futurystyczny robocik od LG, który potrafi samodzielnie się przemieszczać i którego zadaniem jest pomoc w obowiązkach domowych. Potrafi komunikować się z ludźmi, a także rozpoznawać emocje na podstawie głosu i wyrazu twarzy, może więc pełnić rolę towarzysza osób starszych. Może być o tyle lepszy od ludzkiego odpowiednika, że na podstawie rozpoznanego nastroju potrafi od razu dobrać właściwą muzykę oraz właściwe treści (raczej nie ma jeszcze wbudowanego modułu złośliwości). Potrafi oczywiście opowiedzieć o pogodzie, przypomnieć o wizycie u lekarza czy o porze na przyjęcie kolejnej garści leków. Robotycznego agenta można też wykorzystywać jako ochroniarza patrolującego wnętrze domu i informującego o ewentualnych zagrożeniach lub w charakterze elektronicznej niani dla psa. Robot potrafi też „przejść się" po domu i powyłączać nieużywane akurat urządzenia (jeśli są podłączone do domowej sieci wi-fi). Za pomocą wbudowanych czujników potrafi też na bieżąco monitorować temperaturę, wilgotność i jakość powietrza w domu czy mieszkaniu.

Pierścień Evie ma dbać o zdrowie kobiet
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z kolei Samsung pokazał najnowszą odmianę czarującego małego robota Ballie, który poruszając się na dwóch kółkach, ma ułatwić życie w nowoczesnym domu typu smart, np. poprzez sprawdzanie pod nieobecność ludzkich użytkowników, jak akurat psocą ich futrzaki. Ballie może wyświetlić rozrabiającemu psu jakiś uspokajający film i spróbować uratować w ten sposób kanapę przed zjedzeniem. Niewielki żółty robocik może uruchomić pralkę, włączyć klimatyzację lub zapalić lampy (oczywiście, aby mógł to zrobić, wszystkie te sprzęty muszą być podłączone do domowej sieci wi-fi). Może się też zamienić w projektor i ułatwić prowadzenie wideorozmów lub wyświetlić film z zestawem morderczego aerobiku. Dzięki projektorowi robot może też wyświetlać powitanie, gdy użytkownik wróci już z pracy.

Głównie z myślą o opiece nad czworonożnymi domownikami zaprojektowano z kolei robota o nazwie Oro Dog Companion. Według producenta robotyczna niańka do psów rozpoznaje oznaki niepokoju u psa i potrafi go nakarmić i zabawić, np. odtwarzając muzykę kojącą zszargane ciągłymi wizytami kurierów nerwy lub bawiąc się w aportowanie (sztuki odnoszenia piłki psa nauczyć musi jednak ciągle ludzki opiekun). Za pomocą dwukierunkowego systemu audio i ekranu wideo umożliwia też zdalną komunikację właściciela ze czworonogiem.

W codziennych obowiązkach ludzi od lat coraz lepiej wyręczają roboty odkurzające czy myjące podłogi. W Las Vegas zaprezentowano jednak nietypowe połączenie pralkosuszarki z robotem odkurzającym z funkcją mopowania. Eureka Dual Washing Bot ma tę przewagę nad urządzeniami kupowanymi osobno, że umożliwia wykorzystanie tylko jednego podłączenia do rur kanalizacyjnych i wodociągowych, co sprawia, że odkurzacz mopujący może wreszcie regularnie opróżniać zbiornik na brudną wodę i uzupełniać go wodą czystą bez konieczności jakiejkolwiek ingerencji ze strony człowieka. Użytkownik musi jedynie raz na dwa miesiące wymienić worek na kurz.

Rozkładany telewizor N1 ma 137-calowy ekran
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto zapłaci za „dwie wieże”?

W maju 2021 r., podczas wizyty w Ostrołęce, zrobiliśmy sobie z żoną pamiątkowe selfie na tle słynnych „dwóch wież” tamtejszej elektrowni, które wkrótce miały zostać rozebrane.

Wiedzieliśmy, że to ostatnia okazja na zrobienie sobie zdjęcia na tle tego niedoścignionego symbolu absurdalności państwowego kapitalizmu. Robiliśmy je zresztą w atmosferze ówczesnej – nie mniej absurdalnej – walki państwa z tzw. pandemią COVID-19, prowadzonej za pomocą podobnie niedorzecznych lockdownów, nakazów noszenia maseczek itd., itp.

A wracając do elektrowni w Ostrołęce – jej blok C miał być „ostatnim nowo zbudowanym blokiem węglowym” w opętanej antywęglowym obłędem Unii Europejskiej. Właśnie ze strachu przed kosztami tego obłędu inwestycję wstrzymano za rządów Platformy i PSL w 2014 r., a wznowienie jej obiecał w 2015 r. walczący o przejęcie władzy PiS. I jak obiecał, tak po wygranej zrobił, czyli ruszył z budową, którą jeszcze w 2018 r. premier Morawiecki zachwalał w charakterystycznym dla siebie stylu: „Przeciwstawimy Polskę mocy Polsce niemocy”, solennie zapewniając, że zakończenie budowy boku C elektrowni w Ostrołęce nastąpi najpóźniej w roku... 2023. Po czym, czyli po utopieniu niewyobrażalnej góry pieniędzy – w sumie aż 2 mld zł! (według NIK Skarb Państwa, a więc podatnicy, stracili na tym 1,4 mld zł!) – jednak i w PiS niemoc wzięła górę nad mocą i dano sygnał do zaorania niedokończonej inwestycji, czyli rozebrania jej do ostatniej cegiełki, wraz ze słynnymi dwoma pylonami, czyli „dwiema wieżami”.

A owe dosłownie wyrzucone w ostrołęckie błoto 2 mld zł obu spółkom, które finansowały budowę bloku C elektrowni w Ostrołęce – czyli Enerdze i Enei – zapewne po cichu zasugerowano potulnie zaliczyć w straty.

Dziś już jednak wiemy, że co najmniej jedna z tych firm – Enea – teraz, czyli po utracie władzy przez PiS, nie zamierza się z tą stratą pogodzić i złożyła pozew przeciw m.in. kilku ludziom – ówczesnym członkom rady nadzorczej i zarządu Enei – na czele z ówczesnymi prezesem zarządu Mirosławem Kowalikiem i szefem rady nadzorczej Pawłem Jabłońskim (późniejszym wiceszefem MSZ, a dziś posłem PiS). Pozew o zapłatę… 656 mln zł, bo właśnie na tyle wycenia swoją stratę związaną z tą megaaferą.

Czy drogą Enei pójdzie także Energa, przejęta w 2022 r. przez Orlen i wznosząca w miejscu rozebranego węglowego bloku C ostrołęckiej elektrowni blok gazowy – nie wiadomo. Tak czy owak, zwrot w sprawie skandalu w Ostrołęce nie może podatników nie cieszyć – choćby jako symbol kresu absolutnej bezkarności sobiepaństwa polityków. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przemysł przykrywkowy 2.0

Dawno temu wynalazłem termin „przemysł przykrywkowy”. Było to w czasach pierwszych rządów Platformy Obywatelskiej, która świetnie opanowała podsuwanie opinii publicznej emocjonujących spraw po to, żeby ukryć te dla siebie kłopotliwe.

Minęło półtorej dekady i przemysł przykrywkowy wraca. Przykrywki są te same co zawsze – zużyte, opatrzone, nudne, a jednak wciąż skuteczne. Natomiast to, co się przykrywa, to już dzisiaj znacznie większa waga. Za przemysłu przykrywkowego 1.0 chodziło o afery, w których uczestniczyli politycy PO. Dzisiaj w przypadku przemysłu przykrywkowego 2.0 chodzi o sprawy, które determinować będą przyszłość Polski.

Przemysł przykrywkowy pracuje pełną parą, a będzie pracował jeszcze wydajniej

Oto przykład. Najnowsza uruchomiona przykrywka to – uwaga, zaskoczenie! – aborcja. Do Sejmu wjeżdża dotyczący tego projekt, który oczywiście nie ma żadnych szans na wejście w życie przy obecnym prezydencie, ale za to doskonale przyciągnie uwagę opinii publicznej i na nowo rozgrzeje emocje. Jakby i tak nie miały temperatury plazmy. A jakby było mało, to wrzuci się jeszcze związki partnerskie.

W tym samym dokładnie czasie w Europie, w tym w Polsce, dochodzi do ogromnego protestu rolników, którzy mają dość unijnych regulacji klimatycznych. To grupa już teraz dotknięta olbrzymimi związanymi z tym kosztami. Jednocześnie gdzieś na marginesie głównych wiadomości zaczynają się pojawiać informacje o dramatycznych konsekwencjach dyrektywy EPBD o charakterystyce energetycznej budynków i o trudnych do wyobrażenia kosztach, które pochłoną przymusowe renowacje budynków w Polsce. Ale to do większości odbiorców nie dociera, bo ci są zajęci wchłanianiem wiadomości o sporach o aborcję albo ekscytują się tym, czy Mariusz Kamiński w więzieniu schudł czy nie.

Przemysł przykrywkowy pracuje pełną parą, a będzie pracował jeszcze wydajniej, byle przykryć to, co faktycznie jest istotne. Z tym że tym razem w tej fabryce zasuwają brygady robocze z obu stron. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

Szejkowie w grze

Łukasz Majchrzyk

Arabia Saudyjska odważnie wchodzi w świat wielkiego sportu. Kupuje kluby i przejmuje prawa do organizacji wielkich imprez. Jest to częścią większego planu, a nie tylko zabawą bogatych szejków

W ostatnich latach do saudyjskiej ligi trafiło wiele gwiazd, na czele z Cristiano Ronaldo FOT. YASSER BAKHSH/GETTY IMAGES

W sporcie można kupić wszystko. Wiadomo to przynajmniej od czasu, gdy prawo do organizacji zimowych igrzysk olimpijskich, a potem piłkarskiego mundialu przypadło Rosji rządzonej przez Władimira Putina. Jeśli ktoś potrzebował więcej dowodów na to, że pieniądz jest w sporcie najważniejszy, to chyba dał się przekonać cztery lata później, kiedy piłkarskie mistrzostwa świata zorganizował Katar.

Kraj wielkości województwa świętokrzyskiego, który nigdy nie był znany z miłości do piłki nożnej, wybudował stadiony na pustyni, a futbolowy świat dostosował dla niego swój kalendarz. Oskarżenia o przekupywanie działaczy? Kto by się nimi przejmował? Karawana pojechała dalej, pieniądz okrążył wszystkie ważne kieszenie, można było przejść do kolejnego punktu obrad.

SAUDYJCZYCY DOBRZE PŁACĄ

Skoro mógł Katar i mogła Rosja, to czemu nie mogłaby Arabia Saudyjska? Tutaj przynajmniej nie słychać o próbach przekupstwa. Ot, po prostu nikt nie stanął do wyścigu o prawa do zorganizowania imprezy w 2034 r. Zastanawiały się władze australijskiej federacji, ale szybko zrezygnowały, kiedy przekonały się, jak wielkim poparciem cieszy się kandydatura Saudyjczyków. To sytuacja, w której obie strony wygrywają.

FIFA zaciera ręce, bo ma zapewnioną organizację imprezy na kolejne kilkanaście lat do przodu, a w świecie gigantomanii, w którym liczba uczestników mistrzostw świata (a co za tym idzie – także ich koszty) rośnie, chętnych do podjęcia się tego zadania (i tych, którzy mogą sobie na to pozwolić) jest coraz mniej. Przy okazji FIFA może mówić, że sprawiedliwie dzieli prawa, bo najbliższy turniej odbędzie się w Ameryce Północnej, a cztery lata później gospodarzami będą aż trzy kontynenty: Europa, Afryka i Ameryka Południowa.

Saudyjczycy są zadowoleni, bo sportowy świat przyznał im organizację kolejnego turnieju. Klubowe Mistrzostwa Świata, które odbyły się tam w grudniu, stanowiły tylko małą przygrywkę do tego, co ma się zdarzyć w 2034 r. Gospodarze pokazali, że potrafią gościć najlepszych sportowców świata i mogą podjąć się jeszcze większych wyzwań, a piłkarze przekonali się, że późną jesienią i zimą można tam rozgrywać mecze piłkarskie.

Zresztą jeśli któryś chciałby narzekać, to jego argumenty mogłyby wywołać jedynie uśmiech politowania i wzruszenie ramion. W ostatnich miesiącach coraz więcej znanych piłkarzy się tam przenosi, bo Saudyjczycy płacą bardzo dobrze. W ostatnich latach do tamtejszej ligi trafiło wiele gwiazd, na czele z Cristiano Ronaldo, Neymarem, Sadio Mané czy N'Golo Kanté. Każdy z nich w Europie zarabiał więcej niż godnie i nie mógł narzekać na brak popularności, a jednak dał się przekonać do wyjazdu na pustynię.

Saudyjczycy oferowali też niebotyczne pieniądze Kylianowi Mbappé, ale napastnik reprezentacji Francji postanowił zostać w Europie, podobnie jak nasz Piotr Zieliński, któremu kibice Napoli są wdzięczni za wierność ich barwom. Pieniądze, które Saudyjczycy przeznaczają na pensje piłkarzy – a także uznanych trenerów, takich jak np. Roberto Mancini – to i tak drobne kwoty w porównaniu z tymi, które tak naprawdę inwestują w sport.

Według różnych szacunków od 2021 r. za pośrednictwem państwowego funduszu Public Investment Fund wydali na różnego rodzaju projekty sportowe ok. 6,3 mld dol. Za pośrednictwem funduszu przejęli część krajowych klubów piłkarskich, poniekąd upaństwawiając ligę, a dodatkowo rozprzestrzenili się na Europę, przejmując jeden z najbardziej znanych angielskich klubów – Newcastle United. Kolejny klub Premier League, Sheffield United, jest własnością saudyjskiego księcia Abdullaha bin Mosaada.

WIELKIE PRANIE

Saudyjczycy nie ograniczają się do futbolu. W ostatnich latach rozpętali prawdziwą burzę w świecie golfowym, tworząc organizację LIV Golf. Największy do tej pory na świecie cykl zawodów,

eprasa.pl 64aebc5aa1

czyli PGA Tour, chciał zdusić konkurencję w zarodku, więc na początku głośno mówiło się o banicji dla tych golfistów, którzy zdecydują się na grę w nowych rozgrywkach, ale Saudyjczycy przedstawili twarde argumenty, które przekonały wiele gwiazd. Do cyklu LIV Golf dołączyli m.in. Phil Mickelson, Brooks Koepka czy Dustin Johnson. Nie było rady, trzeba było się z Saudyjczykami porozumieć, a ci nie zamierzają zwalniać i przekonują do gry u siebie kolejne gwiazdy.

W grudniu kontrakt z LIV Golf podpisał Jon Rahm, chociaż wcześniej twierdził, że 400 mln dol. go nie skusi, bo w życiu zarobił już wystarczająco dużo. Na razie Hiszpan nie chce komentować decyzji, bo – jak twierdzi – nie może, ale – jak widać – Saudyjczycy znaleźli jakieś argumenty, żeby go przekonać.

Inwestycje Saudyjczyków w światowy sport budzą kontrowersje, a ci, którzy wyciągają rękę po oferowane przez nich pieniądze, często są za to krytykowani. Wielu ludzi (a także organizacje takie jak Human's Right Watch czy Amnesty International) uważa, że bliskowschodnia monarchia uprawia tzw. sportwashing, czyli przez inwestycje w kluby i rozgrywki wybiela swój wizerunek na Zachodzie.

Rzeczywiście, jeśli patrzeć z punktu widzenia Europy czy Stanów Zjednoczonych, to w Arabii Saudyjskiej mają problem z demokracją i prawami człowieka. Cieniem na monarchii – i osobiście na rządzącym krajem księciu Mohammedzie bin Salmanie – kładzie się też sprawa zabójstwa Dżamala Chaszukdżiego. Dziennikarz wielokrotnie krytykował władze kraju, a kiedy w październiku 2018 r. wszedł do konsulatu saudyjskiego w Stambule, to żywy już stamtąd nie wyszedł.

Tylko czy Saudyjczykom jest to rzeczywiście potrzebne, skoro i tak przyjeżdżają do nich najważniejsi światowi przywódcy, na czele z Joe Bidenem i Władimirem Putinem?

– W Arabii Saudyjskiej dominuje wahabizm, czyli bardzo surowa odmiana islamu. Starsze pokolenie nie chce złagodzenia obyczajów na wzór zachodni. Trochę się to jednak zmienia i społeczeństwo się liberalizuje, choć nigdy nie będzie takie, jak np. w krajach europejskich. Mohammed bin Salman walczy o zmiany, a otwarcie na sport jest jednym z przykładów tego postępowania – mówi „Do Rzeczy" Mieszko Rajkiewicz, doktorant na Wydziale Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Arabia Saudyjska w ostatnich latach się zmienia, otwiera na świat, ale też rozwija nowe sektory gospodarki, zgodnie z celami zapisanymi w dokumencie „Wizja 2030", a sport jest jednym z czynników, które mają w tym pomagać. Celem jest dywersyfikacja przychodów kraju, który swoje bogactwo czerpie z wydobycia ropy naftowej. Już dawno radził to były saudyjski minister do spraw ropy naftowej Ahmed Zaki Yamani, ostrzegając, że era ropy naftowej skończy się szybciej niż sam surowiec.

– W jednym z wywiadów Mohammed bin Salman stwierdził, że nawet jeśli te działania ktoś nazywa „sportwashingiem", ale one przyniosą jego krajowi wzrost PKB o 1 proc. i nowe miejsca pracy, to on się tymi etykietami nie będzie przejmował. Budowanie pozytywnych skojarzeń na bazie sportu jest wpisane do wielkiego planu „Wizja 2030". Organizowanie zawodów sportowych i stawanie się e-sportowym hubem ma przynosić saudyjskiej gospodarce korzyści – mówi Mieszko Rajkiewicz.

Dla kraju coraz ważniejsza ma się stawać turystyka, a można to osiągnąć, choćby ściągając do siebie ważne imprezy i znanych piłkarzy. Piłkarski mundial oznacza tysiące kibiców na trybunach, setki dziennikarzy i influencerów, którzy przyjadą do Arabii Saudyjskiej i będą pokazywać jej dobre strony i chcąc nie chcąc, zachęcać do przyjazdu. Już sama obecność piłkarskich gwiazd, które grają w Arabii Saudyjskiej na co dzień, mieszkają tam i zarabiają, ociepla wizerunek kraju. Saudyjczycy kusili też Lionela Messiego, ale Argentyńczyk wybrał grę w Interze Miami. Zgodził się jednak promować Arabię Saudyjską za „jedyne" 25 mln dol.

WIRTUALNY ŚWIAT, REALNY ZYSK

Saudyjczycy na tym nie poprzestają i obok tradycyjnego sportu zdecydowanie inwestują w e-sport, który dla młodego pokolenia może być nawet jeszcze ważniejszy. Pieniądze, które angażują w różnego rodzaju projekty, są wręcz niewyobrażalne – o wiele większe niż te angażowane w tradycyjny sport.

– Tylko w ciągu najbliższych kilku lat Saudyjczycy planują zainwestować w tę branżę 38 mld dol. Na razie wydali 16 mld dol., a jeśli wszystko zsumujemy, to do 2030 r. na pewno ich wydatki przekroczą 60 mld dol. Według ich planów Rijad ma się stać światowym hubem dla branży gamingowej. W tym mieście ma się znaleźć większość głównych siedzib lub choćby filii firm działających na tym polu. Drugim fundamentem ich planu jest organizacja wielkich wydarzeń e-sportowych – mówi Mieszko Rajkiewicz.

Capcom, FaceIT, ESL, Nintendo, Electronic Arts, Nexon, Embracer – wszystkie te firmy (i wiele innych) są w mniejszym lub większym stopniu kontrolowane przez Saudyjczyków. Jeśli przedsiębiorstwa zaczną się przenosić do Arabii Saudyjskiej, otwierać tam swoje biura, przedstawicielstwa, to pojawią się nowe miejsca pracy dla obywateli. Nie chodzi jednak tylko o to. Saudyjczycy zdają sobie sprawę, że e-sport i gaming kształtują wyobrażenia młodych pokoleń o otaczającym ich świecie. Jeśli mają wpływ na politykę globalnych koncernów, to mają kontrolę nad tym, jak ich kraj będzie przedstawiany w grach. Saudyjczycy nie tylko nie będą czarnymi charakterami (jak np. Rosjanie w wielu grach), lecz także ich miasta, takie jak Rijad albo Dżudda, mogą być pokazywane jako nowoczesne, tętniące życiem metropolie. To będzie skuteczniejsza reklama kraju niż dziesiątki filmów dokumentalnych, kampanii społecznych, płatnych artykułów i spotów reklamowych w zachodnich mediach.

Wejście w gaming i e-sport oraz budowanie dobrego wizerunku kraju oznacza też możliwość łatwiejszego ściągnięcia zagranicznych fachowców, potrzebnych przy wznoszeniu wielkich saudyjskich projektów, choćby futurystycznego miasta Neom zasilanego w 100 proc. energią ze źródeł odnawialnych czy The Line, czyli szklanego miasta na pustyni, długiego na 170 km i szerokiego na ledwie 200 m.

Wielkie inwestycje w sport, ściąganie do siebie piłkarskich imprez, gwiazd futbolu, a nawet rozgrywanie azjatyckich igrzysk zimowych oznaczają tylko początek długiej drogi, którą Saudyjczycy chcą przejść. Z tej perspektywy kilka miliardów dolarów, które trafią do FIFA i kieszeni piłkarzy oraz menedżerów, wyglądają naprawdę na drobne pieniądze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 64aebc5aa1

ŠKODA SCALA 1.5 TSI MONTE CARLO

FOT. AP

Škoda Scala niedawno przeszła lifting, który usportowił to kompaktowe auto i polepszył jego aerodynamikę. Zmiany nie są jednak rewolucyjne. Do testów wzięliśmy więc scalę jeszcze sprzed liftingu, bo to może być opłacalny czas na zakup egzemplarzy starszej generacji tego modelu, które w polskich salonach czekają jeszcze na klientów.

Scala nie jest najbardziej znanym modelem czeskiego producenta. Niesłusznie jest jednak lekceważona. To bowiem bardzo przyzwoite, praktyczne, rodzinne auto z dużym bagażnikiem i przestronnym wnętrzem, które świetnie oddaje ideę hasła „Simply clever".

Z zewnątrz nawet wersja sprzed liftingu może się podobać. Atrakcyjnie wygląda zwłaszcza w kolorze czerwonym, który uwydatnia czarne sportowe elementy wersji Monte Carlo. Jeśli chodzi o wielkość, to Scala jest nieco krótsza niż np. Kia XCeed czy Cupra Leon, ale minimalnie dłuższa niż Hyundai i30 czy Kia Ceed.

We wnętrzu wzrok przyciąga ośmiocalowy dotykowy ekran systemu infotainment. Usportowione fotele z przodu dobrze podtrzymują ciało najważniejszych przedstawicieli rodziny. Fajna jest też obszyta skórą trójramienna kierownica. W kabinie jest sporo twardych plastików, ale wszystko sprawia wrażenie solidnie zmontowanego. Z tyłu bez trudu może podróżować dwoje lub troje dzieci. Pojemność kufra wynosi zaś 467 l (po złożeniu siedzeń można ją zwiększyć do 1410 l).

W testowanej wersji pod maską znajdował się czterocylindrowy silnik benzynowy 1.5 TSI o mocy 150 KM. Naprawdę! Nie mam pojęcia, jak Czechom udało się uchronić to auto przed karnym wzrokiem unijnych komisarzy do spraw psucia europejskiej motoryzacji, ale ta jednostka świetnie się w tym aucie sprawdza. Sto pięćdziesiąt koni mechanicznych nie robi co prawda z auta sportowej rakiety, ale jak na samochód rodzinny Scala z takim silnikiem jest naprawdę żwawa i dynamiczna. Od zera do pierwszej setki czeski kompakt przyspiesza w 8,1 s. W teorii da się nim zaś rozpędzić nawet do 221 km/h. Tego jednak nie sprawdzałem. Za niezłą dynamikę nie trzeba wcale mocno dopłacać na stacji benzynowej. Na drodze krajowej średnie spalanie przy normalnej jeździe nie powinno przekroczyć 5,2 l/100 km. Na autostradzie i w mieście apetyt na paliwo rośnie do 6,5–7,5 l/100 km. Zawieszenie nie jest ani przesadnie twarde, ani zbyt miękkie, co pozwala na sprawne pokonywanie serpentyn.

Na pochwałę zasługują również reflektory Full LED, które bardzo dobrze oświetlają trasę. Nie brakuje też dbających o bezpieczeństwo asystentów.

Czeski kompakt ma jeszcze jedną zaletę: jak na szalone warunki obecnego rynku motoryzacyjnego Scala jest całkiem okazyjnie wyceniona. W najtańszej wersji z silnikiem 1.0 TSI o mocy 115 KM kosztuje niecałe 95 tys. zł. Ceny Scali z silnikiem 1.5 TSI (150 KM) i manualną skrzynią zaczynają się od 109,7 tys. zł (z siedmiobiegowym automatem DSG od 111,7 tys. zł). Auto z silnikiem 1.5 TSI w wersji Monte Carlo i manualną sześciobiegową skrzynią to wydatek 126,6 tys. zł, a za tę samą opcję z automatyczną skrzynią trzeba już zapłacić 131,5 tys. zł. ©℗

ZEGAREK HAMA SMARTWATCH 8900

Niezły wyświetlacz AMOLED, eleganckie wzornictwo, wbudowany moduł GPS i barometr, a przede wszystkim dobry stosunek ceny do jakości – to najważniejsze zalety inteligentnego zegarka niemieckiej firmy Hama.

Wszelkie badania opinii pokazują jednoznacznie: Polacy chcą być aktywni fizycznie i dbać o swoje zdrowie. Wiele osób w różnym wieku poszukuje więc inteligentnych zegarków, które wesprą ich w codziennej walce o dobrą kondycję. Wiedzą o tym doskonale najwięksi producenci – na najnowszego smartwatcha można dziś bez trudu wydać wiele tysięcy złotych. Na szczęście nie zawsze trzeba. Na rynku są również smartwatche i inteligentne opaski fitness, których cena nie przekracza 500 zł. Oczywiście nie są aż tak dopracowane. Oferują mniej funkcji i mogą być mniej dokładne, ale dla wielu użytkowników mogą się okazać wystarczające.

Nowego smartwatcha w tej półce cenowej wypuściła niedawno niemiecka Hama. Model 8900 wygląda elegancko. Ma też niezły wyświetlacz AMOLED o przekątnej 1,43 lub 1,32 cala (w testowanym egzemplarzu). Ze smartfonem łączy się przez Bluetooth. Konfiguracja przebiega bezproblemowo i trwa zaledwie kilka minut. Uzbrojony w moduł GPS zegarek rejestruje ćwiczenia (do dyspozycji jest 110 dyscyplin, w tym tenis, jogging, piłka nożna, jazda na rowerze etc.), zlicza liczbę kroków i szacuje liczbę spalonych kalorii. Zegarek umożliwia również pomiar pulsu oraz saturacji krwi.

Smartwatch mierzy również poziom stresu i ocenia jakość snu (z podziałem na poszczególne fazy). Zegarek próbuje również namówić do aktywności po wykryciu, że zbyt długo siedzimy w miejscu. Zebrane dane można śledzić w dostępnej bezpłatnie aplikacji Hama FIT Move. Ważną zaletą modelu 8900 jest też możliwość prowadzenia połączeń telefonicznych.

Plusem testowanego modelu jest również klasa odporności na poziomie IP68, co oznacza, że według producenta jest on zarówno pyłoszczelny, jak i wodoodporny. Nie trzeba się więc bać, gdy podczas joggingu nagle zerwie się ulewa. Bateria o pojemności 300 mAh pozwala na mniej więcej tydzień pracy bez konieczności ładowania. Dołączona w zestawie niewielka magnetyczna ładowarka dobrze przylega zaś do zegarka.

I chociaż nie jest to najlepszy smartwatch na rynku, to stosunek ceny do jakości sprawia, że warto się nad nim zastanowić. Cena: 499 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 64aebc5aa1

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Druga stolica Królestwa

RYS. QBA

JACEK KOMUDA

Niepołomice pod Krakowem to tradycyjne miejsce królewskich polowań. Nasi władcy bywali tu tak często, że piszący w XV w. kroniki Jan Długosz nie wahał się nazwać ich drugą stolicą Królestwa Polskiego. Jak podaje Jan Kracik, pierwszym był Kazimierz Wielki. 10 sierpnia 1349 r. wystawił w Niepołomicach jeden z ośmiu zachowanych dokumentów. Jednocześnie rozpoczął budowę zamku, który rozbudowywany przez kolejnych władców – Władysława Jagiełłę, Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta – osiągnął takie rozmiary, że zaczął być nazywany, nieco na wyrost, „drugim Wawelem". Przebudowy dokonane przez dwóch ostatnich władców sprawiły, że uzyskał dzisiejszy wygląd czworobocznej budowli z arkadami i krużgankami na wewnętrznym dziedzińcu. Królowa Bona dodała do tego ogrody włoskie. Potem zamek niepołomicki podzielił los innych – zniszczony przez Szwedów w 1655 r., zaniedbany w XVIII w., wreszcie zamieniony przez Austriaków na koszary – popadał w ruinę. Dopiero w 2007 r. zakończyła się przebudowa zamku przywracająca mu dzisiejszy wygląd.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niepołomice służyły kolejnym królom od XIV w. jako rezydencja myśliwska – wszak polowania w pobliskiej puszczy były nie tylko rozrywką i sportem, lecz także sposobem prowadzenia polityki. Zamek służył zarazem jako schronienie przed zarazami, które nawiedzały stołeczny Kraków.

W Niepołomicach, w grudniu 1382 r., zatrzymał się Zygmunt Luksemburski, przyszły król Węgier, Czech i cesarz niemiecki, narzeczony córki Ludwika Węgierskiego Marii, która miała objąć tron Królestwa Polskiego. Stało się jednak inaczej – kiedy umarł król Węgier Ludwik, jego poddani ofiarowali koronę św. Stefana wspomnianej parze. Z kolei w Polsce szlachta skłaniała się raczej do tego, aby koronować młodszą siostrę Marii, Jadwigę, więc Luksemburczyk wyjechał na Węgry, stając się wkrótce kłopotliwym sąsiadem Polski.

W 1386 r. w Niepołomicach przebywał król Jagiełło, który później powracał tutaj regularnie, zwłaszcza w okolicach św. Marcina (11 listopada). W 1408 r. podejmował na zamku rycerzy powracających z wyprawy nad Okę, wspierających księcia Witolda w walkach z moskiewskim księciem Wasylem I. Kazimierz Jagiellończyk w Niepołomicach bywał rzadko, jednak Zygmunt I Stary upodobał sobie to miejsce, zwłaszcza że w tym samym czasie rozbudowywał zamek na Wawelu i potrzebował innej równie godnej rezydencji. W 1527 r. na królewskim polowaniu doszło tutaj do wypadku, który odmienił losy Królestwa Polskiego – otóż 23 września wypuszczono przywiezionego w skrzyni z Litwy niedźwiedzia, który rzucił się na osaczników i myśliwych. Ożarowskiego, podkomorzego królewskiego, przewrócił z koniem, krajczego Tarłę, który ruszył z oszczepem, zaatakował tak, że wydarł mu broń („ledwie go chłopi z oszczepy przypadłszy, ratowali i psi go w nogi natenczas pokąsali"). Następnie niedźwiedź zaatakował królową, której koń, uciekając, potknął się, Bona spadła, a ponieważ była w ciąży, poroniła, rodząc chłopca, któremu dano imię Olbracht, a który niestety zmarł po kilku godzinach. Był to młodszy brat późniejszego króla Zygmunta Augusta, na którym bezpotomnie zakończył się ród Jagiellonów (gdyby nie ten wypadek, być może Olbracht zostałby po śmierci brata królem Polski i wielkim księciem litewskim, historia Korony i Litwy mogłaby potoczyć się inaczej).

Niedźwiedź obalił też z koniem królewskiego błazna Stańczyka, stąd właśnie pochodzi cięta riposta, której udzielił królowi, gdy ten rzekł: „Począłeś sobie nie jak rycerz, ale jako błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał". Na to Stańczyk odpowiedział: „Większy to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę".

Zygmunt I, jak podaje Jan Kracik, był w Niepołomicach jeszcze pięciokrotnie, ostatni raz w 1545 r. Zwykle uchodząc przed zarazą, która dziesiątkowała ludność Krakowa. Kolejni władcy także nie omijali Niepołomic – bywał tu często Zygmunt August, a potem Henryk Walezy, któremu Puszcza Niepołomicka przypominała lasy pod Fontainebleau. Z kolei Stefan Batory został na zamku... okradziony. Złodziej Jan Goryczowski wszedł na blanki pod okno, zabrał dwie królewskie delie i żupan, został jednak później schwytany na sprzedaży tych szat i powieszony na Kazimierzu.

Kiedy za Zygmunta III Wazy miastem rezydencjonalnym króla stała się Warszawa, wizyty władców stały się rzadsze. Władysław IV był tutaj w 1644 r., po śmierci królowej, kiedy zresztą miał miejsce wielki pożar miasta. Dwa lata później, 3 lipca 1646 r., król wystawił tu uroczystą operę z okazji zaślubin z kolejną małżonką – Ludwiką Marią Gonzagą. Jan III Sobieski odwiedził Niepołomice w 1693 r., a w 1730 r. polował tutaj przez trzy dni August II Mocny. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

SIOSTRY GOTUJĄ

Curry na rozgrzewkę

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Aby nie zawiewało nam zimową nudą, oprócz faworków i pączków, proponujemy trochę egzotyki. Nasza wyobraźnia i kulinarne upodobania pozwolą nam przenieść się w miejsca pełne słońca i wspaniałego jedzenia. Tym razem w kulinarną podróż wybierzemy się do Tajlandii. Tajska kuchnia jest bardzo lubiana i popularna. Tajska kuchnia to mistrzowskie połączenie przypraw, które wraz z cudownym smakiem kokosa, świeżych warzyw czy mięsem tworzy harmonijne połączenie. Ta kuchnia to balans smaków: słodkiego, słonego, ostrego i kwaśnego, które równoważone są aksamitnym smakiem gęstego mleka kokosowego. I oczywiście ryż, którego w kuchni tajskiej nie brakuje i który podawany jest na wszystkie możliwe sposoby. Szczególnie w północnej części kraju, gdzie są wpływy chińskie – im dalej na południe, tym więcej warzyw, kokosów, ryb i owoców morza, co wynika z wpływów indyjskich.

Ryż w Tajlandii ma znaczenie religijne – symbolizuje bogactwo, szczęście i zdrowie, a najbardziej popularną i najsmaczniejszą odmianą jest ryż jaśminowy o charakterystycznym smaku i zapachu. Potrawy tajskie charakteryzują się zdecydowanie smakiem ostrym, wręcz pikantnym, co dla tej szerokości geograficznej jest dość powszechne, ze względu na panujący tu ciepły równikowy klimat. Ostre przyprawy dodawane są celowo, aby zachować na dłużej świeżość potraw i zredukować bakterie jelitowe, co ma korzystny wpływ na florę bakteryjną. Tajowie nie używają soli i aby dosolić potrawy, stosują często sos sojowy albo sos rybny, który jest bardziej łagodny w smaku. Słodki smak w potrawach daje nam dodatek cukru palmowego i owoców, np. papai czy ananasa. Smak kwaśny uzyskamy, dodając sok z limonki.

Kolorowa, aromatyczna i bardzo różnorodna kuchnia tajska jest uznawana za najzdrowszą kuchnię świata, jest niskowęglowodanowa i lekkostrawna, dania przygotowuje się na grillu albo w woku, specjalnym naczyniu przypominającym głęboką patelnię, w której smaży się w wysokiej temperaturze. W Tajlandii do obiadu nie pije się wina, ale za to najlepszą na świecie wodę kokosową, która idealnie gasi pragnienie i łagodzi pikantny smak potraw. Na deser jada się przede wszystkim świeże owoce, a także ryż długo gotowany na gęstym mleku kokosowym z dodatkiem mango. Słodki, aksamitny w smaku deser jest idealnym zwieńczeniem każdego posiłku.

Tajskie curry z kurczakiem

• 1 podwójna pierś z kurczaka • 300 g dyni • 1 cebula • olej do smażenia • garść świeżego szpinaku • świeża papryczka chili • 4 łyżki sosu sojowego albo rybnego • 1 łyżeczka pasty czerwonej curry • ½ łyżeczki kurkumy • 1 puszka mleka kokosowego • ½ litra bulionu warzywnego • ryż • limonka • świeża kolendra

Kurczaka kroimy na małe kawałeczki, namaczamy w sosie sojowym, obsmażamy na oliwie na złoty kolor, odstawiamy. Cebulę kroimy w piórka, na patelni podsmażamy ok. 10 min, dodajemy kurczaka, kurkumę, podlewamy bulionem i wszystko razem gotujemy ok. 30 min, na koniec dodajemy mleko kokosowe i świeży szpinak. W osobnym garnku gotujemy ryż, podajemy z curry, posypujemy kolendrą. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Afera Stanislas

JOANNA BOJAŃCZYK

Mamy pierwsze, a może nawet drugie lub trzecie marksistowskie powiewy nad Republiką Francuską. Oto przy okazji pierwszych wystąpień przy nowym premierze Gabrielu Attalu wyszła na jaw straszna prawda: nowo mianowana minister edukacji Amélie Oudéa-Castéra posłała swoje dzieci do prywatnej szkoły, na dodatek katolickiej. Zgroza!

Chodzi o renomowaną, znaną w całej Francji szkołę Stanislas. Znajduje się ona w eleganckiej szóstej dzielnicy Paryża, opodal Ogrodu Luksemburskiego. Szkoła założona w roku 1804 jest oficjalnie zatwierdzona przez ministerstwo edukacji, ma program taki sam jak szkoły publiczne, nauka religii odbywa się w środę. Powszechnie wiadomo, że ukończenie Stanislas jest pierwszym krokiem do dostania się na jedną z renomowanych uczelni, jak Ecole Polytechnique, ESSEC Business School, HEC Paris. Lista znanych osób, absolwentów Stanislas jest długa: Charles de Gaulle, Albert z Monako, Jacques Cousteau, Christian Dior, Edmond Rostand, nie mówiąc o licznych przedstawicielach wysokiej arystokracji, a nawet koronowanych głowach.

I to jest oczywiście także powód do darcia szat.

Fala antyklerykalizmu, która dotknęła Francję już parę razy, teraz znowu wraca, i to ze wzmożoną siłą. Powodów w zasadzie nie ma, przeciwnik jest osłabiony, kościoły pustawe, w życiu publicznym księża w zasadzie nieobecni. Ale pogłoski, że szkoła nie dość, że jest konserwatywna, to jeszcze homofobiczna i seksistowska, zrobiły swoje. Lewicowy „Le Monde" rzucił się na zdobycz i wypomniał zarzuty rzekomego molestowania osób poniżej 15. roku życia przez menedżerów i dyrektorów placówki, obecnie już byłych. Wyroki w tej sprawie nie zapadły. Wypomniano także, że najstarszy syn pani minister skorzystał z uprzywilejowanej procedury dostania się na kurs przygotowujący do przejścia na wyższą uczelnię. Pani minister odpowiedziała, że wszystko odbyło się zgodnie z procedurą, ale nie przeszkodziło to merostwu w wycofaniu szkole subsydium.

Rozpętała się afera narodowa, lewica masowo atakuje. Tolerancja religijna jest dla niej pojęciem mierzonym według zasad Kalego. Jej uwadze zdaje się uszedł fakt, że francuskie szkoły katolickie przyjmują dzieci innych wyznań, m.in. muzułmanów, za to dofinansowane przez państwo placówki muzułmańskie chrześcijan nie przyjmują.

A pomijając wszystko, trudno sobie wyobrazić, żeby pani minister z burżuazyjnej rodziny, absolwentka Ecole Nationale d'Administration, wysoka urzędniczka państwowa, posyłała dzieci do szkoły publicznej. Jeszcze jakiś porządek we Francji istnieje. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Musk się lasuje

Elon Musk przyjechał w ubiegłym tygodniu do Polski. Profesor Czarnek namawiał go, by odwiedził dwóch więźniów politycznych. Nie wiem, co to miało dać, bo ci siedzieli jak najbardziej w realu, Musk zaś poprzez Twittera (zwanego X) „robi" w rzeczywistości wirtualnej. Z połowa świata obserwuje, jak ekscentryczny miliarder poradzi sobie z Twitterem. Od razu go bardziej skomercjalizował, ale obietnica, że przejęcie komunikatora jest krokiem ku wolności wypowiedzi, którą Twitter tłamsił, coraz bardziej wygląda mi na „łit makekingowy". Ot tak, by wprowadzić różnicujące pozycjonowanie swego zakupu, oparte na wrażliwej wartości opiłowywanej wolności słowa.

Ze dwa miesiące temu Twitter zawiesił mi konto. Ale niniejszy tekst nie jest skargą na Muska, że nie dowiózł obietnicy. Jest obserwacją. Miałem ci ja bowiem u niego konto tylko po to, by promować linki do swych wpisów publikowanych na moim blogu „Dziennik zarazy". Był więc dla mnie obecny X słupem reklamowym. Do czasu, aż zamiast publikować beznamiętne linki, zacząłem używać komunikatora do jego głównego celu – szybkich wpisów będących reakcją na codzienność. I gdybym tego nie zrobił, toby się o mnie nigdy „Wojski nie dowiedział". Ale coś się chlapnęło i człek popadł w tryby monetyzacji wolności słowa.

Właśnie o tym rozmawiałem z pewnym profesorem, który bada Wielki Reset. Ukoił mnie, że nic to. Trzeba się wystrzegać wejścia w lejek. Zaczyna się niewinnie: cwani cenzorzy nie napiszą ci, za co zostałeś ukarany. Masz się domyślić sam, a więc przeprowadzić autowiwisekcję całości własnych poglądów pod względem domniemanej przez kogoś nieprawomyślności o nieznanych kryteriach. Musisz więc poddać się autocenzurze i jak zechcesz wrócić do social mediów, może i w jakimś nowym przebraniu, będziesz się później pilnował. I jesteś w lejku.

Przed każdym wpisem będzie ci się włączał autopilot wyobrażonych kryteriów wirtualnej cenzury, byś znowu nie podpadł. Wiem, będziesz tylko tak udawał, myślał co innego i pisał co innego. Tere-fere! Doświadczenie uczy, że taka sytuacja prawie zawsze prowadzi do traktowania takich przykrawanych poglądów jako swoich. Inaczej groziłby stan ciągłego i stresującego konfliktu moralnego, że się poddałeś. A więc prowadzi to do unikania sytuacji stresowej, czyli do internalizacji, do przyjęcia kryteriów cenzury jako własnych.

Na Twittera już chyba nie wrócę, chyba że do jego funkcji słupa ogłoszeniowego. Nie wejdę znowu do tego samoobsługowego więzienia. Co prawda, wirtualnego, ale cenzuralny gwałt na prawdzie we własnej duszy jest jak najbardziej z realu. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Czy tylko nienawiść?

Jednym z najbardziej poruszających wspomnień z moich podróży po Francji są ruiny opactwa w Cluny. Choć zostały tylko fragmenty fundamentów i jakieś resztki przyziemia, to bez trudu można rozpoznać rozmach średniowiecznej budowli. W 1811 r. największe urbanistyczne założenie architektury romańskiej zostało kompletnie zniszczone. Zdumiewa gigantyczny wysiłek, jaki podjęli rewolucjoniści francuscy, by zburzyć tak okazałe budowle. Tylko potęgą nienawiści można tłumaczyć impet, z którym ideologia zwycięża elementarne poczucie sensu. Historia opactwa, dynamiczny rozwój klasztorów to jedne z wielu dowodów, że cywilizacja białego człowieka jest produktem ubocznym ewangelizacji. Tej prawdy nie mogli znieść rewolucjoniści. Musieli zatrzeć ślady, żeby potomni nie dowiedzieli się, gdzie są korzenie europejskiej cywilizacji.

Patrząc na rewolucję Tuska, widzę znajome mechanizmy. Siłowe przejmowanie kolejnych instytucji, niespotykany wcześniej chaos, uzasadnianie niszczących poczynań pismami, rozporządzeniami, które ministrowie rządu stawiają ponad obowiązującym prawem. Wśród poczynań, choć podkreślam bezprawnych, jakoś możliwe do wytłumaczenia jest przejmowanie instytucji, bez których ekipa Tuska nie będzie mieć pełni władzy. Bezczelne, ale jakoś wytłumaczalna jest sprawa posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Jak już podkreślano, jest to próba neutralizacji autorytetu urzędu prezydenta (dopóty, dopóki sprawuje go Andrzej Duda). Są też działania mające wymiar symboliczny lub takie, które realizują zobowiązania wobec konkretnych środowisk. Do tych zaliczam w pierwszej kolejności wyrzucenie kurator Barbary Nowak czy skrócenie „na rympał" kadencji Janusza Janowskiego, dyrektora galerii Zachęta.

Są jednak decyzje kompletnie niezrozumiałe, przynoszące trudne do oszacowania szkody. Politechnika Poznańska, a ściślej Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe afiliowane przy Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN (będące członkiem IBM Quantum Network), rozwijające technologie obliczeń kwantowych, została pozbawiona 200 mln zł dofinansowania. Dlaczego? Bo przyznała je poprzednia władza. Motywem jest odwet wobec rzekomych „pieszczochów PiS" – tak bowiem określił poznańską uczelnię wiceminister nauki Marek Gzik. Może jednak jest w tym nie tylko logika odwetu. Jak się dowiadujemy, rząd Niemiec, by dorównać USA i Chinom, przeznaczy 3 mld euro na zbudowanie do roku 2026 komputera kwantowego, ponieważ, jak twierdzi minister do spraw edukacji Bettina Sark-Watzinger, „jest to kluczowe dla niemieckiej suwerenności technologicznej". ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Można, czyli nie można

Teraz uwaga, bo będzie ważne na temat działania polskiego państwa! Stop. Dariusz Joński, przewodniczący komisji śledczej do spraw wyborów kopertowych, poinformował świadka Jacka Sasina przed przesłuchaniem, że ma pełne prawo do swobodnego wypowiedzenia się w sprawie będącej przedmiotem badań komisji, i spytał, czy Sasin chce się wypowiedzieć. Stop. Sasin powiedział, że owszem, a jakże, chce się wypowiedzieć. Stop. Przewodniczący Joński oddalił wniosek Sasina. Stop. Kurtyna.

Troszeczkę to trwało, ale nie ma na co narzekać, gdyż rząd w końcu opublikował odpowiedzi na pytania zadane przez posłów po exposé premiera Donalda Tuska. Stop. I np. sztandarowa obietnica przedwyborcza zawarta w 100 konkretach na 100 dni, dotycząca podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, to na razie nie. Stop. Natomiast jeśli chodzi o obiecane przedsiębiorcom zlikwidowanie podwyższonej składki zdrowotnej, to na razie nie. Stop. Żeby nie było jednak jednostronnie, to zapowiadana przed wyborami obniżka VAT dla tzw. branży beauty to na razie nie. Stop. Odpowiedzi, przyznać trzeba, konkretne.

Kolejni inwestorzy wycofują się z alkoholowego przedsięwzięcia Palikota, które buzią i słowem reklamował prawie wspólnik Kuba Wojewódzki. Stop. Pan Kuba teraz reklamuje firmę Play. Stop. Gratulujemy!

Najgorsza to jest ta pamięć, proszę państwa. Stop. Kamila Gasiuk-Pihowicz o Trybunale Konstytucyjnym teraz: „Trybunał Przyłębskiej (co prawda, już bez żadnego prawnego znaczenia) będzie ratował Morawieckiego ws. wyborów kopertowych i zajmie się przepisami antycovidowymi. Oni naprawdę wciąż się łudzą, że unikną odpowiedzialności". Stop. Niestety pamiętam, co ta sama posłanka mówiła w Sejmie w 2016 r. Stop. „Wyroki Trybunału Konstytucyjnego mają moc powszechnie obowiązującą i są ostateczne. Nikt nie ma prawa oceniać, czy ten wyrok zapadł zgodnie z prawem, czy skład sądu był prawidłowy czy nie. Nikt nie ma prawa kontrolować, czy ten wyrok spełnia jakiekolwiek wymogi, czy w jego ocenie jest opinią czy konkluzją ze spotkania towarzyskiego". Stop. Czy są jakieś tabletki na przyblokowanie mi pamięci czy po prostu czekać na starość? Stop.

Przywracanie praworządności trafiło do prokuratury. Stop. Prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie przekroczenia uprawień przez ministra Sienkiewicza przy podejmowaniu uchwał o dokonaniu zmian w zarządach mediów. Stop. Nielojalni wobec władzy prokuratorzy chcą postawić notariusz Joannie K. zarzuty fałszowania aktów notarialnych, ale akurat nie ma jej w Polsce. Stop. Natomiast minister Sienkiewicz jest w Polsce... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Inwestycja w Ukrainę

Wielu światowych przywódców zdecydowało się wziąć udział w tzw. Ukraińskim Śniadaniu, które od 2005 r. organizuje w Davos znany ukraiński filantrop i kolekcjoner sztuki współczesnej Wiktor Pinczuk. Jeden z najbogatszych ukraińskich oligarchów zarobił miliardy dolarów na prywatyzacjach przedsiębiorstw z branży gazowej, finansowej i medialnej. Pomogło mu w tym zapewne małżeństwo z córką ukraińskiego prezydenta Leonida Kuczmy, członka Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy, a w latach 1994–2005 prezydenta Ukrainy.

Dochodzenia dotyczące korupcji prowadziło przeciw Pinczukowi ukraińskie biuro antykorupcyjne, zarzuty dotyczyły łapówek idących w setki milionów dolarów. Jasną stroną wizerunku ukraińskiego oligarchy jest jego działalność charytatywna. Jak z dumą informowała w roku 2013 Jewish Telegraphic Agency, oligarchowie pochodzenia żydowskiego zajmowali pierwsze trzy miejsca w rankingu najhojniejszych ukraińskich filantropów. Wiktor Pinczuk zajął na podium drugie miejsce, przed Aleksandrem Feldmanem, lecz za Rinatem Achmetowem. Oligarcha, którego majątek szacowano wtedy na ponad 4 mld dol., przeznaczył w 2012 r. aż 11 mln dol. na dobroczynność w dziedzinach zdrowia i edukacji.

W trakcie Ukraińskiego Śniadania w Davos ciekawą refleksją podzielił się były brytyjski premier, a aktualnie minister spraw zagranicznych, David Cameron. Oświadczył on, że z amerykańskiego punktu widzenia wojna na Ukrainie winna być postrzegana jako bardzo korzystne przedsięwzięcie. Za cenę 10 proc. amerykańskiego budżetu wojskowego udało się Amerykanom zniszczyć 50 proc. sprzętu wojennego, którym przed wojną dysponowała Rosja. Osiągnięto ten sukces bez straty choćby jednego amerykańskiego życia, co z satysfakcją podkreślił brytyjski polityk. „To niebywała inwestycja" – stwierdził Cameron. Poradził też prezydentowi Zełenskiemu, by nie przejmował się spadającymi wynikami poparcia wśród obywateli ukraińskich. „Kiedy sam byłem premierem, starałem się o 40 proc. poparcia – o zaufaniu, jakim cieszy się Zełenski, nie mogłem nawet marzyć" – wspominał polityk powołany niedawno w skład Izby Lordów, z tytułem barona Cameron of Chipping Norton.

Lord Cameron porównał aktualną sytuację polityczną do tej, która panowała w Europie w latach 30. Sposób, w jaki mocarstwa zachodnie potraktowały w roku 1939 sojuszniczą Polskę, rzucając ją do samotnej walki dla zużycia sił przeciwnika i zyskania na czasie, może tutaj stanowić rzeczywiście intrygującą analogię. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Sylwester na UB

Julian Tuwim wrócił do stalinowskiej Polski już w czerwcu 1946 r. jako pierwszy z pisarzy. Przyzwyczajony, jak wszyscy skamandryci, do przedwojennej sławy, pieniędzy, źle znosił emigracyjną wegetację, zwłaszcza gdy na początku 1944 r. rząd londyński cofnął mu comiesięczny zasiłek za związki z amerykańską partią komunistyczną, wygłaszane na wiecach robotniczych żarliwe, agitacyjne przemówienia na rzecz Związku Sowieckiego, Wandy Wasilewskiej i jej Związku Patriotów Polskich, PPR.

Za „ślepą miłość do bolszewizmu" z „agentem Moskwy", jak go teraz nazywano, zerwała większość emigracji, na czele z jego wieloletnimi, serdecznymi przyjaciółmi: Lechoniem i Wierzyńskim.

Julian Tuwim otrzymał piękne mieszkanie i willę w Aninie, mimo to skończył się jako poeta

Tuwim chciał więc wracać już wcześniej, ale długo i twardo negocjował warunki swego powrotu – nakłady, honoraria – z Jerzym Borejszą, głównym wtedy komisarzem od kultury, który godził się niemal na wszystko. Wybitny poeta miał być głównym trofeum, legitymizującym komunistów, niczego mu więc nie żałowali.

Zaczęło się jednak od zgrzytu – jak skarżył się Tuwim w listach do siostry Ireny – w komitecie powitalnym w porcie w Gdyni, gdzie razem z żoną przypłynął, nie było, wbrew jego oczekiwaniom, prezydenta Bieruta, tylko pojawili się sekretarz jego kancelarii oraz Berman, minister bezpieczeństwa, marszałek Żymierski, wojewoda gdański i oczywiście „wspaniały" Borejsza. To on przydzielił Tuwimowi swoje służbowe auto, eskortowane przez wojsko ze względu na jakoby grasujące na drogach bandy NSZ. Ze strachu przed nimi Żymierski zaprosił Tuwima do swego samolotu. Choć się bał – był to jego pierwszy w życiu lot – to nie śmiał odmówić.

Zgodnie z umową w zrujnowanej, pełnej gruzów Warszawie Borejsza przygotował mu luksusową enklawę, lokując go w Śródmieściu, przy ulicy Daszyńskiego 14 (wkrótce Wiejskiej), w pięknej, modernistycznej, ocalałej podczas wojny kamienicy, przydzielonej Borejszy na imperium Czytelnika. Na czwartym piętrze w obszernym, trzypokojowym mieszkaniu ze służbówką, łazienką z piecykiem gazowym (rzadkim wtedy luksusem), wielkim tarasem, windą, urządzony antykami, uzupełnionymi lada dzień szabrem z Wrocławia. Dostał też Tuwim gosposię, sekretarkę, pielęgniarkę z lecznicy rządowej, która razem z nimi mieszkała, szofera prowadzącego przyznaną mu najpierw pobiedę, a potem jedną z pierwszych warszaw (z żółtymi firankami, ówczesnym symbolem władzy). Chwalił się Tuwim siostrze, że jadał kolacyjki z najważniejszymi szychami: Modzelewskim, ministrem spraw zagranicznych i jego żoną, szefami bezpieki – Radkiewiczem i Bermanem, wicepremierem Gomułką, ministrem Mincem, gen. Świerczewskim. Wszyscy byli dla niego tak mili, że obiecali też jego siostrze stanowisko kierowniczki działu literatury dziecięcej w Czytelniku.

Naiwny i ślepy donosił też siostrze, jak dobrze żyje się w powojennej, zniszczonej i biednej Polsce. „Jedzenia powyżej uszu" – pisał, choć oczywiście trzeba dobrze zarabiać, ale pensje są wystarczające, z wieloma dodatkami, przydziałami, a najlepiej mają artyści, pisarze. W kawiarniach, np. Kopciuszku, zawsze pełno, a ciastka, lody, czarna kawa – palce lizać. Na kolacji u znajomych jadł kawior, łososia, kurczęta, pyszne wędliny. Rozmawiał również z chłopami, ale chyba podstawionymi przebierańcami – skarżyli się bowiem jedynie na… faszystowskie bandy NSZ grasujące ciągle po okolicach.

Nie widział nigdzie sowieckich żołnierzy, z wyjątkiem Teatru Polskiego, gdzie był na występach chóru Armii Czerwonej. Borejsza zabrał go również na Zlot Młodzieży ZMP, skandującej na jego widok „Tu-wim, Tu-wim!". Dostał zaproszenie na bal sylwestrowy w gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Jedyne, co mu się w Warszawie nie podobało, to niedobre papierosy i procesje z okazji Bożego Ciała: „Ta sama sfera, tak samo chodzi i tak samo śpiewa". Drażniły go też oglądane z tarasu ruiny Warszawy.

Ponieważ winda często się psuła, był uwięziony w swojej złotej klatce, nie miał siły wchodzić na czwarte piętro. Otrzymał więc równie piękne mieszkanie na parterze odbudowanej właśnie kamienicy przy Nowym Świecie 25, a oprócz tego willę z ogrodem i basenem w Aninie.

Mimo to skończył się jako poeta. Napisał tylko kilkanaście propagandowych agitek. Chorował i wbrew zakazom lekarzy nadal pił. Cierpiał na depresję. „Tak mi dobrze, że dobrze mi tak" – mawiał. Zmarł nagle w wieku zaledwie 59 lat. Według Hemara już wtedy, gdy wsiadł na statek wiozący go do kraju, wróciła tu tylko jego cielesna powłoka, poetycki geniusz Tuwima odmówił powrotu na służbę u wroga. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

KRETYNIZMY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy zwykły kretyn opowiada kretynizmy, nie ma problemu – widać, że kretyn, więc się człowiek o inteligencji wyższej od kretyna nie nabierze, bo nie słucha i nie gada z takim (z głupkami nie warto rozmawiać).

Są jednak ludzie inteligentni, którzy też opowiadają kretynizmy – bo im się to opłaca, bo chcą cię ogłupić, mają jakieś swoje złe cele. Wtedy jest trudniej. Patrzysz w inteligentne oczy kłamcy i łykasz jego kretynizmy jak foka śledzie. Wielu daje się nabrać. Trzeba uważać.

***

Minister edukacji zapowiada, że o pracach domowych w klasach I–III nauczyciel może zdecydować sam, a prace domowe dla klas IV–VIII będą zadawane tylko na życzenie ucznia. Jednocześnie zapowiada podwyżki dla nauczycieli. Czyli nauczyciele dostaną więcej forsy za mniej roboty (nie będą już musieli sprawdzać prac domowych). A to wszystko „w trosce o wysoki poziom edukacji". I naród łyka te kretynizmy, jak foka śledzie.

Wyobraźmy sobie ucznia, który domaga się zadawania mu nieobowiązkowych prac domowych. Trudne do wyobrażenia. W dodatku takie rozwiązanie buduje konflikt. Bo czy nauczyciel ucieszy się, że ten jeden wyjątkowo namolny kujon dokłada mu roboty, za którą nikt nie zapłaci? Nauczyciel pomyśli tak: Każesz mi, szczeniaku, pracować za darmo i po godzinach nad tymi twoimi zadaniami domowymi, zamiast po prostu iść oglądać komórkę? Dobra… postawię ci same pały za te twoje prace domowe i wtedy sobie przemyślisz swoją postawę! A mogło być tak pięknie, szczeniaku, że ani ty nie musisz nic robić, ani ja, KRETYNIE.

Tak, wiem, są pewnie jacyś nauczyciele z powołaniem (mam siostrę, która uczyła z pasji i miłości do dzieci, bo ją utrzymywał mąż prowadzący prywatną drukarnię). Pewnie są i tacy, którzy uczyliby darmo, gdyby ich było stać, ale ja tu mówię o kretynizmach SYSTEMOWYCH, które propaguje władza.

Państwo tego nie widzą? Wychodzi Tusk i przemawia. I z powodu tego, że niestety nie jest zwyczajnym kretynem, którego rozpoznalibyśmy od razu, ludzie kupują to, co on mówi. Ozdobny bełkot Tuska hipnotyzuje wielu. On raczej na pewno wie, że bełkoce kretynizmy, ale bełkoce nadal, bo ma jakieś swoje złe cele. A jeśli nie ma złych celów osobistych – to co? Zastraszyli go aż tak, że teraz robi z siebie szmatę? Możliwe – za Stalina potrafili robić takie rzeczy: straszyli tak, że mówiłeś to, co chcą, i robiłeś to przekonująco.

***

Amerykański historyk i profesor Uniwersytetu Yale Timothy Snyder wypowiedział się w dużej niemieckiej gazecie. Stwierdził, że gdy Trump wygra wybory, w USA może dojść do wojny domowej, i że jest to scenariusz wydarzeń, który ogłosił sam Donald Trump. Gdyby pan profesor to mówił w USA, to byłby uznany za kretyna i zlekceważony, ale w Niemczech wysłuchali go z uwagą jako specjalistę z Yale. Naopowiadał im jeszcze, że gdy w USA będzie wojna domowa, Niemcy staną się najważniejszym krajem na świecie.

Doprawdy? Niemcy staną się krajem ważniejszym niż np. Chiny? Niż Rosja, Indie, Brazylia lub Wielka Brytania? Kretynizmy. No ale ludzie łykają takie rzeczy, jak foka śledzie. Dziennikarz nie zadał profesorowi prostego pytania: W JAKIM CELU Trump miałby wywołać wojnę domową po wygranych wyborach? Co innego, gdyby przegrał i znowu by wyszły na jaw oszustwa wyborcze. Ale po co mu wojna domowa po zwycięstwie?

Profesor stwierdził, że Trump „wraz z bandą faszystów będą rządzić państwem". Może więc profesorowi chodzi o to, że Niemcy staną się najważniejszym krajem na świecie ze względu na tych amerykańskich faszystów? Jakaś bratnia współpraca, partnerstwo i sojusz Niemcy-USA zbudowany w oparciu o faszystów? (Ugrupowania faszystowskie w Niemczech rosną w siłę i w wyborach zdobywają coraz wyższe poparcie).

***

W tym samym czasie Zełenski zaprasza Trumpa do Kijowa. Trump mówi: Gdy wygram wybory, zatrzymam wojnę w ciągu 24 godzin. Zełenski odpowiada: To niebezpieczne, bo Trump chce podejmować decyzje, nie licząc się z nami.

Hm. Czemu Zełenski uważa, że zatrzymanie wojny (nie zakończenie, ale zatrzymanie) to rzecz niebezpieczna? Jego rodacy giną, matki tracą synów, żołnierze, których posyła na front, tracą kończyny urwane pociskiem, a Zełenski uważa, że zatrzymanie tych rzeczy jest niebezpieczne?

***

Arnold Schwarzenegger na lotnisku w Niemczech zapłacił 35 tys. euro za niezgłoszony zegarek, który wiózł na aukcję charytatywną. Celnik: Każdy jest równy wobec prawa, przedmiot o wartości powyżej 430 euro trzeba zgłosić.

A to czemu? Kolejny kretynizm – ktoś przywozi do naszego kraju bogactwo (przywozi, a nie wywozi) i władza nakłada na niego karę w postaci cła. Nawet gdyby przywoził tak po prostu – bez aukcji charytatywnej – to jaki sens stoi za tym, by kogoś karać za wzbogacenie państwa o kolejny przedmiot wysokiej wartości rynkowej? Na polskiej granicy jest tak samo. Spróbuj przywieźć dzieło sztuki, klejnoty lub sztabkę złota, to ci to oclą, czyli zapłacisz KARĘ za wzbogacanie ojczyzny.

***

Hiszpanie pracowali 40 godzin tygodniowo. Teraz mają pracować o półtorej godziny krócej. Lewica w Polsce chce pracować 35 godzin. A w Berlinie strajk kolejowy – związkowcy chcą 35 godzin pracy zamiast 38, przy tych samych zarobkach.

Wszystko to kretynizmy, bo im mniej pracujesz, tym biedniejszy jesteś ty, a razem z tobą całe twoje państwo. I dokąd ten kretynizm prowadzi? Do płacy gwarantowanej za siedzenie w domu i niepracowanie wcale. A płaca gwarantowana, czyli minimum socjalne za to, że żyjesz, jest jednym z celów opracowanych w Davos. Oni tam wypluwają z siebie ozdobny bełkot, a świat łyka jak foka. ©℗

eprasa.pl 64aebc5aa1

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

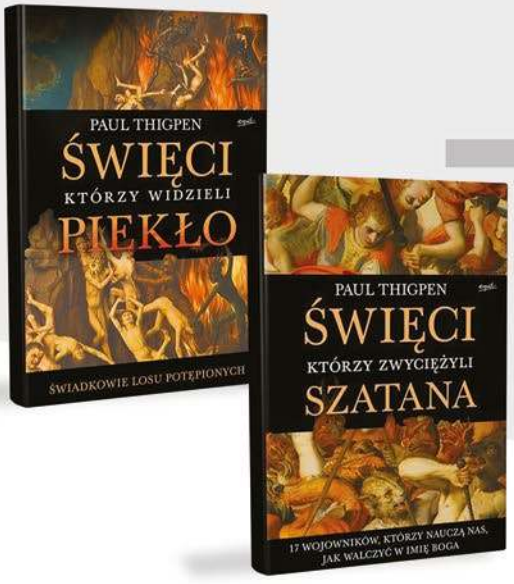

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PAUL THIGPEN:
„ŚWIĘCI, KTÓRZY WIDZIELI PIEKŁO",
„ŚWIĘCI, KTÓRZY ZWYCIĘŻYLI SZATANA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~892 ZŁ~~

405,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 487ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 64aebc5aa1

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

W 2023 r. NBP w imieniu wszystkich Polaków kontynuował zakupy złota, powiększając zasoby kruszcu o 130 ton do niemal

360 ton

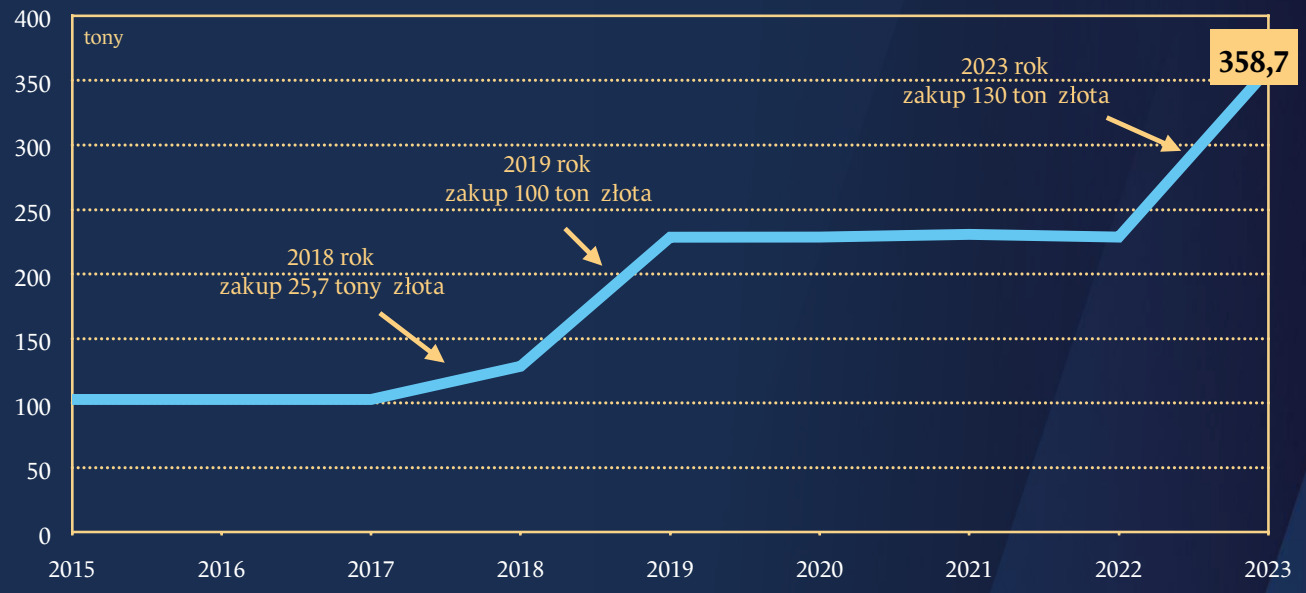

Źródło: dane NBP.

Większe bezpieczeństwo systemu finansowego, to większe bezpieczeństwo Polaków.

nbp.pl

eprasa.pl 64aebc5aa1